ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA,

1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono d. 12 Marca 1894 r.

OPTYMIZM.

Jeżeli jedni piszą o pesymizmie, to dlaczegoby inni nie mogli pisać o optymizmie, jako przeciwniku pierwszego; a nawet o melioryzmie jako jednaczu obu przeciwników?

Jak są tanecznice, którym fartuch zawadza, tak są ludzie, którym wszystko nie w smak: cały świat dyabła wart, a życie człowieka i niucha tabaki nie warto. Hola, mówią inni, tak źle nie jest; i świat jest piękny, dobry, a nawet najlepszy, i szczęście jest, i życie ma wartość, czego dowodem choćby to, że się tak staramy o jego utrzymanie. Każdy zgadnie, że przyganiacze świata i życia nazywają się pesymistami, a pogląd ich pesymizmem; a znów chwalcy i zadowoleni są optymistami, a ich pogląd na świat i życie optymizmem.

Zacznijmy po staremu od definicyi optymizmu. Optymizm tedy jest takim poglądem, według którego świat nasz jest najlepszym ze światów, czyli po łacinie *optimus*, stąd i termin optymizm; że szczęście jest dostępne dla człowieka; że wszystko dąży ku lepszemu, czyli że jest postęp w nieskończoność. Pesymizm właśnie temu wszystkiemu przeczy.

Który z nich ma racyą za sobą, czy też może oba trochę mają racyi, a trochę nie mają — tego pytania na razie nie będziemy roztrząsali; poszukamy raczéj źródła obu tych poglądów.

Wszelkie poglądy na świat płyną ze stosunku, w jakim się jednostka ludzka znajduje względem świata fizycznego i społecznego, a powtóre z uczuć i wrażeń jéj własnych. Żeby zrozumieć taki lub inny pogląd na świat, należy pamiętać, iż człowiek z początku mierzył świat sobą i dzisiaj jeszcze tak samo postępuje w jego ocenie.

Że człowiek niegdyś sobą mierzył świat fizyczny, świadczą do dziś dnia używane wyrazy: palec = cal, piędź, stopa, łokieć. Tak samo, gdy chciał wyrazić, iż rzeczy i zjawiska otaczającego świata, są dlań pożyteczne, przyjemne, lub szkodliwe, wstrętne, nazywał je dobremi lub złemi. Innemi słowy, oceniając świat, oceniał go, i dzisiaj jeszcze tak samo czyni, głównie ze względu na samego siebie. Tą drogą wytwarzały się poglądy na świat, a poglądy takie nazywamy subiektywnemi dlatego, że subiekt czyli człowiek wogóle ma na widoku w téj ocenie rzeczy przedewszystkiém swoje *ja*. Jeżeli kwiaty kwitną, to dla niego kwitną; jeżeli piorun uderza i zabija mu bydlę, to przeciw niemu się dzieje, słowem — nie jesteśmy w możności, albo nie wielu to potrafi pomyśléć i wyobrazić sobie, że gdyby nas nie było, kwiaty mogłyby kwitnąć i bić pioruny, czyli że świat szedłby swoim porządkiem, chociażby na nim nie było żadnéj istoty czującéj, a tém samém mogącéj doznawać przykrości lub przyjemności i mówić, że świat jest najgorszy, albo najlepszy.

Jakimże tedy jest świat uważany sam w sobie, to jest bez istot czujących, a zwłaszcza bez człowieka? Ani dobry, ani zły, ani piękny, ani brzydki. I gdyby ludzie mogli się tak od świata oderwać nietylko w myśli, ale w rzeczy saméj, prawdopodobnie nie byłoby ani pesymizmu, ani optymizmu. Otóż, rzeczą samą ludzie od świata oderwać się nie mogą, stanowią bowiem cząstkę jego, a tém samém będą po wszystkie czasy doznawali wrażeń przyjemnych lub przykrych, i będą sobie tworzyli poglądy na świat wesołe lub smutne, optymistyczne lub pesymistyczne.

Ale źródłem naszych wyobrażeń, pojęć, poglądów jest nietylko świat subiektywny, zewnętrzny, ale i my sami, to jest nasze czucia i uczucia, słowem — nasza indywidualna wrażliwość. Wrażliwość ta nie jednakowa jest u wszystkich i zależy od układu nerwowego, od chwilowego stanu jednostki, a nawet od stanu jéj umysłowego, od ukształcenia pojęć, woli mniéj lub więcéj wyrobionéj. Stąd pochodzi, że te same wrażenia fizyczne, lub tylko wyobrażalne, nie jednakowo na nas oddziaływają. Co jednego mocno wzruszy, rozgniéwa lub rozweseli, na to samo drugi okaże się mało wrażliwym, lub obojętnym. Bóle fizyczne i moralne, podobnie jak i przyjemności obu rodzajów, nie jednakowo odczuwamy. Jestto fakt codziennéj obserwacyi. Otóż, stosownie do odczuwania tworzymy sobie poglądy na świat; to nam tłómaczy wielką ich rozmaitość, któréj najwybitniejszemi typami są: pesymizm i optymizm.

Z powyższego zdaje się wynikać, że ani pesymizm, ani optymizm nie mieszczą w sobie całéj prawdy o świecie zarówno fizycznym, jak i społecznym. Każdy z nich daje nam pogląd zabarwiony, albo na

jasno albo na szaro, stosownie do indywidualnego nastroju czyli odczuwania wrażeń działających na subiekt od zewnątrz. Świat więc nie jest ani najlepszym ani najgorszym z możebnych światów. Jest takim jakim jest—tylko my go wszyscy nie jednakowo odczuwamy.

A więc wszystkie skargi na świat i wszystkie nad nim uniesienia i jego pochwały nic nie warte? Przeciwnie, mają one wartość subiektywną, są względne jak zresztą wszystkie nasze pojęcia, zwłaszcza te do których wchodzi uczucie. Jużci nie można powiedzieć, że epidemie, trucizny, trzęsienia ziemi, wylewy wód, nieurodzaje i t. p. są dobre — one są dla człowieka szkodliwe, złe; bez człowieka, ani dobre ani złe. Ponieważ zaś człowieka tylko w myśli, przez abstrakcyą możemy ze świata usunąć; więc klęski takie, jak powyższe, będzie on zawsze odczuwał jako złe dla siebie, czyli pesymizm jego będzie miał grunt pod sobą. Stąd jest on tak stary jak człowiek na ziemi; do dziś dnia powtarzają ludzie za Eklezyastesem:

Marność marności wszystko jest na świecie,
Marności marą, co jedno świat plecie.
(*Tłóm. księcia Stanisława Herakl. Lubomirskiego*, 1782).

Jeżeli zaś od świata fizycznego zwrócimy się do społecznego, pesymizm i to nie wulgarny, dziadowski, ma dużo do powiedzenia na swoją obronę, więcéj nawet, niż wtenczas, gdy się zżyma przeciw klęskom fizycznym. Świat społeczny, ludzki, utkwiony w fizycznym, z konieczności idealnym być nie może; ale wyobrażamy sobie, że pośród tego fatalizmu przyrodzonego, jest świadomość i wola ludzka, które mogą stosunki społeczne poprawiać, ulepszać—dlatego niesprawiedliwość czy nieprawidłowość tych stosunków bardziéj nas oburza, aniżeli klęski fizyczne.

I optymizm nie jest bez podstawy. Świat fizyczny ma strony piękne; nie darmo Grecy nazwali go *kosmos*, Rzymianie *mundus*, a my ś w i a t e m, świetnym. Wszystkie zmysły człowieka mają się czém nasycić; widoki, barwy, dźwięki dostarczają im wrażeń przyjemnych, nieraz wspaniałych. W świecie ludzkim mamy do podziwiania, uwielbiania czyny miłosierdzia, heroizmu, dzieła sztuki i nauki, słowem i tu świat przedstawia nam strony dobre, piękne, a im kto jest obdarzony większą wraźliwością, im smak jego wykształceńszy, tém zjawiska i fakta dostarczają mu większéj sumy wrażeń przyjemnych, uniesień ekstatycznych i w takich sytuacyach może świat nazywać najlepszym.

Tyle co do wartości świata. Teraz należy jeszcze zobaczyć, co życie warto, czy ono jest największém złém, jak uczą pesymiści, czy największém dobrém, jak chcą optymiści.

Mowa tu rzeczywiście nie o życiu wszystkich istot organicznych, lecz tylko o życiu człowieka. Trzeba tylko najprzód zauważyć, że o wartość życia pyta bardzo niewielu, ci mianowicie, którzy mają czas i pewne przygotowanie umysłowe, ażeby się nad tém pytaniem zastanawiać. Ogromna większość ludzi zajęta ciężką, grubą pracą i kłopotami, jakie życie za sobą ciągnie, ani myśli pytać, co ono warto; żyje i umiéra, rozradza się i znika, czasami stęka i płacze, to znów śmieje się i skacze, ani wié, po co na świat przyszła, ani się pyta, dokąd idzie. Są i w téj masie pesymiści i optymiści, ale nie z zasady, nie przez system, lecz przy okazyi Źle im się dzieje, klną; dobrze się dzieje, tańczą i śpiewają; ich pesymizm i optymizm bywają krótkotrwałe.

Pomijając więc optymistów przypadkowych, pospolitych, pytanie, jaką wartość ma życie w oczach uczonych, a więc poetów, filozofów i t. p.? Dla tych życie jest najwyższém dobrém człowieka; są oni pełni nadziei, że człowiek będzie się doskonalił w nieskończoność, że będzie coraz lepszym, szlachetniejszym, że się przeanieli, że epidemie i wojny znikną, a nastanie powszechne braterstwo. Pesymiści z tych nadziei śmieją się sarkastycznie, wskazując na istniejące śród ludzi do dziś dnia zbrodnie, występki, na powierzchowną ich ogładę, na delikatną skórkę cywilizacyjną, którą dość paznogciem podrapać, by ujrzéć pod nią dwunożnego lisa lub wilka.

Co tu na powiedziéć? I jedni i drudzy mają za sobą trochę racyi. Życie może być coś warte i może być nic nie warte. Zależy to od jego treści. Treść znowu bywa tak rozmaita, że ogólnikiem sądzić jéj niepodobna. W każdym wypadku trzeba rozważyć osobno, o ile i jakiemi czynami zostało życie wypełnione, jak ono wygląda nie dla samych aktorów, lecz dla widzów; sąd tych ostatnich może być ile tyle zbliżony do prawdy.

Ogólnikowe potępianie życia i pragnienie nicości, albo ogólnikowe pochwały tegoż i nadzieja, że postępowi nie będzie końca, są czcze i subiektywne poglądy na świat i życie. Nie brakło ich nigdy. Powiadają, że w starożytnéj Grecyi Heraklit płakał, a Demokryt śmiał się z głupstw i nędzy ludzkiéj; za naszych czasów Schopenhauer złorzeczył życiu i wyzwolenia szukał w negacyi tegoż, a znów H. Spencer, mimo że Anglik, pełen jest różowych nadziei co do przyszłych losów człowieka na ziemi.

Jeżeli ani pesymizm, ani optymizm nie zawierają w sobie całkowitéj prawdy, czy ta odrobina, jaką zawierają, może się ludziom przydać? Niezawodnie. Najprzód pesymizm zwracając uwagę ludzi na braki w nich samych i w instytucyach, któremi się rządzą, istniejące; wykazując ich strony złe, lub słabe, przyczynia się do zmiany na lepsze

postępowanie jednostek i do modyfikacyi urządzeń. Jestto nieustający krytyk, nigdy niezadowolony, wymagający od ludzi czasem może za wiele; ale mimo to pożyteczny dla świata. Musi mieć racyą bytu, skoro przez wieki się utrzymuje i będzie ją miał zawsze, byle nie zapominał, że nie zawiera prawdy absolutnéj.

Mniéj może pożytecznym jest optymizm, ale i on wynika z tego, czego człowiek doznaje. W świecie fizycznym i ludzkim są zjawiska, rzeczy, fakta piękne, które radują znękaną duszę ludzką. I ta wiara w postęp, w doskonalenie się ludzi dodaje niejednemu otuchy i bodźca do pracy, do poprawy i siebie i urządzeń społecznych, czyli dążenia do melioryzmu. Wyraz to nowy, ale tak dobry, jak pesymizm i optymizm. W istocie, świat nie jest ani najgorszym, ani najlepszym, lecz ile tyle lepszym ludzie go mogą uczynić; przeklinanie lub wychwalanie świata i życia ani na jotę rzeczy nie zmienią.

Tu mimochodem zauważyć trzeba, iż jak wiek XVIII-ty pełen był optymistów, teoretyków obiecujących sobie bliski raj na ziemi; tak znowuż nasz wiek, a zwłaszcza jego schyłek obfituje w pesymistów. Jestto reakcya; wiek ten nie ziścił nadziei przeszłego: ani pokój wieczny, ani braterstwo ludów nie nastąpiły. Jedno i drugie mogą być tylko idealnymi celami, a czy się kiedy ziszczą, zobaczą dopiéro przyszłe pokolenia.

Rozprawianie o pesymizmie lub optymizmie, uczone lub mniéj uczone, może zająć umysł, rozświecić przedmiot, ale chodzi nam nietylko o rozumienie sprawy, lecz i o praktyczną radę życia. Życie jest zawsze ciężarem dla mnóstwa, a może dla wszystkich ludzi. Jak ten ciężar dźwigać? Przekleństwo i pochwała nie uczynią go lżejszym. Sądzimy, że dźwiganie ciężaru życia lżejszém się stać może dla tego, kto w niém nie upatruje ani tortur jedynie, ani szuka zapustnego szału. Daléj, życie większéj części ludzi składa się z niezliczonych, drobnych czynności, wyczerpujących siły ciała i umysłu, a nie dających ani zysku, ani sławy — życie jest szare, jaśniejsze nici rzadko się przez nie snują. Trzeba więc obrać cel jakiś i dążyć do niego usilnie, ażeby powszednie troski i prace niejako zabić. Takie cele, jak nazywają, wyższe, mogą leżeć w nauce, sztuce, filantropii i t. p. I te cele nawet osiągnione mogą jeszcze zostawić próżnię, ale to już leży w naturze człowieka, że pragnienia jego, życzenia, odradzają się codziennie. Dążąc do tego, by w swoim zakresie i według sił swoich robić tyle dobrego, ile można, człowiek ustrzeże się obu ostateczności, zarówno pesymizmu jak i optymizmu.

K.

Z OKAZYI WYSTAWY.

ROLNICTWO AMERYKAŃSKIE*.

I.

Było to na folwarku Larimorskim, w północnéj Dakocie. Zdumiony ogromem obrazu, jaki roztaczał się przed mojemi oczyma — czterdzieści kilka żniwiarek winno było w ciągu niespełna godziny ogołocić z szaty zbożowéj pole, mające z górą 10 włók przestrzeni, i powiązać w snopy, — wypowiedziałem swój podziw stojącemu obok mnie korespondentowi jakiegoś rolniczego pisma amerykańskiego, dodając, że teraz konkurencya zbożowa Stanów Zjednoczonych z wiązanki suchych dat statystycznych przyoblekła się w krew i ciało.

— Nie w tém spoczywa główna nasza siła—odrzekł. My w Ameryce posiadamy urzędowy sztab agronomiczny, jakiego nie znacie w waszych starych krajach. On prowadzi nas do boju konkurencyjnego, daje wskazówki, udziela rady swojéj.

Przytaczam tę ulotną rozmowę, bo daje o tém pojęcie, w czém rodowity amerykanin upatruje główną potęgę swojego kraju. Zaiste, rola rządu w zakresie spraw ekonomicznych jest po tamtéj stronie Atlantyku bardzo wpływowa. Europejski przybysz narzeka na zamor-

*) Zobacz „Ateneum“, miesiąc styczeń r. b., str. 175.

ską „anarchię": nikt go za rękę nie prowadzi do wagonu, wszędzie musi liczyć na samego siebie i pamiętać o tém, że *self help* jest zasadniczą maksymą amerykańskiego życia. Ale po za tą pozorną bezładnością państwo zgoła nie wyznaje zasady, że w dziedzinie stosunków ekonomicznych winno ono spełniać jedynie rolę nocnego stróża. Doszło nawet do tego, że centralny rząd w Waszyngtonie jest w gruncie rzeczy placówką ekonomicznéj działalności, która to działalność góruje tam po nad wszystkiemi innemi czynnościami. Pod tym względem ciekawych wzorków dostarczył w Białymgrodzie „gmach rządowy" — *Government building*, o którym wspominaliśmy w poprzednim artykule. Chodząc po przestworzach tego budynku, gotów byłem mniemać, że zwiedzam wystawę jakiéjś instytucyi naukowéj lub doświadczalni przemysłowéj: tam oglądaliśmy modele kwarantan na bydło, owdzie—urządzenie doświadczalni rybackiéj, to znowu staliśmy w pracowni agronomiczno-chemicznéj, mikroskopijnéj lub jakiéj innéj, związanéj z potrzebami rolnictwa i przemysłu. Militaryzm schował się do skromnego kącika i tam, jak gdyby wstydząc się swego charakteru nieprodukcyjnego, popisywał się robotami niwelacyjnemi, regulacyami rzek i innemi czynami w tym samym rodzaju.

Wśród tych wystaw gmachu rządowego, niemało miejsca przypadło departamentowi rolnictwa, o którym wspominał na polach fermy Larimore, ów korespondent, kiedy mówił, że Ameryka posiada urzędowy sztab, prowadzący rolników do konkurencyjnego ataku na Europę. Korzystając z nadarzającéj się okazyi, jąłem rozglądać się w działalności tylko co wymienionego departamentu, a im studya dłużéj się przeciągały, tém podziw wzrastał bardziéj, konkurencya zaś amerykańska przybiérała zgoła inny wygląd. Do tego czasu majaczyła przed moją wyobraźnią, jako wypadkowa mnóstwa pojedyńczych, niezwiązanych nawzajem ze sobą, niekiedy krzyżujących się może wysiłków: zachęcony cenami zboża na rynkach europejskich, ktoś wysyłał produkt pszenny, inny spieszył z transportem bydła, wszyscy zaś działali na ślepo. Tymczasem spostrzegłem teraz, że téj rzeszy zamorskiéj, czychającéj na rynki europejskie, przewodniczy zorganizowana wola, lepiéj obeznana z wymaganiami rynków naszéj części świata, aniżeli sami europejczycy. W następstwie tych studyów, departament rolnictwa wysunął się naprzód jako naczelna baterya, kierująca samopas idącymi na pozór czynami amerykańskiego rolnika i osłaniająca sobą najście zamorskiego produktu na Europę.

Rozejrzyjmy się w działalności téj placówki. Niekiedy będziemy w jéj przedstawieniu posługiwali się może nudnemi cyframi, ale czytelnik raczy przebaczyć nam tę obfitość dat statystycznych, bezwzględnie

koniecznych, jeżeli chcemy zapoznać się ogromem pracy, jaki spoczywa na agronomicznym sztabie Stanów Zjednoczonych. Przedtém jednak godzi się powiedzieć słów kilka o ukształtowaniu biura rolniczego. Jak wszystko za morzem, nie zachwyciłoby ono estetyka, szukającego symetryi i porządku. Podobnie jak targowisko na bydło w Chicago jest zbiorem parkanów, parkaników, pomostów, galeryi, piętrzących się jedne nad drugiemi, jak olbrzymie, milionowéj produkcyi fabryki są zlepkiem trzęsących się niekiedy domków i przystawek, które samą strukturą swoją świadczą o tém, że powstawały zwolna pod wpływem potrzeby; tak samo departament rolnictwa składa się z mnóstwa biur, rozgraniczała zaś je i klasyfikowała nie logika, lecz potrzeba. Na początku istniał np. dział botaniczny, ale życie zrodziło większą potrzebę w studyach nad tkankami lub nad patologią, aniżeli nad normalnym rozwojem rośliny. I oto zjawiły się działy tkanek i patologii roślinnéj, które rozrosły się, otrzymały każdy byt niezależny a z czasem jęły swoją działalnością zaćmiewać macierz, z któréj łona wyszły. A to samo widzimy w mnóstwie przypadków. Symetryi najmniejszéj! A jeżeli jakaś produkcya rozwinie się silnie, np. rybactwo, obecnie zaś mleczarstwo, wtedy powstaje nowy departament, nie bacząc na żadne wymagania logiki klasyfikacyjno-biurokratycznéj. Rzekłbyś, taki sam zbiór przystawek i chléwków, jakie oglądamy na podwórzu amerykańskiéj fabryki, jako siedlisko milionowéj produkcyi.

Wymieniliśmy nazwiska kilku działów. Zdawałoby się, że dla charakterystyki departamentu rolnictwa dosyć byłoby wymienić resztę sekcyi. Ale, niestety! nazwa etykiety, przylepionéj na pewném biurze, zgoła jeszcze nie daje wyobrażenia o tém, co pod nią *yankee* ukrył. Weźmy chociażby dział entomologiczny. Naturalnie z nazwy jego wiemy już, że zajmuje się on owadami, ale takie wyjaśnienie jest warte owego — że opium upaja, ponieważ ma własności upajające. Działalność biura entomologicznego jest skierowana ku temu, ażeby ochraniać rolnictwo amerykańskie od szkodników z pośród owadów. Wojenna taktyka z jego strony jest nader wielostronna i zarazem charakterystyczna. Naprzykład w plantacyach drzew pomarańczowych w południowéj Kaliforni ukazała się pluskwa jakaś, niszcząca ogrody. Biuro w następstwie doświadczeń wyszukało, że *vedalia cardinalis* zachowuje się względem tamtéj jako pasożyt. Wyhodowano więc tego wroga w owadarni biura i puszczono do plantacyi kalifornijskich, które zostały w ciągu lat dwóch uwolnione od trapiącéj je plagi. Powodzenie takie zachęciło entomologów, wysłano więc delegatów do Australii i gdzieindziéj celem przywiezienia dla studyów możliwych jestestw, o których wolno było przypuszczać, że mogą wyrosnąć na pasożytni-

czych lub innéj taktyki tępicieli. Obrazek tem maluje przewybornie strategikę urzędowych entomologów. Śledzą oni tryb życia tego lub innego owadu, badają jego wrogów i choroby, ażeby w potrzebie zużyć te wskazówki natury na oręż w celowéj walce ze skrzydlatym wrogiem. Poszukiwania zaś wzorują się na żądaniach życia przemysłowego. Każdy rolnik amerykański posiada prawo wysyłania złapanych na swojém polu owadów do urzędu waszyngtońskiego, który wzamian musi odpowiedzieć i udzielić żądanéj rady. W r. 1892 entomolodzy urzędowi otrzymali aż 4,000 tego rodzaju posyłek. Mając pod ręką taką masę materyału, łatwo mogą dostrzedz, do jakich studyów wypada im się zabrać przed innemi, dla studyów zaś istnieją specyalne pracownie, hodujące w swoich murach legiony szkodników. Dzięki biuru entomologicznemu, rolnictwo amerykańskie poszczycić się może tém, że posiada statystykę najazdów ze strony owadów. Biuro notuje wędrówki tego lub innego owadu po przestrzeni kraju, z góry oblicza, na jakie terytorya rzuci się on w następnym roku, śpieszy z przestrogą i uwiadomieniem zagrożonych okolic, podaje rady zapobiegawcze.

Albo weźmy biuro botaniczne. Nie myślmy, aby zajmowało się ono wszystkiemi roślinami: owoce należą do działu pomologicznego; drzewa leśne do leśnego; rośliny dostarczające miazgi tkackiéj, do innego; choroby roślin do patologicznego. Biuro botaniczne jest oddane studyom jedynie nad stepowemi trawami. Na zachodzie Stanów Zjednoczonych ciągną się ogromne prerye. Okolica to nawpół sucha, w któréj zresztą, gdyby spadek deszczów przypadał w należytéj porze, zboże dojrzewałoby przewybornie. Ale posiłek dżdżowy spada nie wtedy, kiedy jest potrzebny, lub nie w dostatecznéj ilości! Idzie zatém o wyszukanie roślin pastewnych, które zdołałyby przyjąć się w takiém otoczeniu i wydać lepszą paszę, aniżeli to czynią te, które obecnie porastają step. A więc w Kanzasie na przestrzeni blisko 6 włók, założono odpowiednią fermę. Zręczni agenci botaniczni zbiérają dla niéj wszelakie zielsko w Dakocie, Kolorado, w Meksyku, nawet w Australii. Nie darowano prawie żadnemu zakątkowi globu ziemskiego, którego klimat przypomina stosunki stepowe. Wszystko to teraz jest hodowane na fermie kanzaskiéj—może coś wyjdzie z doświadczeń.

Omijamy różne biura meteorologiczne z nadzwyczaj rozgałęzionym systemem stacyi, a odbywające studya nawet nad sztucznem wytwarzaniem deszczów; milczeniem pomijamy działalność laboratoryów chemicznych i próby odkrycia nowych użytecznych roślin wśród dziko rosnącego obywatelstwa. Przechodzimy do biura przemyslu zwierzęcego — *of Animal Industry*, jak brzmi urzędowa nazwa. I tutaj nie

ogarniemy całości, bo byłoby za wiele. Głównie zatrzymamy się nad tą działalnością tylko co wymienionego biura, która jest skierowana na ułatwienie rynkowych podbojów produktom hodowli amerykańskiéj. Weźmy kilka szczegółów. Przed dziesiątkiem lat poczęto w Anglii podejrzéwać rogate bydło, przychodzące z Ameryki, o gruźlicę. Doszło do tego, że zaczęto grozić zamknięciem wstępu do portów angielskich dla transportów zamorskich. Wtedy departament rolniczy otworzył biuro hodowli zwierzęcéj celem wytępienia zarazy. W ciągu niespełna lat sześciu poddano inspekcyi około 167,000 trzód, zawierających w sobie z górą półtora miliona sztuk bydła. W urzędowym raporcie z r. 1892 czytamy taki ustęp: „Biuro hodowli zwierzęcéj odniosło zupełny tryumf, niebezpieczna bowiem choroba, któréj się tak mocno obawiają, została wytępiona z powierzchni naszego kraju. Stany Zjednoczone są pierwszym wielkim narodem globu ziemskiego, który, mając u siebie do czynienia z silném rozpowszechnieniem zarazy, zdołał ją zupełnie wykorzenić. Trzeba na to było pięciu lat czasu i nieco więcéj nad półtora miliona dolarów.” A nie jest to bynajmniéj czcza fanfaronada — są rzeczy, z których nie lubi Amerykanin żartować. Celem uzupełnienia powyższéj kontroli ustanowiono jeszcze kontrolę nad każdą sztuką rogacizny, przeznaczoną na wywóz do Europy. Jedynie okazy, napiętnowane przez inspekcyę w sposób właściwy i zapisane ze swego rodowodu, mogą być przyjęte na okręt. W roku fiskalnym 1891/92 poddano inspekcyi wywozowéj z górą 800,000 bydła rogatego, z pośród którego starannie wyłączono sztuki, podejrzane o chorobę. Wreszcie bydlę przybywa na okręt używany do transportu. Inspekcya znowu poddaje okręt dezynfekcyi i rozciąga baczny nadzór, żeby na każdą sztukę przypadała określona ilość powietrza i istniała dobra wentylacya. A kiedy okręt zawinie wreszcie do Anglii ze swoim transportem, zjawiają się wtedy nowi urzędnicy amerykańskiéj inspekcyi weterynaryjnéj, którzy nie pozwolą sprzedać ani jednéj podejrzanéj sztuki — interesy amerykańskiéj ojczyzny nie zniosłyby takiéj kompromitacyi. Inspektorów zaś kontroluje miejscowy spożywca. Rzeźnik, który dostrzeże oznaki gruźlicy w kupioném bydlęciu amerykańskiego pochodzenia, ma prawo zwrócić się z pretensyami do rządu amerykańskiego. Każdy taki przypadek jest powodem mnóstwa zachodów: urząd inspekcyjny daje znać centralnemu biuru w Waszyngtonie, że sztuka, nosząca na sobie takie a takie piętno, okazała się podejrzaną; w księgach zostaje sprawdzony rodowód tego wyrodka i wysłani inspektorzy celem zbadania na fermie odpowiedniéj trzody. W urzędowém sprawozdaniu z r. 1892 drobiazgowo możemy przyjrzéć się, ile zmartwień biuru hodowli zwierzęcéj wyrządzało znalezienie

przez Anglików kilku sztuk podejrzanych. Rozumie się, człowiek pod wszystkiemi szerokościami jest tą samą istotą, gotową za łapówkę ułatwić wszelkie przemytnictwo. Lecz tam, gdzie łapówka zdoła przynieść szkodę całemu krajowi, Amerykanin umié tak urządzać wzajemną kontrolę, że przekupstwo jest nader utrudnione. Właśnie taką maszyneryę spostrzegamy w całéj inspekcyi wywozowéj. A wszystko zmierza do jednego wielkiego celu: rząd amerykański winien powściągnąć niesumienność poszczególnych hodowców, gotowych rzucać na rynki zamorskie lichy towar i psuć opinię produktu amerykańskiego. W tym wypadku biuro hodowli jest placówką strategiczną, powstrzymującą każdy nierozważny krok ze strony swoich szeregów. To samo biuro prowadzi jeszcze większych rozmiarów kontrolę nad wywozem mięsa. Wreszcie na jego barkach spoczywa nadto mnóstwo innych czynności: prowadzi ono nadzór nad dowozem bydła z Kanady, pielęgnuje studya nad chorobami zwierząt domowych, trudni się badaniem słabych stron rynków europejskich, opracowuje dzieła tyczące się amerykańskiéj hodowli i t. d.

Ażeby poznać lepiéj ogrom czynności spoczywający na departamencie rolnictwa, zatrzymamy się jeszcze nad kilku biurami, w którychześrodkowano pewne gałęzie działalności, spólne wielu pojedyńczym działom. A zatém mamy tak zwane biuro nasion, którego obowiązkiem jest bezpłatne rozsyłanie nasion wszystkim fermerom, którzy przedstawią odpowiednią rekomendacyę ze strony członków kongresu. Starczy powiedziéć, że w r. 1892 wysłało ono około sześciu milionów pakiecików z najrozmaitszemi próbkami. Stany Zjednoczone mogą być wprost dumne z téj pieczołowitości rządu o postęp swojskiego rolnictwa. A do powyższego wykazu nie weszły ani rozdawnictwo młodych drzewek przez dział ogrodów i gruntów, ani rozsyłanie nasion buraków cukrowych przez biuro chemiczne, ani wiele innych podobnego rodzaju dowodów hojności. Obok biura nasion należy wymienić statystyczne. Jest-to istotna placówka szpiegów, któréj obowiązkiem jest zdawać nieustającą sprawę o stanie rolnictwa i hodowli we wszystkich zakątkach globu ziemskiego, które wysyłają swój produkt na rynki wszechświatowe. W zaprzeszłym roku w różnych punktach naszéj planety znajdowało się do piętnastu tysięcy osób, baczną zwracających uwagę na każdy postęp i każdą zmianę w zagranicznem rolnictwie. „Biuro nasze — czytamy w urzędowym raporcie — pokryło swoją działalnością każdą prawie rzeczpospolitą, cesarstwo, monarchię i kolonię na ziemi, któréj działalność staje się coraz różnobarwniejszą, obszerniejszą i dokładniejszą aniżeli kiedyś. W miarę tego, jak kraj rośnie i jego przemysł mnoży się, równolegle téż wzrasta zapotrzebowa-

nie dat statystycznych dla celów prawodawczych i handlowych. Tłumy fermerskie rozumieją użyteczność i konieczność szybkiéj, pełnéj i ściśléj wiadomości co do metod i ruchu rolnictwa, produkcyi i rozdziału, ceny i rynków; porzucili oni niemądry a wsteczny pogląd, że niewiadomość jest błogosławieństwem, tajemniczość zaś—zbawieniem."[7] A prócz ajentów, znajdujących się w najrozmaitszych ustroniach i na wszystkich rynkach, biuro statystyczne w wymienionym powyżéj roku, posiadało jeszcze 125 tysięcy korespondentów pomiędzy fermerami swojego kraju, którzy systematycznie nadsyłają wiadomości o stanie zasiewów, widokach urodzaju, obfitości plonów. Na podstawie tych nowin, urząd statystyczny co miesiąc wypuszcza w świat w olbrzymiéj ilości egzemplarzy biuletyny, zawiérające w sobie możliwe wskazówki. — Wreszcie istnieje biuro wydawnicze, którego zadaniem jest ogłaszanie prac, napisanych przez różne sekcye departamentu rolniczego. Rozumié się, te publikacye są rozsyłane darmo. Rzecz cała obywa się bez biurokratycznego formalizmu, tak wybujałego w podobnych wypadkach w naszéj części świata. Nie możemy powstrzymać się od przytoczenia wzorku téj łatwości dostępu do wydawnictw urzędowych. Razu jednego zaszliśmy na wystawie do pawilonu stacyi doświadczalnych dowiedzićć się, kiedy wyjdzie następny raport. Zastaliśmy jedynie woźnego, który zaproponował, ażebym zostawił u niego swój adres w Warszawie, a raport zostanie wysłany. Minęło kilka miesięcy. Zapomniałem zupełnie o obietnicy, któréj wcale nie brałem poważnie, kiedy najniespodziewaniéj listonosz przyniósł mi przed paru tygodniami książkę, o którą dopytywałem się we wrześniu w Chicago. Jedne publikacye są urzędowemi sprawozdaniami z działalności tego lub innego biura; inne — olbrzymiemi monografiami o stanie takiéj a takiéj gałęzi przemysłu rolnego, to znowu podręcznikami, opisującemi nowe metody uprawy, objawy jakiéjś choroby i in. Niektóre z książek wychodzą w olbrzymiéj ilości egzemplarzy, np. ogólne sprawozdanie departamentu jest książką o kilkustach stronic, drukowaną w 400,000 odbitek. Dosyć będzie chyba powiedzićć, że ogół wydrukowanych w r. 1892-im stronic, jak czytamy w raporcie, wyniósł z górą sto milionów, koszta zaś do 80,000 dolarów.

Tak wygląda ów generalny sztab rolnictwa amerykańskiego, o którém wyrzekł ów dziennikarz na polach fermy larimorskiéj, że w nim spoczywa główna siła zamorskiéj konkurencyi. W saméj rzeczy, Stany Zjednoczone posiadają bojową bateryę, o jakiéj nie słyszała nasza część świata, bateryę, która prowadzi je do walki konkurencyjnéj, oczyszcza pole dla pojedynku ekonomicznego i troszczy się o zwycięstwo swojego kraju.

II.

Dotychczas podziwialiśmy departament rolnictwa. Ale istnieje jeszcze inna instytucya za morzem, któréj Europa śmiało może pozazdrościć swojéj córze. Hodowcy i rolnicy wydzierali niegdyś przyrodzie jéj tajemnice na drodze prywatnych wysiłków, które okupowano niekiedy zbyt wielkim haraczem w porównaniu z otrzymywanemi korzyściami. Jasną jest rzeczą, że takie postępowanie nie bardzo uśmiecha się amerykańskiemu fermerowi, wśród cnót gospodarczych którego pierwsze miejsce zajmuje praktyczność. Wié on przewybornie, że zootechnika dla swojego postępu potrzebuje olbrzymich środków pieniężnych i wielkich laboratoryów hodowlanych i rolnych, że wymaga obok tego całéj organizacyi celem rozpowszechniania zdobytych wiadomości. Zwrócił się więc do państwa, ażeby było czémś więcéj, aniżeli poborcą podatków, mianowicie aby podjęło zadania, przewyższające środki prywatne. Powstały stacye doświadczalne. Pierwsza ukazała się niespełna przed dwudziestu laty, w końcu zaś r. 1892 znajdowało się ich na powierzchni stanów już 54, posiadających na swoje rozkazy roczny fundusz z górą miliona dolarów. Zgromadziły one dokoła siebie cały sztab uczonych agronomów w liczbie po nad pięciuset; 115 chemików, 54 właściwych agronomów, 59 ogrodników, 7 mleczarzy, 34 entomologów, 26 weterynarzy — lecz dość téj litanii. W ciągu tylko co wspomnianego roku 40 milionów stronic pożytecznych i nowych wiadomości, zdobytych w tym czasie przez stacye doświadczalne, a zawartych w buletynach, przedostało się po za mury tych pracowni i utonęło na fermach; dodajmy do tego, że może w większéj jeszcze liczbie te same wiadomości rozpowszechniły się w kraju za pomocą prasy peryodycznéj, która skwapliwie streszcza wyniki buletynów. Doświadczalne stacye Stanów Zjednoczonych już w obecnéj chwili mogą służyć za wzór staréj Europie pod każdym względem — czy to metody poszukiwań na saméj fermie doświadczalnéj, lub sposobu rozpowszechniania rezultatów, czy wreszcie stosunku, jaki istnieje pomiędzy uczonymi, prowadzącymi doświadczenia na stacyi, a zastępem zwykłych fermerów. Nie chcemy przesądzać dalszego rozwoju, ale zdaje się nam, że lubo już chwila dzisiejsza pozostawiła w téj mierze Europę na szarym końcu, przecież przyszłość nie wyrówna téj odległości, ale raczéj ją jeszcze rozszerzy.

Zanim przejdziemy do skreślenia stanu amerykańskich stacyi doświadczalnych, musimy rzec słów parę o ich przeszłości. Naturalnie, nie idzie nam o osoby i inne rupiecie historycznego rynsztunku. Hi-

storya wszelako bywa niekiedy pożyteczną z innego powodu, mianowicie kiedy poznajamia nas z dążnościami pewnéj sfery ludzkiego czynu. A dzieje amerykańskich stacyi doświadczalnych jaskrawo opowiadają o potężném parciu naprzód postępu rolnego w Stanach Zjednoczonych i o roli państwa w téj mierze! Świadczą one o téj właściwości zamorskiéj kultury, że jakaś potrzeba, skoro raz już zjawi się w codzienném życiu, nie potrzebuje czekać setek lat na swoje zaspokojenie. Wzmiankowaliśmy, że pierwsza stacya ukazała się w r. 1874. Ale dopiéro rok 1887-my jest istotną datą przełomową w rozwoju rozpatrywanych zakładów, wtedy bowiem ciała prawodawcze związku północno-amerykańskiego powzięły uchwałę, zapewniającą przyszłość stacyom. Postanowiono wtedy, że mają powstawać w każdym stanie przy tak zwanych kolegiach rolniczych (szkołach), celem rozpowszechnienia pomiędzy ludnością ziemiańską pożytecznych wskazówek i wiadomości, a nadto dla dokonywania samodzielnych prób nad różnemi zagadnieniami, znajdującemi się w związku z produkcyą rolną. Uchwała między innemi wylicza czynności, które obowiązana będzie spełniać uprawomocniona instytucya. Warto zapoznać się z tym ustępem, gdyż przewybornie odsłania nam całą szerokość zamiarów. Otóż, według brzmienia ustawy zasadniczéj, stacye doświadczalne winny czynić poszukiwania nad fizyologią roślin i zwierząt, nad chorobami i epidemiami, oraz środkami zapobiegawczemi, nad składem chemicznym rośliny w różnych porach życia, oraz w różnych odmianach gatunku, nad najwydajniejszym systemem płodozmianów i aklimatyzacyjnemi zdolnościami rośliny, nad nawozami naturalnemi i sztucznemi, a nadto nad wartością rozmaitéj paszy dla różnych celów hodowlanych, nad sposobami produkcyi masła i séra, wogóle nad wszelkiemi potrzebami rolnictwa amerykańskiego. Przytoczyliśmy ten rejestr celów, wytkniętych przez prawo, gdyż nietylko nie pozostała ona martwą literą na papierze, jak gdzieindziéj bywa, ale doznała olbrzymiego rozszerzenia. Nadto powyższa uchwała, prócz funduszów na założenie stacyi i dalszych na ich rozszerzanie, wyznaczyła dla każdego stanu stałą pomoc roczną w ilości 30,000 rubli. Gdzie w stanie znajduje się tylko jedna stacya doświadczalna, zabiera ona dla siebie całą tę sumę, gdzie zaś istnieje kilka, tam muszą się dzielić! Ale rzecz w większości wypadków nie zatrzymała na têm. Wiele stacyi, prócz pomocy ogólno-związkowéj, otrzymuje jeszcze pomoc ze strony swego stanu.

W następstwie tego niektóre stacye rozporządzają bardzo znacznemi funduszami, np. znajdująca się pod opieką uniwersytetu kalifornijskiego posiada stałego rocznego dochodu 28,000 dolarów.

Rozwój szybki, środki olbrzymie, zadania bardzo szerokie. A działalność? O niéj opowiadają nam stosy sprawozdań i buletynów, z których można byłoby ułożyć sporą bibliotekę. Każda stacya jest zobowiązana corocznie, w określonym czasie, złożyć gubernatorowi drukowany raport z rocznéj działalności, wylegitymować się z tego, na co poszły znajdujące się do jéj rozporządzenia fundusze. Mamy przed sobą kilka takich rocznych raportów z różnych stacyi.

Raport stacyi w stanie Connecticut, jednéj z weteranek na tém polu, opowiada, że zajmowała się w r. 1892 ona niemal wyłącznie poszukiwaniami nad najrozmaitszego rodzaju nawozami, oraz czyniła analizę nawozów sztucznych i naturalnych, znajdujących się w handlu u rozmaitych firm. Książka ta, z górą półtorasta stronic, poświęcona jest tylko przedstawieniu rezultatu tych badań; zaznaczymy między innemi, że stacya w ciągu swego istnienia, około piętnastu lat czasu, dokonała analizy aż 3,722 próbek nawozu sztucznego. W sprawozdaniu znajdujemy nadto wiadomość o stanie rynku nawozowego, gdzie zatém i kiedy, oraz w jakiéj cenie nawóz jest sprzedawany.

Każda stacya wydaje tak zwane buletyny. Zawierają one przedstawienie rezultatów, do jakich stacya doszła w jakiéjś szczególnéj dziedzinie, nad którą czyniła spostrzeżenia. Buletyny bywają rozsyłane każdemu członkowi stanu bezpłatnie na żądanie, a zawsze są pisane w sposób przystępny, zrozumiały. Są stacye zamożniejsze, które wydały już po setce takich publikacyi. Mieliśmy pod ręką całe stosy tych buletynów z ostatniego roku. Zatrzymamy się nad niektóremi, gdyż dają one przewyborną próbkę działalności samych stacyi doświadczalnych. Buletyn N. 11 ze stacyi stanu Utah streszcza wyniki badań nad wpływem na bydło swobodnego ruchu i zamknięcia w oborze, N. 12—próby nad uprawą warzyw, N. 13 zawiera uwagi nad wpływami różnéj paszy i w różnéj postaci na konie, N. 14 mówi o głębokiéj orce w gospodarstwie warzywném, N. 15 o wpływie różnéj paszy na bydło—opuszczamy dalsze.

Każdy buletyn zawiera w końcu streszczenie wyników w postaci paragrafów, oraz krótkie rady dla fermerów. Rzecz jest zatém przeznaczona nie po to, aby gniła i butwiała na półkach, ale ażeby natychmiast jéj wskazówki zostały wprowadzone w praktyce. W północnéj Dakocie, gdzie uprawa pszenicy jest niemal wyłączną czynnością gospodarską, stacya doświadczalna wyspecyalizowała się w odpowiednim kierunku. Posiadamy w obecnéj chwili dwa ostatnie buletyny. N. 8 jest nadzwyczaj popularnym wykładem téj prawdy, że jednostajna z roku na rok bez nawozu przedsiębrana uprawa tego samego kawałka gruntu pod pszenicę musi wreszcie grunt wyjałowić; radzi przejść do urozmai-

conego trybu gospodarowania. Rzecz elementarna, ale na stepach dakockich mało znana, a raczéj mało uwzględniana! Wspomniany buletyn rozpatruje nadto jeszcze różne dakockie gatunki zboża, które z nich są najwydajniejsze pod względem mąki. Buletyn N. 9 zajmuje się przedstawieniem warunków, wpływających na jakość ziarna pszennego, przeznaczonego do siewu. Znaczenie produkcyi masła i sérów dla rolnika amerykańskiego uwidoczniło się w mnóstwie buletynów, poświęcanych téj sprawie. Buletyn N. 34 (nowa serya) ze stacyi doświadczalnéj w stanie N.-Jork, streszcza wyniki doświadczeń nad różnemi rasami bydła co do wydajności pod względem masła, buletyn N. 18 stanu Georgii poświęcony został wykładowi głównych zasad gospodarstwa nabiałowego; buletyn N. 22 z pensylwańskiéj stacyi doświadczalnéj jest zajęty sprawozdaniem z działalności rozmaitych separatorów; N. 21 stacyi w stanie Vermont rozpatruje sposoby badania dobroci mléka; N. 18 z Newady, dokąd nowoczesny wyrób masła i sérów dopiéro wkracza, jest popularnym wykładem o produkcyi sérów. Kilka buletynów, jakie mamy pod ręką, traktują o owadach niszczących pszenicę; kilka zajmuje się produkcyą kartofli, jeden — miodu. Zresztą, czego tam nie ma! Dodajmy, że stacye doświadczalne są jednocześnie stacyami meteorologicznemi, w razie potrzeby z góry uwiadamiającemi fermerów o przewidywanych zmianach temperatury; że podczas żniwa wydają one tygodniowe krótkie okólniki o stanie urodzajów z jakiéjś niekiedy setki miejsc w danym stanie, a nabierzemy jakiego takiego wyobrażenia o rozpatrywanych tu instytucyach amerykańskich.

Przéjdźmy teraz do innych szczegółów. Stacya doświadczalna w Stanie Kanzas ma 315 akrów gruntu, w Colorado 240, uniwersytetu w Nebrasce 320, w Jowie 640; wszechnica illinojska posiada dwie fermy, razem do 600 akrów, w stanie Indiana 160, michigańska do 700 i t. d. Jak zatém widzimy, rozmiary niektórych stacyi doświadczalnych są bardzo spore, a roboty na nich dokonywane odznaczają się charakterem na wskróś amerykańskim, t. j. olbrzymim. Np. na stacyi coloradzkiéj czyniono poszukiwania nad 366 różnemi odmianami pszenicy, 52 owsa i 54 jęczmienia, w Nebrasce próbowano 176 odmian kartofli. Z wielu studyów zwrócimy uwagę na pracę nad owadami. Przy uniwersytecie Cornellskim, oraz na stacyi Amkerst założono tak zwaną owadarnię — chyba że taki należy ukuć wyraz dla oddania angielskiego *insectory*. W owadarni owéj specyaliści-entomolodzy hodują szkodliwe owady, pielęgnują rośliny przez nie niszczone, wreszcie znajduje się izba, w któréj probują różnych środków, zabijających to szkodliwe plemię niszczycieli zboża. Stacya Cornellska czyni próby nad

tępieniem owadów za pomocą latarni. Mamy też pod ręką jeden z ostatnich buletynów stacyi doświadczalnéj w Nowym Meksyku, poświęcony sprawie owadów; poucza on o pompach i innych narzędziach, za których pomocą można masowo wyrzucać na szkodników trujące substancye. A do téj tak różnorodnéj i wszechstronnéj działalności dodajmy ciągłe zetknięcie stacyi z zastępami fermerów ze swego stanu, którzy nietylko otrzymują bezpłatnie wszystkie buletyny i inne wydawnictwa, lecz nadto wprost wpływają na kierunek poszukiwań, stawiając względem stacyi te lub inne żądania.

Ziemianie czynią ciągle wycieczki do stacyi, ażeby namacalnie przekonać się o tém lub owém, stacya znowu kieruje wystawami miejscowemi. „Amerykańskie stacye doświadczalne, mówi z tego powodu jeden uczony agronom europejski, który niedawno odbywał wycieczkę za morze, celem poznajomienia się z rolnictwem Nowego Świata—znajdują się w ściśléjszéj łączności z fermerami odnośnego stanu i lepiéj znają ich potrzeby, aniżeli się to dzieje w Niemczech, gdzie pracownik w doświadczalni, a praktyczny rolnik, są przedzieleni tak wysokim murem, że wzajemnie siebie nie rozumieją. Łatwa zrozumiałość—oto wielka zaleta wszystkich publikacyi amerykańskich stacyi doświadczalnych. Uczony na stacyi amerykańskiéj ogląda na własne oczy i doświadcza swoją pracę naukową; sam sieje, żnie, wypasa, zna codzienną praktykę rolnictwa. Każdy naukowy traktat amerykańskich stacyi doświadczalnych kończy się ogólno-zrozumiałemi wywodami i zastosowaniami. Może stacye te za wiele i za szybko publikują, tak, iż to i owo jest niedojrzałém i nie przetrawionėm. Ale w ogólności są one wiernymi i sumiennymi doradcami fermerów swego stanu i pionierami postępu w zakresie krajowego rolnictwa".

Gdyby pozostawiono takie stacye samym sobie, nie ulega najmniéjszéj wątpliwości, że we wzajemnéj działalności aż nazbyt często krzyżowałyby się ze sobą. Koniecznością jest istnienie instytucyi, która stałaby nad niemi, ułatwiała wzajemne stosunki, pośredniczyła. Taki organ centralny powołano do życia tym samym aktem prawodawczym, który stworzył stacye doświadczalne, a raczéj zapewnił im na utrzymanie stałe środki pieniężne. Jest to t. z w. *Office of Experiment Station*, istniejący przy departamencie rolniczym w Waszyngtonie. Ktoś urząd stacyi doświadczalnych nazwał giełdą w stosunku do pojedyńczych, stanowych doświadczalni. I zaprawdę, poniekąd spełnia on taką rolę. Naprzód wydaje tak zwane *Records*. Jest to książka, która w krótkości streszcza wyniki buletynów, wydawanych przez pojedyncze stacye. Zamiast więc przeglądania buletynów, co jest rzeczą niekiedy mozolną, wystarczy mieć pod ręką te skorowidze publikowane przez biuro centralne.

Następnie od czasu do czasu ogłasza ono buletyny fermerskie: *Farmer's bulletins*. Są to nadzwyczaj popularne wykłady w różnych kwestyach obchodzących rolnika. Następnie idą *Experiment station bulletins;* zajmują się one skreśleniem stanu tych instytucyi, sprawozdaniami z różnych zjazdów i konwencyi i t. d.

A zatém widzimy, że stacye doświadczalne w Ameryce są w rzeczy samėj ogniskami rozpowszechniania w kraju postępowych metod rolnictwa i hodowli. Ale jeżeli czego mamy zazdrościć Stanom Zjednoczonym, tedy mniéj winno nas obchodzić to, co tam istnieje, lecz jak zjawia się w życiu. Jest rzecz ważniejsza do pozazdroszczenia, mianowicie owa sprężystość, z jaką każda instytucya zostaje tam wcielona; owa prędkość, z jaką funkcyonuje i wpływ jaki wywiera; wreszcie owa bezpłatność, jaką się oznacza. Jeszcze słówko jedno. Buletyny amerykańskie zawierają niewątpliwie w sobie bardzo wiele rzeczy, które są znane już w Europie; może jeszcze więcéj takich, które są niemożliwe u nas do urzeczywistnienia. Ale znajduje się tam, sądzę, mnóstwo wiadomości, które przydałyby się nam. Ktoby je życzył mieć, niech śmiało zwraca się do Waszyngtonu, a prośba jego napewno nie zostanie niewysłuchaną, nie pociągając za sobą żadnych mozołów pracy prócz napisania listu.

Można upatrywać różne wady u amerykanów, lecz zazdrości u nich nie dostrzeżemy; za dużo mają dumy i pewności siebie, ażeby pod korcem ukrywać to światło, które zdobyli w swoich stacyach.

III.

A teraz, gdyśmy się zapoznali z organizacyą departamentu rolnictwa i stacyami doświadczalnemi, przejdziemy do rozejrzenia się w stosunkach ekonomicznych i technicznych, jakie spotykamy w zakresie produkcyi zboża i hodowli bydła.

Doprawdy, byłbym w nielada kłopocie, gdyby kazano mi dać ścisłe określenie tego, co w Stanach Zjednoczonych uchodzi dzisiaj za rolnictwo. U nas do sfery rolnictwa zaliczono uprawę zboża, hodowlę bydła, produkcyę nabiału. Ale życie w swoim rozwoju w Stanach Zjednoczonych rozszerzyło ten tradycyjny zakres obowiązków rolnika i jednocześnie poczyniło w nim bardzo poważne zmiany. W niektórych stanach trudno wprost oznaczyć dokładną granicę pomiędzy właściwém rolnictwem a sadownictwem lub ogrodnictwem, tak silnie te różne procedery zmieszały się i poplątały z sobą nawzajem. Ferma w stanach nadatlantyckich utraciła swój tradycyjny charakter, do któ-

rego oko nasze przyzwyczaiło się w Europie, wieśniak zaś amerykański traktuje hodowlę owoców w tym samym rzędzie, co uprawę zboża. Z okien wagonu kolejowego przyglądaliśmy się niejednokrotnie widokom, świadczącym o takiéj odmienności. Niekiedy na przestrzeni bardzo a bardzo wielu mil jechaliśmy wzdłuż plantacyi ogrodowych: niby gaje, ciągnęły się one, poprzedzielane polami zbóż. Domki, widniejące wśród zieleni drzew, wyglądały z poza gąszczów niby chatki leśników. Plantacye szły regularnemi rzędami, każde drzewko było ostrzyżone tak samo, jak każde inne. Słowem, cały widok dowodził, że jesteśmy nie wśród swojskiéj rutyny, lecz obszarów, stosujących wskazówki naukowego sadownictwa. W Georgii, równolegle z polem, zajętém pod kukurydzę, ciągną się zagony oddane pod uprawę truskawek. Odbija się to nawet w treści czasopism rolniczych. Oglądaliśmy roczniki jednego z takich dzienników, wychodzącego w New-Yorku, a zatém przeznaczonego dla fermerów ze stanów nadatlantyckich. Na równi z właściwém rolnictwem, t. j. uprawą zbóż, czasopismo owo traktuje hodowlę owoców i bodaj, czy nie poświęca mu więcéj miejsca. Nawet rysunki świadczą o tém równouprawnieniu, np. na jednym oglądaliśmy śpichlerz, przeznaczony jednocześnie do przechowywania ziarna i owoców. Albo weźmy do ręki roczne sprawozdania departamentu rolnictwa lub buletyny rolniczych stacyi doświadczalnych. Wszędzie spostrzeżemy to samo. Jestto koniecznym owocem odmiennego biegu rozwoju w naszéj części świata a w Ameryce. U nas sadownictwo i ogrodnictwo sadowiło się, o ile szło o produkcyę na sprzedaż, w pobliżu miast, gdyż tylko wtedy mogły liczyć na zbyt swoich produktów. Stany Zjednoczone idą po innéj drodze. Kolej żelazna, niby sturamienny potwór, rozpostarła się swojemi członkami wzdłuż i wszerz obszaru zamorskiéj rzeczypospolitéj i odrazu umożliwiła transport najdelikatniejszych rzeczy na ogromne odległości. W tém właśnie tkwi główna przyczyna takiéj różnobarwności drobnéj fermy amekańskiéj. W ostatniém dziesięcioleciu zjawiła się jeszcze inna pobudka. Pod naciskiem zamorskiéj konkurencyi zbożowéj stęka nietylko ziemiaństwo europejskie. Jeszcze silniéj dotkniętém zostało rolnictwo wschodnich stanów związku północno-amerykańskiego. Rozwój stepu pszennego na dalekim Zachodzie nadzwyczaj ujemnie podziałał na własnych rodaków w okolicach Buffalo, N.-Yorku i t. d. Ale nie opuścili oni rąk; drobny fermer, w miarę tego, jak produkcya zboża przestawała się opłacać, z właściwą ludności amerykańskiéj przedsiębiorczością, zabrał się do zamiany pól na plantacye. Tamtéj nie porzucił, ale urozmaicił przedzielając łany pszenne rzędami drzew owocowych. Albo zwróćmy się do hodowli. I w tym zakresie ruchliwy *yankee* po-

szedł nową drogę na przekór tradycyom. Powstały olbrzymie przedsiębiorstwa hodowli ostryg i jeszcze innych pokrewnych mięczaków, dające w jednym stanie New Jersey zajęcie paru dziesiątkom tysięcy osób. Jedna ze stacyi rolniczo-doświadczalnych czyni próby nad postępem téj hodowli, kierownik zaś, niejaki Nelson, w ten sposób spowiada się ze swoich planów: „Nie powinniśmy się dziwić, kiedy nadejdzie chwila, w któréj o hodowli ostryg ludzie będą tak samo rozprawiali, jak to dzisiaj czynią o hodowli trzody chlewnéj. Dziki odyniec nie będzie niepodobniejszy do dobréj sztuki czystéj rasy, aniżeli obecne ostrygi do przyszłych.” Gdzieindziéj rozwija się hodowla strusiów, żółwi i t. d. Wszędzie albo przewrot, albo nowe wzory, gdziekolwiek zatrzymamy swoje oko.

Ale jeszcze inna wprost przeciwna dążność uwydatnia się w rolnictwie amerykańskiém, dążność, która działa dzisiaj z niezwykłą mocą i obiecuje pchnąć produkcyę rolną na zgoła nowe tory i może z biegiem czasu odebrać jéj postać, odziedziczoną po dalekiéj przeszłości. U nas folwark zajmuje się potrosze wszelką możliwą uprawą. Trzyma się on (pod naciskiem rutyny, przedewszystkiém zaś warunków) dawnéj zasady średniowiecznych agronomów ekonomistów, że tylko taki majster jest doskonały, który w swoim obrębie produkuje wszystko, co potrzebne jest mu do spożycia i jak najmniéj produktów kupuje z zewnątrz na zaspokojenie swoich potrzeb. W głuchych zakątkach można jeszcze spotkać ziemian, którzy dogorywają w odludném ustroniu, jako ostatnia spuścizna po epoce naturalnego, t. j. niewymiennego gospodarstwa i wzorem przodków opłakują każdy grosz wydany na kupno rzeczy, niegdyś wyrabianych w obrębie majątku. W pieluchach takiego naturalnego stylu gospodarowania wyrosły pierwsze osady europejskich kolonistów na dziewiczéj glebie obszarów zamorskich, znane pod zbiorową nazwą Nowéj Anglii; w téj okolicy Stanów Zjednoczonych ferma jest jeszcze w silnym stopniu taką encyklopedyą najrozmaitszych czynności. Ale daléj ku zachodowi rozwój rolnictwa toruje sobie inne ścieżki, zwłaszcza czynią to większe—chciałem powiedzieć majątki, poprawiam się i mówię: fermy rolnicze, gdyż termin ten lepiéj oddaje naturę tamtejszych przedsiębiorstw rolnych. Tam, w dziedzinie hodowli i uprawy, człowiek bierze się do wyzysku sił przyrody wśród zupełnéj pustki. Nieobecne są wszystkie dzieła kultury, swojém istnieniem zmuszające się do liczenia z tradycyą dawnych wzorów techniki. A pustkowie, odkąd istota ludzka obrała je sobie za siedzibę, wiąże się z resztą świata amerykańskiego za pomocą rozgałęzionego systemu arteryi komunikacyjnych. W Dakocie, Montanie, Waszyngtonie i innych stanach dalekiego zachodu, wprzódy powstaje koléj żelazna,

a dopiéro późniéj wzdłuż niéj sadowią się ludziska. W północnéj np. Dakocie każda osada, licząca już dwieście głów ludności, jest stacyą kolei żelaznéj i posiada parę elewatorów. A więc wytwór ręki ludzkiéj odrazu tam posiada gotowe kanały do odpływu na dalekie rynki. Staroświeckie tradycye produkowania w swoim majątku stadniny i grzybów, ryb i zboża pierzchnęły na téj dziewiczéj pustce, karczowanéj w epoce rozwiniętego wiru wymiennego i rozwiniętych środków komunikacyjnych. Przedsiębiorca, który wzrokiem sępa szuka najodpowiedniejszego dla siebie żeru, rozgląda się uważnie we właściwościach otoczenia i z pośród procederów hodowli i uprawy wybiera takie, jakie okażą się najstosowniejszemi dla danéj okolicy. Nie gwałci on przyrody, t. j. nie sieje na piasku pszenicy ani żyta na pszennéj glebie, jak to czyni nasz rolnik europejski, zmuszony do tego całokształtem warunków swego otoczenia.

Przyjrzyjmy się zbliska tym dalekim okolicom. Zatrzymamy się nad stepem pszennym Dakoty.

27 sierpnia opuściliśmy Minneapolis. Z początku, w ciągu kilku godzin jechaliśmy wśród uroczéj miejscowości, wzgórzystéj, obfitującéj w stawy i jeziora. Lecz zwolna powierzchnia stawała się równiejsza, aż wreszcie przed nami rozpostarła się płaszczyzna bez końca, bo nawet najdrobniejsze wzgórza nie psuły téj jednolitości i zarazem monotonii widnokręgów. Znaleźliśmy się wśród stepu pszennego. Może kogoś razi takie zestawienie z sobą pszenicy i stepu, ale wydaje się nam ono najwłaściwszém. Jest już po żniwach, ukończono je wczoraj, może przedwczoraj. Na prawo i na lewo ściele się przedemną ściernisko bez końca; gdzie tylko poprowadzę wzrokiem, sterczą kopce snopów. Rzekłbyś, olbrzymie pobojowisko trupów. Barwa żółta panuje i jakoś uspakajająco oddziaływa na nerwy. Kiedy niekiedy z pośród równiny wypływa jakaś wysepka. To ferma! Osiadła ona na dawnéj preryi i sprowadziła za sobą drzewa, niegdyś bowiem step nie znał takiéj ozdoby. Zabudowania te są nieodłącznie téj saméj brudnoczerwonéj barwy, zresztą bardzo nieliczne. Oko europejskie ze zdziwieniem spogląda na tę szczupłość budynków folwarcznych i wyciąga wniosek, że tryb gospodarowania musi tam być zgoła odmienny. Gdzieniegdzie widać niewielki gaik, to las posadzony przez rękę ludzką; nie kiedy jeszcze nie odrósł od ziemi i wygląda niby banda dzieci, która wykradła się z pod opieki rodzicielskiéj. Od czasu do czasu przejeżdżamy jakąś stacyjkę. Z okna wagonu widzę drewniane chodniki, porosłe z jednéj i z drugiéj strony zielskiem; kilkanaście drewnianych domków i na takich lepiankach napisy: taki a taki bank. Ludności niewiele, może paręset osób. Ale każda piędź ziemi świadczy o tém, że jeste-

śmy wsród posterunku najazdu rolnego. Przy torze kolejowym zawsze sterczy parę elewatorów; dokoła dworca wygląda z zielska mnóstwo maszyn rolniczych. Przeważają żniwiarko-wiązałki, nie braknie parowych młocarni, połyskujących na słońcu swoją jaskrawą czerwonością. Ale pociąg nasz rusza, pozostawia za sobą w przestrzeni ów przystanek i mknie dalej wśród nieskończonego ścierniska z kopcami snopków bez liku.

I taki widok mieliśmy wciąż przed sobą na przestrzeni około 300 mil ang. na długość i 100 na szerokość. Północna Dakota o niczém nie chce słyszéć, jeno o pszenicy. W zaprzeszłym roku wyprodukowała taką obfitość tego zboża, że na każdego jéj mieszkańca, a zatém na starca i na dziecko w kołysce, na wieśniaka i mieszczucha, przypadło po 250 dolarów za sprzedane ziarno. Prócz łanów pszenicy nic tam nie oglądałem: ani pól z grochem, koniczyną lub warzywem, ani innych zbóż krom nielicznych oaz owsa, ani wreszcie znaków hodowli prócz inwentarza zaprzęgowego. Fermer tamtejszy przestał być wszechstronnym rolnikiem na wzór ziemian z naszéj części świata i jest jedynie hodowcą pszenicy — nic więcéj. Groch, paszę dla inwentarza, mięso, kupuje w osadach, które sprowadzają te produkta zdaleka. A gdybyśmy nie wysiedli w Dakocie z kolei żelaznéj i pomknęli jeszcze dalej ku górom Skalistym, inny widok rzuciłby się nam w oczy. Znaleźlibyśmy tam np. jedynie folwarki, trudniące się hodowlą owiec. Tam w zachodnich dzielnicach Nebraski i Kanzasu, w górskich okolicach Idaho, Wyomingu i Colorado rozwija się hodowla bydła i mamy pod ręką rysunek z opisem folwarku, trudniącego się jedynie hodowlą owiec. Naprzykład ferma Pattersona i S-ki posiada około 30 włók przestrzeni, z których zaledwie trzy znajdują się pod pszenicą, owsem i tymotejką, reszta zaś powierzchni jest porznięta na mnóstwo zagród, w których umieszczono do 8 tysięcy owiec (mieszańców merynosów z shropshirami). Ferma sprzedaje rocznie 40—45 tysięcy funtów wełny, a nadto wysyła do dwóch tysięcy skopów na rzeź. Takie folwarki ciągną się tam jeden przy drugim. Są i większe niż opisana. Puściwszy się zaś bardziéj w kierunku południowo-zachodnim, natrafiliśmy na stepy Teksasu i sąsiednich obszarów, rojące się setkami tysięcy sztuk rogatego bydła. Gdybyśmy wzięli do ręki dane statystyczne, dowiedzielibyśmy się, że istnieją tam firmy, posiadające na własność swoją z górą milion sztuk bydła rogatego. A jadąc jeszcze daléj w tym kierunku, dostalibyśmy się do lasów owocowych Kalifornii. Zresztą takie lasy spotkalibyśmy już bliżéj na terytoryum np. Missouri. Oglądaliśmy fotografie i olejny obraz położonego w tym stanie folwarku owocowego: *Olden frut farm.* Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że mamy przed

sobą jakiś las, uporządkowany przez człowieka, który go systematycznie przerznął prawidłową siecią dróg, każdą połać opatrzył chatką i osadził w niéj leśnika. Folwark ów posiada do 2,800 akrów (70 włók). Hołduje on zasadom płodozmianu i trzyma specyalnéj rasy inwentarz, aby gnojem jego mierzwić glebę i zasilać ją pokarmem dla drzewek. Na froncie obszaru widać główny gmach folwarku do przerabiania owoców i nadawania im postaci, odpowiedniejszéj do dalekich wędrówek.

Step pszenny Dakoty, fermy owczarskie z pod gór Skalistych, przedsiębierstwa hodowli bydła rogatego w Teksasie, przestrzenie, zajęte w Kalifornii pod plantacye owocowe, są wzorem specyalizacyi daleko posuniętéj, która nawet zajęła olbrzymie terytorya odrębne i w zakresie rolnictwa wytworzyła takie same okręgi, jakie istnieją w sferze przemysłu przerabiającego. Ale po za temi wyspecyalizowanemi obszarami rozciągłości ogromnéj, istnieją pomniejsze ogniska specyalizacyi, rozproszone po całéj powierzchni Stanów Zjednoczonych. Naprzykład w różnych okolicach spotykamy się z drobnemi terytoryami, wyłącznie produkującemi siano. Parę razy wypadło mi je oglądać z okien wagonu. Folwark składa się poprostu z kilku szop na maszyny, wszystkie bowiem czynności odbywają się przy pomocy automatów; maszyna kosi trawę, przetrząsa pokosy i ładuje je na wóz. Kiedy nastaje pora kosowicy, zjawiają się ludzie, po upływie tygodnia siano spoczywa ułożone w piramidy — zostało przez maszynę ubite na cegły i poczyna wędrować w świat. Wszędzie w pobliżu wielkich miast znajdują się folwarki, trudniące się jedynie hodowlą drobiu i sprzedające mnóstwo skrzydlatego towaru. Miałem w ręku plany tego rodzaju folwarków z kosztorysem urządzenia. Otóż plan taki przyjmuje z góry, że, jeżeli chcemy, aby ferma opłacała się, musi się na niéj znajdować przynajmniéj 500 nośnych kur, podzielonych na niezależne od siebie gromadki, każda posiadająca własnego koguta. Gromadka taka posiada własny kurnik i niewielkie podwórko, po którém błąka się, nigdy nie wydalając się z jego obrębu. Folwark taki będzie dawał tygodniowo do 1700 jaj. Fermy jednorodne sadowią się zwykle w pobliżu siebie, jedna przy drugiéj, tak, iż w ostatecznym rezultacie powstaje niby okrąg — nie wiem, jak powiedziéć, nazwijmy go zresztą kurczęciowym. Jeden z takich „kurczęciowych" okręgów ulokował się w pobliżu nowo-yorskiego targu, w stanie N. Jersey. Usadowiło się tam obok siebie 40—50 *broiler farms*, t. j. takich które trudnią się wyłącznie hodowlą kurcząt i wyrzucają drób na targ, kiedy skrzydlata rzesza dosięga dziewiątego tygodnia życia. Okolica Hammontonu co dziewiąty tydzień wysyła na targi około setki tysięcy kurcząt, czyli w ciągu

roku sprzedaje do pół miliona. Tak samo, jak istnieją folwarki, trudniące się hodowlą kurcząt, podobnie w Kaliforni powstają żółwiowe, pszczelarskie, strusie; zresztą te procedery stawiają dopiéro pierwsze kroki. W różnych miejscach Stanów Zjednoczonych usadowiły się okręgi mleczarkie. Na takim mleczarskim folwarku uprawa pól, o ile istnieje, jest obliczona na paszę. Same fermy są niekiedy bardzo znacznych rozmiarów, posiądają bowiem po 20 i więcéj włók na naszą miarę i trzymają w oborze paręset sztuk krów. W ostatnich czasach jęły ukazywać się w Wisconsinie, Minnesocie i sąsiednich stanach olbrzymie przedsiębiorstwa opasowe, wprowadzające do hodowli nową erę—erę, znaną w Ameryce pod nazwą *Factory system*. „Fermy fabryczne” hodują bydło rasowe, głównie krótkorogie. *Union Cattle Company* posiada np. obory, dające każda przytułek 3,750 sztukom opasowego bydła. „Karmienie bydła—czytamy w pewném sprawozdaniu — i trzymanie go w czystości uskutecznia się za pomocą maszyn parowych. Miechy wpychają sieczkę do żłobów, pompa rozléwa wodę. Pompa hydrauliczna zmywa gnój z podłogi dwa razy dziennie. Każda sztuka przy swojém przybyciu i wyjściu bywa skrupulatnie ważona. Zarząd prowadzi ścisłe rachunki co do ilości zużytego siana i kukurydzy, tak, iż z najzupełniejszą ścisłością można obrachować, ile paszy trzeba na wyprodukowanie funta mięsa.”

Taka jest dążność, od niejakiego czasu nader silnie uwydatniająca się w rolnictwie amerykańskiém. Wprawdzie i w Europie można téż spostrzedz tego samego rodzaju tendencye: niziny holenderskie i duńskie, żuławy nadwiślańskie i nadłabiańskie zamieniają się na okręgi mleczarskie, wschodnie i zachodnie Prusy na plantacye kartofli i siedlisko opasów, Saksonia staje się okolicą zagonów buraczanych, ale te wysiłki, ukazujące się w naszéj części świata, nie posiadają ani jaskrawości ni téż mocy parcia Ameryki w tym kierunku. Tylko tam, za morzem, procedery rolne, od wieków trzymające się siebie, poczynają na wielką skalę zrywać dawny sojusz, wyodrębniać się nawzajem i niekiedy masowo sadowić w oddalonych od siebie miejscach. Ideał, ażeby majątek produkował wszystko, co jest potrzebne dla życia, zostaje przekazany do archiwum dziejowego. Ferma żyje tam z wymiany i dla wymiany. Jéj produkta od początku są przeznaczone na sprzedaż. A taka specyalizacya czynności rolnych odzwierciedla się też w fachowéj prasie peryodycznéj. Każdy proceder posiada wyspecyalizowane w odpowiednim kierunku organa. Zatrzymamy się chociażby nad chodowlą kurcząt. Mamy pod ręką *Scientific Poultryman*—pismo, jak tytuł opiewa, „poświęcone wyłącznie nauce praktycznéj hodowli kurcząt, inkubacyi, architekturze urządzeń dla kurcząt i postępowi

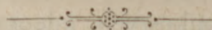
odpowiedniéj instrukcyi.” Jest to organ czysto miejscowy — okolic miasta Delaware (w stanie tego samego nazwiska). Cztery kolumny druku, cena roczna 25 centów (dwa razy tyle kopiejek). Stan Jowa posiada téż swój organ, *Garden and poultry journal*, kosztujący już 50 centów. W stanie new-yorskim wychodzi *Practical poultryman*, w new-jerseyskim *Poulter's keeper*, w ohijskim *Fancier's Herald*, w pensylwańskim *Poultry nation*. Są to wszystko niewielkie arkusiki, podające nieco teoryi, dużo praktycznych wskazówek i przegląd warunków na rynku kurczętami. Świstków takich istniéć musi bardzo wiele: o takie rzeczy dopytać się w Stanach Zjednoczonych nie tak łatwo, a jeżeli zdołaliśmy bez zachodów zebrać kilka wzorków, to dowód, że musi istniéć wiele innych. Na czele téj saméj literatury peryodycznéj, poświęconéj procederowi hodowli kurcząt, stoi *Poultry World*, wychodzący w Connecticut i kosztujący półtrzecia rubla na rok. Jeszcze jeden szczegół. Daleko posunięta specyalizacya umożliwia nietylko istnienie odpowiedniéj literatury, ale téż sprowadza za sobą niesłychany rozrost kooperacyi. Powstają związki fermerów kurczęciowych, owocowych, poziomkowych, mleczarskich—przepraszamy mocno za tę litanię dziwnych zestawień! — łączące przedsiębiorców téj saméj okolicy celem walki o rynki, wywiéranie wpływu na studya w miejscowych stacyach doświadczalnych i t. d. Naprzykład związki mléczarzy trzymają na swoim żołdzie uczonych specyalistów, którzy kilka razy do roku odwiédzają każdą fermę i udzielają wskazówek.

(*D. n.*). *K. R. Żywicki.*



SIOSTRY MALINOWSKIE.

POWIEŚĆ *).



IV.

Malinowscy spędzali zwykle wieczory w jadalni wokoło stołu okrągłego, nad którym paliła się wisząca lampa, rzucająca żółte światło na żółte tapety pokoju, na żółty stary kredens jesionowy, takież szafy i wyplatane krzesła.

Starego nie było zwykle w domu o téj godzinie. Wychodził wieczorem przejść się trochę dla zdrowia po całodziennem siedzeniu w biurze i wstępował na chwilę do knajpki na gazety.

W kącie czytał kuryera stary Nowakowski, zwany w domu stryjem Frankiem, przyrodni brat Malinowskiego. Był to jeden z tych krewnych, którego się gościom nie pokazuje, o którym się nie mówi, a którego toleruje się tylko z musu w domu. Nie przynosił zaszczytu rodzinie. Stracił wszystko co miał, jeszcze starego Malinowskiego w długi wciągnął. Teraz, w wytartym surducie z niegoloną siwiejącą brodą, przychodzi tu na obiad trzy razy tygodniowo i pozostaje przez wieczór. Ongi posiadał świetną dzierżawę, teraz od wielu lat siedzi na bruku, nie szuka już nawet posady; żyje, jak wróbel, nie wiadomo z czego. Przestał już nawet opłakiwać złamane życie i myśli nie o jutrze, lecz o tém, co będzie jadł dziś wieczorem.

---

*) Zob. „Ateneum“ zeszyt lutowy r. b., str. 228.

Bardzo mu nie dobrze tu na tych obiadach, odzywa się rzadko, nie lubią się z panią bratową. Mama Malinowska po za materyalnemi pretensyami, ma jeszcze do niego ową zwykłą niechęć, jaką uczuwają wszystkie kobiéty do rodziny mężów, nawet jeśli ich samych bardzo kochają.

Wanda, 14-letni podlotek, niedbale ubrana, siedzi z opartą na stole ręką, zawalaną atramentem i kuje historyę Egiptu, powtarzając bez końca:

— Sezonchis I, pierwszy król 22-éj dynastyi, nie powstrzymał upadku państwa, które popadło wkrótce w ręce etyopskiego zdobywcy Sabakona, albo Sebicha.

I rozpoczyna znowuż:

— Sezonchis I, pierwszy król 22-éj dynastyi i t. d.

Panna Maniuta siedzi pochylona nad jakąś kanwową robótką.

Mama Malinowska jest w jak najgorszym humorze. Tylko co skończyła rachunki z kucharką, zwykle bardzo burzliwe. Kucharka bowiem liczyła dziś mięso o dwa grosze więcéj na funcie, niż kosztowało w mieście i kupiła włoszczyzny aż za sześć groszy.

— Prosiłam cię — zwróciła się teraz do starszéj córki—abyś odłożyła tę robotę. Bo żebyś wiedziała, że jak ci te włóczki wyjdą, nowych ci nie kupię. Już dość mam tych poduszek.

Wszyscy pojęli, że jestto tylko wstęp do wybuchu, a że ta włóczka jest tylko pretekstem. I bardzo strwożeni, bardzo potulni, czekali. Wanda jeszcze gorliwiéj kując swój Egipt, stryj Franek zupełnie zakryty kuryerem.

A mama Malinowska, coraz więcéj wzburzona, ciągnęła daléj:

— Jeżeli i tam na wsi siedziałaś tak przez cały czas, jak mruk z pochyloną głową, to się nie dziwię, że ten twój doktór od kilku tygodni znaku życia o sobie nie daje.

— Moja mamo, czy ja jestem temu winna?

— Stołowe nogi także nie są winne.

Wanda nad książką parsknęła w téj chwili bardzo dziwnym, niefortunnie powstrzymywanym śmiechem, lecz choć zaraz zaczęła ostentacyjnie powtarzać: Sezonchis I, pierwszy król 22-éj dynastyi, mama Malinowska zwróciła się do niéj z pozostawiającą bardzo wiele do życzenia francuszczyzną:

— *Va immediatement au salon apprendre tes leçons.*

— Proszę mamy, nie mogę się uczyć w salonie, bo tam od czterech dni nie palono w piecu, i Maryanna mówiła, że nafty już do lampy nie ma.

Mama Malinowska wybiegła do kuchni robić awanturę o naftę, która powinna była starczyć na dzisiejszy wieczór.

— Dobrze ci tak—zwróciła się Wanda do Maniuty — nie trzeba było mamie nic mówić o tym doktorze. A ty opowiadałaś o wszystkiém: o jakichś Marcinkowskich, o pasterce, o cenzurowanym. Po co?

— Wando, bardzo cię proszę. Bo jak mamę kocham, mamie powiem. Jeszcze tego brakowało, abyś ty się tu wtrącała.

Wstała z krzesła i odeszła do sąsiedniego ciemnego pokoiku, w którym stały łóżka dwóch młodszych panienek (w jednémz nich, zbyt krótkiém, przerobionémz kołyski, spała już w téj chwili 8-letnia Janinka) i kanapa twarda i niezbyt wygodna, na któréj sypiała panna Maniuta.

Zmartwiona usiadła teraz na kufrze, stojącym tuż przy piecu i przypatrywała się rozżarzonym rubinowo węglom. Przyszedł též tu stryj Franek i Wanda, która, pomimo tysiąca zakazów, wyjmowała z pieca kawałki węgla, studziła je i do ust kładła, twierdząc, że są lepsze od marcypanów — choć mniéj smaczne, niż palony papiér i kréda.

— Wiész, Maniuto—mówił stryj Franek—mam jakieś przeczucie, że ten twój doktór przyjedzie.

— I ja przysięgłabym. Jak matkę najszczerzéj kocham — potwierdziła Wanda, chrupiąc zębami węgiel.—Ty go kochasz? co?

— Jak psy dziada — odrzekła zdenerwowana panna Maniuta. — Już eście mi go tak zbrzydzili, że mam go potąd—ukazała na szyję.

— Więc nie chcesz wyjść za niego? — zapytała Wanda, interesując się tą sprawą znacznie więcéj, niż losami Egiptu.

— Nie chcesz! — wzruszyła ramionami. — Gdyby był ślepy, garbaty, kulawy, jeszczebym za niego poszła, aby wydostać się z domu.

— Odpłacisz mu za to zwlekanie po ślubie, prawda? — żartował, aby ją udobruchać, stryj Franek.

— Naturalnie, że odpłacę—odrzekła zupełnie seryo.

— Wié stryjek—rzekła Wanda. — Jabym nie wyszła za mąż bez miłości. Sprzedawać się, jak niewolnica w XIX wieku — to wstyd! Podług mnie, jestto nawet nie uczciwie.

— Ho, ho!—żartował stryj Franek. — I co będziesz robiła? Będziesz przez całe życie poduszki haftowała?

— Jak stryjek mnie nie zna! — mówiła zgorszona, wybrawszy nowy węgiel w piecu. — Nie jestem taką trusią, jak Maniuta, och, nie! Muszę coś w życiu zdziałać. Wyjadę na uniwersytet. Zostanę adwokatem we Francyi, albo tu doktorem. Albo wié stryj, zostanę urzędnikiem na kolei. Teraz kobiéta wszędzie może sobie chléb znaleźć.

— Jestem zupełnie spokojny. Mama ci te wszystkie głupstwa wybije z głowy.

Do pokoju weszła mama Malinowska. Rozmowa się w téj chwili urwała.

— Franciszek wié, że ja ogromnie nie lubię, kiedy Franciszek wchodzi do pokoju panienek. To jest zupełnie niestosowne i niewłaściwe.

Stryj Franek, nie tłómacząc się, pożegnał się z nią i z panienkami i wyszedł.

Mama Malinowska nie była w gruncie tak złą, jak się wydawała. Jeżeli bywała opryskliwą, kwaśną — nie można było brać jéj tego za złe. Miała dość kłopotów na głowie.

Stary zajmował wprawdzie dość znaczną posadę biurową. Był pomocnikiem pomocnika naczelnika. Miał pod sobą kilkunastu ludzi, bardzo nisko mu się kłaniających, nazywających go nawet czasami naczelnikiem; a mamę Malinowską, kiedy ją w dzień Nowego Roku i w święto Wielkiéjnocy przy kieliszku wina po rączkach całowano — nazywali panią naczelnikową. Ludzie ci pobierali płacę roczną od 300 do 600 rubli. Nazywano ich wskutek musowéj giętkości karku akrobatami.

Ale stary Malinowski był naczelnikiem, to jest pomocnikiem pomocnika. To nie bagatela! Pensya jego wraz z gratyfikacyami przechodziła 1,200 rubli już po otrąceniu składek emerytury, kasy koleżeńskiéj i długów, wynoszących około 2,000 rubli, które, poręczywszy za stryja Franka, musiał przez całe życie spłacać.

Mając taką pensyę w biurze, jest się dygnitarzem. Ale w domu, kiedy za mieszkanie płaci się około 400 rubli, kiedy ma się żonę, przytém córki na pensyi, uczące się muzyki i francuskiego, a co najważniejsza, kiedy jest panna na wydaniu w domu, jestto poprostu mówiąc — nędza.

Po biurowéj pracy nie miałby téż sił myśléć, jak te pieniądze rozdzielić. W biurze energiczny, stanowczy—wszedł sobie za to w domu dla wygody pod pantofelek magnifiki.

Oddawał jéj co do grosza całomiesięczną pensyę, zdając się mówić.

— Ja pracuję w biurze, teraz ty łam sobie głowę.

Dostawał od niéj co wieczór dziesiątkę na czarną kawę, córki robiły mu papiérosy, innych wydatków nie miał. Jak dużemu dziecku, sprawiała mu mama Malinowska sama ubranie i jak córkom, idącym na pensyę, wkładała mu codziennie na odchodném do biura, zawinięte w papiér bułki z cieniutkim kawałkiem pieczeni z obiadu. A on po

za pracą w biurze, czytał sobie gazety, grał w szachy i zajmował się polityką.

Otóż z temi 800 rublami, które pozostawały po opłacie komornego i regulowaniu ratami długów, mama Malinowska cuda wyprawiała. Prowadziła dom na pewną skalę, wydawała wieczorki, posyłała młodsze córki na pensyę, a pannie Maniucie sprawiała gustowne sukienki. I liczyła bez końca te swoje biédne grosze, liczyła, liczyła...

Kłóciła się ze sługą, biegała sama po prowiant na drugi koniec miasta, bo tam funt mięsa o grosz taniéj kosztował, wyliczała każdy węgiel do komina, oszczędzała nafty i kupowała pieczywo czerstwe, aby go mniéj wychodziło.

Herbatę pijali bardzo lekką. A kiedy która z młodszych córek dokładała sobie z cukiernicy kawałek cukru, mama Malinowska robiła bardzo znaczące oczy, a czasami poprostu zamykała cukiernicę, dając im radę:

— Mieszaj tylko dobrze, cukru dość w herbacie.

I mieszały bez końca łyżeczką bez skutku.

Dla gości kupowano do herbaty w jakiéjś wyszukanéj zaułkowéj cukierni ciasto bardzo tanie, zwane nie wiadomo dlaczego brunszwickiém, którego bardzo wiele na funt wchodziło. Wszyscy ich goście znali już to ciasto, ogromnie niesmaczne, i nikt go do ust nie brał. Pomimo to, nie kupowano innego, lecz ciasto do herbaty być musiało. Inaczéj nie wypadało.

I w téj wiecznéj walce o grosz, o szczyptę masła, o łyżkę mąki — spędzała całe życie niestrudzona, niezmordowana. W szufladzie posiadała specyalne pudełka z nadpisami: nafta, wodziarz, węgle. Wkładała w nie piątki, wytarte trojaki—wytargowane, wymęczone. Przy tém wszystkiém—wiecznie czysta, porządnie uczesana, gotowa przyjąć w każdéj porze gościa, rozmowna wtedy z nim niekiedy, nawet przyjemna ze swoją wieczną trzeźwością sądów i pomimo spracowanych, czerwonych rąk, bardzo wtedy dystyngowana w swoim wersalskim salonie.

Mama Malinowska — to ideał trzeźwości, i jéj dewizą, którą się często popisuje, jest:

— Na życie trzeba trzeźwo patrzéć.

Wysoka, z dużą twarzą, o ostrych rysach, z małym marsem na czole, z gładko zaczesanemi lśniącemi czarnemi włosami—miała w sobie coś męskiego. Nigdy nie była młodą. Nie kochała nigdy sentymentalnie swego męża, nie cackała nigdy dzieci—czasu na to nie było, lecz nie myślała nigdy o sobie, zawsze o nich.

Każde czulsze słówko uważała za przesadę, za romans, za egzal-

tacyę. Gdyby była wyszła nie za Jana, lecz za Piotra, spełniałaby tak samo wszystkie obowiązki, co w jéj pojęciu nie uchodziło za zaletę. Bo — rozumowała bardzo trzeźwo — że interesy i obowiązki w małżeństwie są wspólne i że z nieszczęściem, jakie męża spotka lub wraz z jego śmiercią—życie jego połowicy jest skończone.

— Wierzę w te wszystkie romanse i głupstwa—mawiała często—w książkach, albo pomiędzy hrabiami i książętami, którzy nic innego na głowie nie mają.

Kiedy ukazywano jéj jednak pewne anormalności, wychodzące po za filisterski zégarek życia: jakieś naprzykład odrzucenie świetnéj partyi, lub pozbawienie się dobrobytu z mężem dla nędzy z kochankiem—z całą szczerością odpowiadała, wzruszając ramionami:

— Nie pojmuję ich. To są waryatki. Do domu zdrowia trzebaby je zamknąć.

Ona myślała tylko o tém, aby w domu wszystko szło przyzwoicie i składnie, aby córkom dać edukacyę, a ewentualnie zamąż je wydać. I wreszcie, het, kiedyś na starość, pozbywszy się wszystkich kłopotów z głowy, módz odpocząć!

I cały ten plan życia szedłby doskonale w parze z jéj trzeźwością. Lecz w tym pozytywnym umyśle gnieździła się jedna jedyna słabostka; mama Malinowska sprawy sobie nawet z niéj nie zdawała. A jednak słabostka ta obalała całą budowę jéj trzeźwości i logiki, którą stara się tak szczyciła i jak każda namiętność trzymała ją całą w swych szponach, zdając się drwić z niéj, a urągać słowami:

— He, he! I ty nie jesteś tak mądra, jak ci się saméj wydaje. Czyż twoja słabostka nie jest także egzaltacyą, romansem? Widzisz! Najmędrszy człowiek nie wié o tém, że jest głupi!

Tą słabostką mamy Malinowskiéj była wspólna choroba całego mieszczaństwa: owo „nie wypada”, „co powié na to świat” (świat — to znaczy: pani Kogutkiewiczowa, sąsiadka z przeciwka i jeszcze kilka kumoszek).

Dla tego „świata” kazała mama Malinowska sypiać mężowi — niepomna na owo nieszczęście, jakie ją mogło spotkać z powodu jego choroby, a ewentualnie śmierci — w ciasnéj i dusznéj, niezdrowéj sypialce, bo dla świata musiał być duży salon — biédny, pusty, nieogrzewany, z tandetnemi mebelkami, z zepsutym fortepianem.

Dla świata skąpiło się na obiad mięsa (mama Malinowska często wcale go nie jadała), aby panna Maniuta mogła miéć kapelusik piękniejszy niż panny Kogutkiewiczówny, a broń Boże, przynajmniéj nie brzydszy. Gdybyż to jeszcze o konkurenta chodziło! Lecz wiedziała,

że mężczyźni wolą panny skromnie ubrane i na strojach wogóle się nie znają. Szło tu więc specyalnie o świat, o Kogutkiewiczową.

I mama Malinowska biegła śród największych mrozów w wielkim kołnierzu futrzanym na wierzchu, marznąc pod cieniutką watą, którą jéj fałszywa salopa była podbitą pod spodem. Bo kołnierz widziała pani Kogutkiewiczowa, a że sama pani Malinowska trzęsła się od zimna—to już nic nie szkodziło.

I czyż nie drwiła z jéj pozytywności umysłu ta jéj namiętnostka? Stara przecież mawiała, że na romanse nie ma czasu, a wzięła na swoje barki nieustanny przymus, tysiączne ofiary i tę wieczną komedyę, któréj poświęcała życie całe, nie pozostawiając dla siebie ani jednéj godziny swobodnéj, ani jednéj sekundy.

A całéj téj męki jedynym celem było, aby wydawało się, że rozchody ich wynoszą rocznie 2,400 rubli, kiedy w istocie wydawali tylko 1,200. I w skutku téj manii, ulubiony jéj porządek musiał przemienić się w tandetę (szafy z bielizną były puste, a sukienkami Maniuty przepełnione), jéj wrodzona szczerość—w kłamstwo, a pomimo swego rozsądku i naturalnego sprytu, stawała się nieraz śmieszną.

I trzeba było widziéć jéj minę, kiedy w kapeluszu z czerwonemi kwiatami wychodziła z panną Maniutą na spacer. Zdawało się jéj wtedy, że całe miasto po za jéj plecami mówi:

— Patrzcie, patrzcie, idzie pani Malinowska z córką. Pi, pi, jak ubrana! Ten kapelusz córki kosztuje co najmniéj 15 rubli. A jakie suknie! A słyszycie, jak mówią biegle po francusku!

I mama Malinowska zapominała o swoich troskach, czuła się szczęśliwą. Głupcy nie poznali się, że ten kapelusz córki nie jest z aksamitu, lecz z pluszu i kosztował na wyprzedaży tylko sześć rubli; nie poznali, że jéj suknię czuć benzyną, którą przed wyjściem na spacer z plam niezmordowanie czyściła i nie dosłyszeli, że ich francuzczyzna nie jest wcale wyśmienitą.

I mama Malinowska tak święcie wierzyła, że nie inaczéj, jak ona powinno się pojmować życie i jego cele, że kto nie poświęcał całéj swéj istoty dla świata (pani Kogutkiewiczowa *et consortes*), uchodził podług niéj za pasibrzucha, letkiewicza, nie człowieka.

Te zasady wpajała od najmłodszych lat w swoje córki.

— Do żołądka nikt ci nie zajrzy — mawiała im — a jak cię widzą, tak cię piszą. Przypatrzcie się stryjowi Frankowi, który zrujnował waszego ojca i do dziś dnia jest ciężarem rodziny. Do niczego w życiu nie doszedł, bo zawsze był tylko nieponiem, pasibrzuchem, letkiewiczem. Będąc młodym — powtarzała im dla przykładu po raz setny rodzinną historyę — rokował jaknajlepsze nadzieje. Kiedy po-

wrócił ze studyów z zagranicy, zakochała się w nim (był bardzo ładnym, eleganckim i utalentowanym chłopcem) panna, mająca duży posag. Odrzucił ją, ponieważ, mówił, że jéj nie kocha. (Mama Malinowska wymawiała zwykle wyraz: kochać — z pewną pogardą) i pokochał późniéj pannę bardzo piękną, bez złamanego grosza. No, i ładnie się wykierował!

Nie kończyła historyi jego życia, pomimo że i pannom była ona prawdopodobnie o tyle o ile znaną.

Stryj Franek dzierżawił był wtedy jakieś wielko-pańskie dobra i sam żył ze swoją piękną żonką, jak wielki pan. Jeździł czwórką, trzymał kucharza, sprowadzał z Węgier wino. Nie szczędzono herbaty, nafty i pieczywa. Nie było tam nic na optykę. Goście bawili się, jedli, pili, spali i mieszkali u niego całemi tygodniami. Nie raczono ich ciastem brunszwickiém.

Stryj Franek był dobrym chłopem, najgościnniejszym pod słońcem sąsiadem, idealnym koleżką, przytém przyjacielskim, usłużnym i poczciwym.

Sąsiedzi nazwali go mecenasem. Przezwisko to pozostało mu do dziś dnia. Nawet dziewczęta, usługujące w knajpkach, inaczéj go nie tytułowały jak panem mecenasem. Przezwisko to powstało zaś stąd, że sam w duszy artysta, trochę muzyk i rzeźbiarz dyletant — lubił ongi biednych poetów, aktorów, śpiewaków, malarzy, których był aniołem opiekuńczym. Pożyczał im pieniądze, oddawał z siebie ubrania i ściągał chmarami ze stolicy na wieś, gdzie trzymał ich całemi miesiącami.

Lecz nagle wszystko się urwało, wpadł w długi, dzierżawnego nie płacił, dom pustoszał, a piękna żonka, którą za ostatni grosz wysłał wraz z córeczką za granicę, wracać już do jego nędzy nie chciała. Znalazła sobie tam kogoś innego, jakiegoś milionowego Hiszpana z tysiąca i jednéj nocy, który miał się z nią niby żenić. On przyjechał do miasta. Przez szereg lat szukał posady, późniéj, przyjmował na stajnię konie, następnie za zakredytowane mu za poręczeniem brata pieniądze zakupił kilka karet i pojazdów, które na godziny wynajmywał. I to mu nie poszło.

W tym czasie powróciła z za granicy jego żona z córką, jeszcze pięknicjsza niż dawniéj, w strojach, brylantach. O Hiszpanie nie było już mowy. Gotowa była nawet z mężem się godzić. Był jéj może potrzebnym teraz, jako parawan.

Mama Malinowska, chcąc się go z karku pozbyć, może patrzałaby na tę zgodę przez szpary. W plotki nie zawsze można wierzyć, zresztą co było, a nie jest—nie pisze się w rejestr.

Lecz on trząsł się z oburzenia na myśl o téj zgodzie. Zaczął procesować się z nią o dziecko, aby mu je oddała. Choć mama Malinowska wzruszała ramionami i pytała, co uczyni z tém wypieszczoném dzieckiem, za jakie pieniądze je ukształci i gdzie i pod czyją opieką umieści?

I on, nie robiący sobie nic z biédy, zawsze w doskonałym humorze, jak za najlepszych czasów — płakał rzewnemi łzami, kiedy była o tém mowa.

Teraz żył jak ptak niebieski, lub jak cygan ze złamaném, zmarnowaném życiem. Wypisywał wierszyki do pism humorystycznych, które mu rzadko drukowano, tłómaczył z francuskiego farsy dla prowincyonalnych teatrów, frymarczył końmi i lepił z gliny na obstalunek biusty i popiersia dyletanckie wcale niepodobne.

Wydatków prawie nie miał. Mieszkał darmo u jakiegoś dawnego przyjaciela, bardzo zadowolonego ze swego — pomimo ukrytéj rozpaczy—miłego zawsze i dowcipnego towarzysza. Chłopaki w cukierni znali już tego pana mecenasa, byłego obywatela ziemskiego z wąsem podobnym, jak u Sobieskiego. Nie robili mu żadnych uwag, iż czyta u nich codziennie wszystkie dzienniki, choć nigdy nic u nich nie jada, ani pije. Lubili jego humor, a i—co prawda—bali się jego buty szlacheckiéj.

I tak przechodziły lata. Teraz żona (znana ogólnie pod mianem mecenasowéj), z pomalowanemi na żółto włosami, jeszcze ładna, jeździła powozem z jego córką już dorosłą, także malowaną, w jaskrawych piórach i brylantach—także już dla niego straconą.

I siostry Malinowskie drżały ze strachu na myśl, do czego może doprowadzić życie człowieka, który chce być szczęśliwym dla siebie, a nie dla innych. Gdyby się był ongi ożenił z tą bogatą panną, nie byłoby tego wszystkiego. Cały świat-by mu zazdrościł. Lecz on ośmielił się analizować pojęcie o szczęściu i lekceważył opinię państwa Kogutkiewiczów *et consortes*.

— I zawsze taki koniec spotyka ludzi — uczyła je mama Malinowska — którzy nie patrzą na życie trzeźwo. A on wiecznie poezyę miał w głowie; śpiewy, literatura, rzeźba i inne zachcianki są dobre dla wielkich panów, ale nie dla nas nędzarzy, którzy powinni o tém myśléć, aby komorne było zawsze zapłacone i aby ludzie widzieli cię zawsze w przyzwoitém ubraniu. Do żołądka nikt ci nie zajrzy.

I panienki spoglądały z żalem i wzruszeniem na stryja Franka, który dziś się już nie liczył — zmarnowany, przybity, biédny krewny. Dość powiedziéć, że on, o którym wiedziały, iż był kiedyś słynnym zawadyaką, teraz dla marnego obiadu schylał głowę i drżał z obawy przed bratową. Nazywano go podobno ongi pięknym Frankiem. Był

barczystym olbrzymem z rumianą wiecznie twarzą, z kształtną głową i pięknym wąsem. Wielki Boże! Trudnoby nawet domyśléć się tego było, patrząc na tę ruinę, zgarbioną, siwiejącą, z twarzą całą w fałdach, astmatyczną, fioletową, o zagasłém oku, z coraz rzadszemi przebłyskami humoru.

I panna Maniuta z natury trochę trwożliwa, obawiająca się życia, patrząc na niego, drżała, aby i ona nie wykoleiła się i pod płotem nie skończyła. Wiedziała też, że i matka pod tym względem nie ma do niéj wielkiego zaufania i nieraz jéj mówiła:

— Jesteś portretem swego ojca. A wszyscy Malinowscy razem z ich przesadzoną uczciwością byli zawsze nieradni i do niczego.

I panna Maniuta w głębi truła się teraz bez końca tém, że matka ostatecznie domyślała się słusznie, że ona nie postępowała w Dębinkach z doktorem Klimowiczem zupełnie tak, jak należało. Na życie trzeba patrzéć trzeźwo. A ona wydostawszy się z murów miasta, ze zwykłego trybu swego życia z jego celami i dążeniami — bawiła się jak dzieciak, nie myśląc o niczém. Trzeba było nie tańczyć z Marcinkowskim, z nikim, zajmować się tylko doktorem Klimowiczem.

— Gdybyś miała trochę oleju w głowie — mówiła jéj matka — byłabyś pozostała w tych Dębinkach pomimo mego nakazu. Bo skądżeż ja mogłam wiedziéć, że tam nadarzała się taka świetna partya? Byłabym się nie ruszała stamtąd, pókiby się nie oświadczył. Ale kiedy on prosił cię najwyraźniéj, abyś pozwoliła mu pojechać do Warszawy, tyś odpowiedziała mu półgębkiem, jak jaka królowa. Ach! Boże, mój Boże! — chwytała się za głowę w jaknajwiększéj rozpaczy.

— Alež, proszę mamy, pannom nie wypada zapraszać młodych ludzi — broniła się panna Maniuta.

— Panny, które mają posag, mogą się drożyć. Ale takie święte tureckie, jak ty, powinny się chwytać rękami i nogami za konkurenta, jeśli się nadarzy. Ojciec jest stary człowiek, ma wadę serca, nie jest wieczny. O siebie się nie martwię, bo go długo nie przeżyję. Ale co ty zrobisz po naszéj śmierci i twoje siostry? Stryj Franek będzie się wami opiekował, co?

Panna Maniuta się rozpłakała. I mamie Malinowskiéj żal się jéj zrobiło. Nie, stanowczo dziewczyna szczęścia nie ma. I edukowali ją pięknie, i na bale ją prowadzą i ubierają ładnie, i niby podoba się wszystkim. A tu kończy niedługo 24 lat i nic, i nic jéj się nie zdarza.

Tak, tak, 24 lat już skończyła. W Dębinkach uważano ją za 18-letnią, lecz Warszawa pamiętała ją jako dorosłą pannę, tańczącą

na publicznych balach, kwestującą na kiermaszach, spacerującą z matką po aleach i ogrodzie Saskim, botanicznym i pomologicznym— już od kilku z górą lat.

Wprawdzie nie uchodziła w Warszawie nigdy za skończoną piękność, posiadała jednak swój wdzięk młodości i rzeczywiście podobała się. Lecz zauważono ostatniemi czasy, że zaczyna już tracić rumieńce, że usta ma bledsze, że jest mniéj wesołą i że ten pierwszy puszek młodzieńczy zaczyna znikać. Figurka pozostała tylko zawsze bardzo ładna i ten specyalnie warszawski „szyczek". A na wsi wyjątkowo odzyskała dawny humor i wyglądała jak przed kilku laty.

— Czyś pisała list do Łupinkowskich?—zapytała ją matka.

— Pisałam.

Spojrzała uważnie na córkę, jak gdyby chcąc jeszcze o coś ją w téj kwestyi zapytać. Lecz córka miała tak przybitą minę, aż się mamie Malinowskiéj żal jéj zrobiło. Dała więc za wygranę i z obawy, aby nie wybuchnąć, wyszła do kuchni.

— Ach, ta mama! — szepnęła sobie w duszy panna Maniuta. — Wszystkiego zawsze musi się domyśléć!

Czuła się winną. Cóż z tego, że w istocie wysłała zaraz po przyjeździe do domu sążnisty list do Dębinek, nabitych ośm kartek. Lecz dziwna rzecz: sama nie wié, jak się to stało: o doktorze w liście tym jak najmniéj mowy było.

— Mama ma słuszność—dręczy się tém, robiąc sobie teraz ciężkie wyrzuty; — jeżeli tak daléj będę postępowała, zostanę starą panną. Nie ma co!

Gdybyż doktór Klimowicz mógł przypuszczać, jak był pożądanym, oczekiwanym, jak często o nim myślano i mówiono? A on tak pragnął téj Warszawy.

Lecz jemu po długich debatach, przyszła nagle rozpaczliwa myśl:

— Czy ja jestem w stanie uszczęśliwić taką, jak ona, kobiétę? Czy mam prawo przykuć ją do téj marnéj taczki życia, któraby ciągnęła ze mną w téj norze, śród tych poczciwych, śmiesznych Łupinkowskich, aptekarzów, sędziów i takiego naprzykład pana Marcinkowskiego. Innego życia, innego świata jéj trzeba.

I gryzł się tém i truł i do Warszawy nie przyjeżdżał.

Póki był z nią razem, widział jak jadła, bawiła się, dowcipkowała, póki czuł rączkę jéj w swojéj dłoni — pomimo że stawiał ją zawsze na jakimś piedestale, była zawsze bliższą ziemi, kobiétą z krwi, ciała i kości. Lecz teraz kiedy odjechała, wyidealizował ją sobie śród swojéj samotni aż do niemożliwości.

Teraz stała się ona istotą, jakiéj świat nie widział, organizacyą na wskroś artystyczną (wskutku tego romansu Godarda) charakterem przy całym wdzięku niewieścim — niezmiernie szlachetnym, prawym i głębokim, skończoną pięknością, królewną.

I doktór Klimowicz, myśląc o niéj, składał ręce jak do świętéj, jak gdyby dostał poprostu bzika.

Pewnego razu stary Łupinkowski, klepiąc go po ramieniu, czuł się w obowiązku zapytać go ze zwykłą sobie jowialnością:

— No, kochany konsyliarzu, a kiedyż my to, panie... tego... pojedziemy do Warszawy?

Doktór skoczył, jak gdyby go ktoś w twarz uderzył. I cały trzęsący się i blady ze wzruszenia, zaczął opowiadać zdumionemu Łupinkowskiemu jakieś długie historye ni w pięć ni w dziewięć. On nie może jechać do Warszawy... ludzie nie pojmują, że zdarzają się kwestye tak drażliwe, iż obca ręka tykać się ich nie powinna, bywają osoby tak święte, iż świętokradztwem (!) jest wtajemniczać się w ich sprawy.

Stary osłupiał, zmienił rozmowę i poprzysiągł sobie umyć nadal ręce od tego wszystkiego. I przyjechawszy do domu, oświadczył swoim kobiétom:

— Z waszych swatów nic nie będzie. Wybijcie to sobie z głowy. Widziałem się z doktorem.

— Cóż mówił?—zapytały zaciekawione.

— Co mówił? Duch święty by tego nie zrozumiał. Do Warszawy jechać nie chce. Mnie się zdaje, że on skończy kiedyś w domu waryatów.

Gdyby jednak panna Maniuta czytała uważniéj Kuryera — znalazłaby w rubryce korespondencyi prywatnéj wzmiankę: „urocze zjawisko ma list na poczcie od interesującego". Nie dowiedziałaby się jednak z tego listu wiele — ani ona, ani jéj matka, ani cała rodzina Malinowskich, tak był ciemny, choć 10 arkusików zawierał.

Po upływie pewnego czasu od téj rozmowy w Dębinkach pomiędzy Łupińszczyzną — zajechała konno pewnego ranka jedna z panien Łupinkowskich przed domek doktora.

Doktór już po kawie, siedział teraz w oknie i zadumany palił papierosa.

— Dzień dobry panu doktorowi—krzyknęła mu z konia.

— Moje uszanowanie pani—odrzekł zbudzony z zadumy.

— Jeszcze pan nie u chorych? A to ładnie, jak Bozię kocham, tak późno wstawać!

— Ale co to panią sprowadza w nasze strony? — zapytał ją, aby coś powiedzieć.

— Przyjechałam tu umyślnie do pana. Spieszę się się ogromnie. Proszę zajechać dziś do nas koniecznie. Mam panu doktorowi coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

— Czy ta wiadomość tyczy się Warszawy? — zapytał ją niepewnym głosem,

— Może — odrzekła tajemniczo. I rzuciwszy mu krótkie: dowidzenia—pomknęła przez rynek na znanéj już całemu miasteczku bułance ku sąsiedniemu laskowi, który służył Dębinkom za zwykły cel konnych przejażdżek.

Po obiedzie doktór siedział na kozetce z panną Łupinkowską w małym pokoiku obok salonu.

— Miałam list—mówiła mu tonem, jaki uważała za najodpowiedniejszy do sytuacyi — od osoby, blisko pana obchodzącej. Osoba ta, choć wyjawić tego nie chce, znać w liście, że cierpi i że jest nieszczęśliwa. Może popełniam niedyskrecyę, pokazując panu ten list, ale uważałam to za swój obowiązek.

Drżącemi rękami przewracał doktór Klimowicz kartki jednego arkusika za drugim.

Stylem rozwlekłym, trochę wodnistym — opowiadała w nim autorka o życiu swojém smutném i złamaném, o pewnych zawodach i rozczarowaniach co do pewnych ludzi, o tém, że przez tydzień leżała w łóżku, że nie wierzy już w nic, bo z niéj zadrwiono, lecz żalu do nikogo nie ma i wszystkim przebacza.

W liście tym było bardzo wiele kropek i bardzo wiele myśli i zdań niedokończonych i urwanych.

Po przeczytaniu tego listu, doktór zakrył sobie twarz obiema rękami i znać po nim było, że choć powstrzymuje się—oddycha z wysiłkiem. Panna Łupinkowska nie wiedziała téż, co ma z sobą począć. I przez długich kilka chwil siedzieli w zacisznym pokoju — oboje milczący, niemi.

— Pani mi podaruje ten list? — zapytał wreszcie, kiedy atak nerwowy już mu przeszedł.

— Nigdy—odrzekła mu poważnie, choć trochę teatralnie — zaraz pan zobaczy, co się z tym listem stanie.

Zapaliła świécę i przyłożyła do niéj zawinięte w tutkę arkusiki. Czerwony ognik pochwycił je w swoje leciutkie objęcia, z których wyszły przemienione w odrobinkę prochu—w perzynę.

— Miała pani słuszność. Nie zasłużyłem na państwa zaufanie. Choć proszę mi wierzyć: myślałem tylko zawsze o jéj szczęściu. Nie

czułem się jéj godnym. Ale jeśli ta luba istota zechce dzielić moje marne losy — nie pozostaje mi nic innego, jak dziękować na klęczkach codziennie Panu Bogu za to szczęście, jakie mi zsyła. Dzisiaj wyjeżdżam do Warszawy. Naturalnie, pozostaje to wszystko pomiędzy nami. Pani dziękuję za wszystko — kończył, całując jéj kościstą dużą rączkę z całym szacunkiem i wdzięcznością, na jaką swojém poczciwém postępowaniem zasłużyła. A ona cała przejęta powagą chwili — sama nie wiedząc czego—rozpłakała się.

Kiedy odjechał, nie wytrzymała naturalnie i opowiedziała z entuzyazmem o całéj téj scenie „tak cudownéj, że jéj przez całe życie nie zapomni" — ojcu, matce i całéj rodzinie. Nie przepuściła ani jednego szczegółu i nawet upoetyzowała jeszcze wszystko odrobinkę.

— To jest waryat — zadecydował ojciec, obalając za jednym zamachem tego świętego — według określenia córki — człowieka. — Nie uwierzę w to małżeństwo, póki nie będzie po ślubie. I na co wam było palce w to maczać? Ale—kończył, irytując się — wy baby bez swatowstwa i romansów żyć nie możecie.

W chwilę późniéj doktór Klimowicz z pomocą Janowéj, bardzo podrażnionéj tajemniczością i lakonizmem rozkazów swego pana — pakowali najpiękniejsze ubranie i bieliznę w podróżny kufer, a pledy i derki w rzemienne paski. Przed domem stały już konie.

Na dworze się już ściemnia. Powietrze dżdżyste i chłodne, niebo szare. Teraz stangret z pomocą lokajczyka wynoszą z domu pakunki, które układają na bryczce.

Dokoła małe żydziaki i mający bardzo wiele wolnego czasu małomieszczanie przypatrują się cierpliwie temu widowisku. Wreszcie wychodzi z domu doktór w długiéj burce z podróżną torebką, przewieszoną przez ramię.

Stangret trzasnął z bicza i minąwszy cichy rynek z wychylającemi się z okien ciekawemi głowami —ruszyli het drogą ku dworcowi kolei żelaznéj.

V.

Doktór Klimowicz bawił już w Warszawie od kilku dni. Spragniony wiecznie wśród monotonii małomiasteczkowéj—stolicy i widoku ulubionych, tak dobrze mu znanych ulic oraz domów, ogrodu, teatru — nie widział teraz i nie słyszał dokoła nic. Panna Maniuta zakrywała mu swoją osobą wszystko.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, że się właśnie w téj chwili znaj-

duje w swojéj ulubionéj Warszawie i jak ślepy i głuchy przebiegał machinalnie z hotelu do mieszkania Malinowskich i spędzał tu bez żadnego skrupułu dni całe.

Czasami zdawało mu się, że nie skończyły się jeszcze święta Bożego Narodzenia i że znajduje się zawsze jeszcze w Dębinkach. I wcale nie dziwiło go to, ani krępowało, że znajduje się wciąż w obcym dla siebie domu. Miał uczucie, jak gdyby znał ich wszystkich nie od tygodnia lecz od wieków i że to jest najbliższa jego rodzina — cały jego świat. Odrazu zżył się z nimi i znajdował się tu zupełnie jak u siebie w domu. Jakoż promieniał cały swoją werwą, poczciwością, dobrym humorem i całą delikatnością swojéj natury. Było mu dobrze. I zdawało mu się, że kocha nietylko pannę Maniutę, lecz wszystkich: cały dom i mamę Malinowską i papę, obie siostrzyczki i stryja Franka.

Od wczoraj nosiła już panna Maniuta na palcu otrzymany od niego bardzo ładny pierścionek z brylantem.

Po jego odejściu, mama Malinowska poczęła obrzucać pocałunkami córkę, co się rzadko trafiało, przyczém rozpłakała się jak bóbr, co zdarzało się jéj jeszcze rzadziéj.

— Pan Bóg wysłuchał moich próśb. O nic Go nigdy dla siebie nie prosiłam. Nigdy—o nic. Pragnęłam zawsze tylko waszego szczęścia. Dziecko moje!

Panna Maniuta, czując, że matka mówi prawdę, całowała ją po rękach. Płakały teraz—obie.

A Wanda, kująca na pamięć subjonctivy francuskie i wogóle nastrojona zabawnémi, według jéj określenia zaręczynami siostry, bardziéj krotochwilnie — bąknęła siedzącemu pod oknem stryjowi Frankowi z oschłością podlotka:

— Czysta komedya z temi zaręczynami! Nie przyjeżdżał — były w domu beki, teraz przyjechał —znowuż beki.

Choć wogóle miała mama Malinowska teraz jeszcze mniéj czasu niż zwykle. Narzeczonym było dobrze. Siedzieli sobie dniami w saloniku i nie myśleli o niczém. Mama Malinowska niczego téż więcéj od nich nie wymagała. Sama zaś dokazywała cudów.

Dom teraz tak wyglądał, jak gdyby wydawali co najmniéj rocznie 4 tysiące rubli. W saloniku codziennie drzewo w piecu aż trzeszczało. Zapalano wszystkie lampy, pozdejmowano wszystkie pokrowce.

I w całym blasku zajaśniały w salonie napoleonki, kryte fijałkowym utrechtem (jedném z marzeń mamy Malinowskiéj—było—pofarbować ten zniszczony utrecht na kolor czerwony—jak w salonie u Kogutkiewiczów) oraz albumy z fotografiami na stole.

Wszystko to, jak w oranżeryi, ginęło w powodzi kwiatów, które doktór Klimowicz przysyłał bez końca z pasyą zakochanego.

Mama Malinowska obliczyła, iż wydał na te kwiaty w ciągu tygodnia więcéj, niż ona na całomiesięczne utrzymanie domu.

Ona—nie o kwiatach teraz myślała. O oszczędnościach obecnie nie mogło być mowy. Trzeba było mu pokazać, do jakiego domu on wchodzi. Wystąpiła też wspaniale.

Obiady wyglądały, jak gdyby Bóg wié ile kosztowały. A na kolacyę układano na talerzykach cieniutko pokrajane wędliny, które bardzo zręcznie tylko narzeczonemu podsuwano. Bo mama Malinowska zwykle nie miała apetytu, a Wandzie późne jedzenie szkodziło.

Narzeczony za to miał apetyt doskonały i z całą naiwnością zajadał tak, jak gdyby te wszystkie specyały darmo na drzewach wyrastały. A mamie Malinowskiéj dusza aż z radości rosła.

Okradała za to pudełko „wodziarza", do którego wsypywała znowuż drobne kwoty za węgle i naftę—łatane funduszami dla krawcowéj. Dla oszczędności pożegnała też nauczycielkę, udzielającą Wandzie francuskiego i muzyki.

Lecz wszystkie te manipulacye nie bardzo skutkowały i mama Malinowska zasypiała wieczorem z cyframi w głowie, które ją daléj przez całą noc męczyły i biédna wciąż liczyła, liczyła, liczyła...

Cóż dziwnego, że posiadała teraz przyjemne uśmiechy tylko dla narzeczonego. Kiedy kto inny się do niéj odezwał — w téj chwili zdenerwowana do najwyższego stopnia wybuchała.

Pewnego razu, kiedy leżeli już w łóżkach, mężowi wpadła niefortunna uwaga:

— Ten Klimowicz — to bardzo porządny człowiek. Tylko, moja kochana, czy on nie jest dla Maniuty trochę za stary?

Mama Malinowska aż zakipiała.

— Za stary! Naturalnie! Z takiém stanowiskiem trzydzieści i kilka lat i piękny, jak malowanie — za stary! Naturalnie. Podług ciebie powinna wyjść za człowieka młodego — tak jak ja za ciebie wyszłam. Spędziłaby wtedy życie, stąpając po różach — jak moje życie całe przeszło. Nie wiedziałam nigdy co jest młodość, co jest zabawa. Wieczne użeranie się o grosz, o każdy gałgan, o nauczyciela, o sługę. Na lekarstwo dla dziecka nieraz nie było. Zmarnowałam życie.

— Ależ, moje dziecko, przecież ja nic nie mówiłem — tłómaczył się, pragnąc, spracowany biurem, jak najprędzéj zasnąć.

— Właśnie w tém nieszczęście, że przez całe życie nic nie mówiłeś. Gdybyś był myślał o posagach dla córek—mógłbyś wybiérać zięciów. Ale ty — zamiast mi być wdzięcznym — posiadasz tylko jakiś

dziwny dar wyprowadzania mnie wiecznie z cierpliwości — trajkotała bez końca—póki zmęczona gniéwem, pracą i troskami — nie zasnęła— kiedy on oddawna spał już, jak zabity

Narzeczony zdecydował się wreszcie wyjechać. Było postanoném, że powróci dopiéro za dwa miesiące na ślub, mający się odbyć w tym czasie.

Lecz mama Malinowska i po jego wyjeździe nie odetchnęła. Wprawdzie wróciły pokrowce na meble i jeszcze skromniejsze niż dawniéj obiadki, ale rozpoczynała się wyprawa, i to wyprawa, jak się należy! To nie bagatela.

A posiadano całego zapasu kilkaset rubli, które udało się staremu wyprosić z biurowéj kasy pożyczkowéj.

Te pieniądze miały starczyć na wszystko, bez czego obejść się nie można, na wszystko, co musi być. Bo czyż można wyprawić ucztę weselną bez wina, bez tortu, bez lodów? Jakby to wyglądało, co ludzie by na to powiedzieli?

Trzeba téż było kupić białego atłasu na suknię ślubną, przytém kostyum podróżny (młoda para miała po ślubie wyjechać zagranicę) trochę batystów i koronek na negliże, no... i trochę bielizny.

— Boże! co ja trzewików zedrę na tę wyprawę — biadała mama Malinowska, zapominając o nogach, o płucach i o nerwach, które całemi dniami ekspensowała.

Staczała teraz od rana codzienne walki z kupcami za Żelazną Bramą, okazując zdolności Machiavellego. Krytykowała umyślnie w sklepach towary, do których się najwięcéj paliła i wychodziła i powracała znowuż do tegoż samego sklepu bez końca — goniona przez całe czeredy żydowskich subiektów i charakterystycznych sklepowych. Chodziło o wytargowanie dziesiątki na guziczkach, wstążkach i tasiemkach.

Powróciwszy do domu, rzucały się na kanapę zziajane i zmęczone i zaledwie trochę tchu złapały — rozwijały paki i przeglądały zakupy.

Na kupionych za bezcen atłasach spostrzegały teraz plamy, a batysty darły się w rękach. I zrozpaczone powracały za Żelazną Bramę, aby to wszystko zamieniać. Następowały nowe kłótnie, walki, zmartwienia.

I Wanda schylona nad kajetem z imiesłowami francuskiemi — odzywała się do stryja Franka zatopionego w Kuryerze.

— Wié stryj, jak matkę z duszy kocham — wolałabym brać ślub w płóciennéj sukni, niż męczyć się tyle i uganiać za tą tandetą.

— Gadanie—machnął stryj Franek ręką —będziesz kiedyś taką

samą, jak Maniuta. Maniuta będzie kiedyś taką samą, jak mama, a Janinka będzie wtedy taką, jak ty teraz — póki wiek nie sprowadzi was do wspólnego mianownika.

— Tak? No, to założmy się, że ja nie będę taką — rzekła, wyciągając do niego rękę i niezmieszana jego nowém pogrążeniem się w Kuryerze ciągnie dalej: — Wié stryj, jestem ciekawa, czy Maniuta bardzo kocha swego narzeczonego, czy tylko tak sobie?

— W takim razie jesteś ciekawszą od Maniuty, bo ona sama tego nie wié i nie ciekawa zapytać o to swoją osobę. Nie ma zresztą na to czasu: tyle ma bieganiny za tą wyprawą.

— Ale zawsze Maniuta robi świetną partyę — rzekła zmieniając ni stąd ni zowąd tok rozmowy — Wié stryj, jestem bardzo ciekawa, za kogo ja za mąż pójdę? Czy za blondyna, czy za bruneta, czy za adwokata...

— Wando! Czyś ty zrobiła już lekcye na jutro? — odezwała się z drugiego pokoju matka —za wiele twego głosu dziś słyszę.

Owe dwa miesiące przeminęły w ciężkiéj pracy prędko, jak sen.

Doktór Klimowicz bawił znowuż w Warszawie. Teraz był więcéj oddalonym od swojéj narzeczonéj, niż bawiąc u siebie w Borowie. Tam miał ją w marzeniach, odczytywał listy. Tu setki zajęć i obowiązków bezustannie ich teraz rozdzielały.

Wyprawa była już niemal gotowa, lecz teraz panna Maniuta biegała żegnać się ze swemi przyjaciółkami i koleżankami. A w domu panował ciągły zamęt i doktór czuł, że był tu zawalidrogą, pomimo to, iż teraz kiedy klamka już zapadła, nie robiono już z nim takich ceremonii, jak za pierwszym jego pobytem w Warszawie.

Lecz mama Malinowska wyszukiwała obecnie po zaułkach najtańsze cukiernie i wyprzedaże w składach kolonialnych. A jego zmuszano do ustawicznego biegania i zarzucano pytaniami:

— A był pan w ratuszu? A w konsystorzu już załatwione? Niech pan idzie do księdza. A metryka, a cyrkuł, a książeczki legitymacyjne?

Liczył dni i godziny, aby to wszystko wreszcie się skończyło i aby mógł wydostać już Maniutę do siebie do domu.

Pewnego dnia nie wiedząc, co z sobą robić (narzeczona przymierzała u krawcowéj suknię ślubną, a w mieszkaniu froterowano wszystkie podłogi), zaproponował stryjowi Frankowi kieliszek wina w knajpce.

Choć znał dziwaka mało, bo on na swojém drugorzędném w domu stanowisku nie udzielał się i nie narzucał — czuł dla starego instynktownie wielką sympatyę. Stryj Franek, jak gdyby przeczuwając to dobre usposobienie, nie dał się długo prosić. I on w gruncie lgnął

całém swojém poczciwém sercem do tego poety, jak nazywała swego przyszłego zięcia z przekąsem (naturalnie w jego nieobecności) mama Malinowska. Zresztą stryj Franek lubił od czasu do czasu knajpkę, kieliszek wina i nowe przyjaźni, nowe zbliżenia się, nowe znajomości.

Weszli tylném wejściem bywalców przez podwórze do tradycyjnéj warszawskiéj knajpki zacisznéj, dusznéj i ciemnéj z dyskretnemi storami u okien.

Rozglądają się dokoła: Żółte światła gazu dziwnie kłócą się ze srebrnemi snopami dnia, wpadającego przez drzwi otwarte. W knajpce nie ma prawie nikogo. W kącie tylko jakiś desperat zapija sam do siebie jakąś buteleczynę.

Strącili śpiącego tłustego kota, wylegającego się na kanapie, krytéj czarną ceratą i zasiedli za stolikiem o blacie z białego marmuru.

Tradycyjny „kochany pan Karol", pełniący z dystynkcyą rolę garsona—stanął przed nimi.

Niebawem z tą samą dystynkcyą przyniósł im butelkę omszałego węgrzyna. Doktór Klimowicz pijał wogóle niechętnie i bardzo niewiele. I dziś téż maczał zaledwie usta, nie szczędząc wina towarzyszowi.

Stryj Franek zaś, wchodząc do knajpki, mawiał zawsze głosem bywalca:

— Proszę mi dać ten mój zwykły kieliszek. Naparstki schowajcie dla siebie!

I byłby największym wrogiem tego, ktoby mu powiedział, że ma może niezłą głowę, ale nie taką, jak mu się wydaje. Nie upija się wprawdzie jak szewc — ale nietylko ten „jego kieliszek", lecz i każdy „naparstek" wystarcza, aby go wprowadzić w niecodzienną elokwencyę, w trochę zbytnią szczerość, zwierzania i gwałtowne napady przyjaźni. I dziś po kilku kieliszkach — niepytany i nieproszony o to, bardzo śmiały w nieobecności bratowéj — odzywa się do przyszłego męża swojéj bratanki:

— No, wybrałeś sobie pan poczciwą dziewczynę. Gniazdo przynajmniéj po mieczu—dobre. Starego Malinowskiego, pierwszego męża ś. p. matki mojéj — naturalnie znać nie mogłem. Lecz matka nasza była z domu Zahorska. A Zahorscy—dobra szlachta, choć od wieków podupadła. Zajrzyjcie do Niesieckiego. Skoligaceni z pierwszemi rodzinami w kraju. Pańska narzeczona, jak dwie krople wody podobna do ojca, a mego brata. A on, choć pantofel skończony, prawy w gruncie i zacny; muchy by nie zabił. W dziewczynie — zdaje mi się—przeważa charakter ojca po nad domieszką krwi mamuni. O! bo mamunia — to typowa mieszczka, panie, z Podwala — bez odrobinki polotu, bez idei jakiegokolwiek sentymentu. Nieodrodna wnuczka jakiéjś mało-

mieszczki, odważającéj w sklepiku pieprz na łuty. A jaka przytém pewna siebie, próżna i głupia razem ze swoim kramarskim ciasnym sprycikiem. A jaka krzykliwa! Na samą dysharmonię jéj głosu — moje nerwy, widocznie więcéj rasowe, niż jéj—całe aż dygocza. Uśmiéchasz się pan. Nie ukrywam się z tém, że jéj nie lubię. Wiem o tém; ona jest porządną kobiétą, a ja — nieponiem. Nie sztuka być porządnym człowiekiem — kiedy się nie ma żadnéj fantazyi, żadnéj namiętności, żadnych gustów, ani temperamentu. Ja połamałem swoje skrzydła, ona nigdy ich nie miała: wiecznie pełzając, nie wzniosła się po nad ziemię nigdy wyżéj nad ślimaka. Dajmy jéj pokój. Ale jeżeli chcesz miéć poczciwą, dobrą żonę — to uzbrój się w odrobinę siły i wszystkie naleciałości mamuni z niéj wyruguj. Przedewszystkiém wychowanie i wykształcenie zmienić od A do Z. Balasty, tandetę — powyrzucać; luki powypełniać.

— Mój kochany panie — mówił z pobłażliwym uśmiechem doktór—na cóż mam to wszystko robić, kiedy właśnie posiadam tak zły gust, że pańska bratanka podoba mi się taką, jaką jest.

— Czy pan ją znasz taką, jaką ona jest?

— W takiém naiwném, młodziutkiém stworzonku, czyta się wszystko wyraźnie, jak w otwartéj książce.

— Kochany panie, może nie powinienem panu wyjawiać tych wszystkich spraw zakulisowych — mówił stryj Franek z powagą głowy domu. — Ale jeżeli wasze małżeństwo nie ma być szczęśliwém, to lepiéj, aby go nie było wcale. I to, co robię, robię z przeświadczeniem uczciwego człowieka, spełniającego swój święty obowiązek. Nie uląkłbym się nawet, gdyby opodal siedziała Brandbuszówna, moja kochana bratowa. (No! to ostatnie możnaby trochę zakwestyonować).

Doktór Klimowicz wolałby był zmienić tok rozmowy. Zdawało mu się, że jest to niedyskrecyą z jego strony korzystać z rozochocenia stryja i dowiadywać się o tajemnicach, których nie był wcale ciekawy, lecz pojmował, że powstrzymać rozpęd starego — jest rzeczą niemożliwą, témbardziéj, kiedy ten z uporem człowieka, któremu kieliszek rozwiązał język, począł to uważać za swój „święty obowiązek”.

Doktór czuł się przytém tak pewnym swoich uczuć dla narzeczonéj że te banialuki stryja Franka, obijały się o niego jak o ścianę, a ostatecznie zaczęły go nawet bawić.

— Nazywasz ją pan naiwném dzieckiem i panu zdaje się, że pan znasz swoją wybraną. Otóż nie znam wszystkich warszawianek z téj mało szlachecko-mieszczańskiéj sfery, zwanéj drobną burżuazyą. Nie śmiem nic ogólnie wyrokować, bo też i „widzimisię” takiego, jak mię

pani bratowa nazywa — pasibrzucha, letkiewicza, który sam własnego życia urządzić sobie nie potrafił — nie mają żadnego znaczenia ani powagi. Témbardziéj czynione po kieliszku. Ale wiédz pan, że wszystkie te panny Malinowskie są sztucznie doprowadzone do jednego wspólnego mianownika. Dorósłszy — wszystkie jednakowo według mody zaczesują grzywki, jednakowo zaciskają usta, mają jednakowe dowcipy, jednakowy szyk i humorek. Po za tém, nie zdradzają się przed ślubem z niczém. To są wszystko akcesorya, to są wszystko worki, z których dopiéro po ślubie wychodzą kotki. Lecz te worki, to tandeta; odpada łatwo, jak mur pruski. I z tych szykownych, sentymentaltalnie naiwnych lub rozkosznie figlarnych panienek — robią się wkrótce takie klempy, że niech ręka Boska broni!

Doktór zaczął się śmiać na całe gardło.

— A śmiéj się pan — mówił daléj, dolewając sobie już bez ceremonii wina. — Panu się zdaje, że Maniuta jest inną, a ona ani na włos nie różni się od tych wszystkich panien Malinowskich, tresowanych specyalnie na zbyt z tandetą duszy i ciała. Bo mojéj pani bratowéj szło tylko o to, aby wypchnąć córkę za mąż, bo jéj spełnianie obowiązków matki i żony jest taką samą tandetą, jak jéj obiady, jak jéj edukacya dzieci, jak jéj prowadzenie całego domu. Tandeta! Co po ślubie będzie — to jéj już nie obchodzi. Pan masz prawo sądzić, że Maniuta jest muzykalna, bo grała ci z ogromném uczuciem modny romans Godarda. Otóż ona bębni ten biédny romans Godarda już od czterech lat. Z początku męczyła go prawą ręką, następnie lewą, a kiedy w końcu rozpoczęła obiema rękami — zrobił się taki chaos, taka kakofonia, że myślałem, iż przechoruję ten romans. I po co uczyli ją grać, kiedy nie mieli środków ani na dostateczną ilość lekcyi, ani na dobrego nauczyciela i kiedy — co najważniejsze — nie jest muzykalną? Słyszałem, jak mówiła, do pana kiedyś... *pardon monsieur*. A podyktuj jéj pan stroniczkę po francusku — zrobi 30 błędów. Tak samo z historyą: wié coś o Neronie ze świeczników chrześciaństwa Siemiradzkiego, słyszała coś o jakimś Skardze, co miéwał kazania, bo widziała kazania Skargi Matejki i opowié panu o naszyjniku Maryi Antoniny z romansu Dumasa. Gdybyż chociaż to jéj w głowie pozostało! Ale po ślubie nawet i to wszystko jéj odpadnie.

— Więc pan sądzi — przerwał doktór coraz bardziéj rozweselony przesadnym pesymizmem stryja Franka — że my się łapiemy głównie na tę muzykę i francuszczyznę?

— Nie. Was bierze to, czego mama Malinowska swoim rozumem nie zdążyła jeszcze zepsuć i co uważa za największą wadę u swoich córek, czego ku wielkiemu utrapieniu wykorzenić jeszcze nie mo-

gła i za co córki ustawicznie strofuje. Was bierze ta odrobinka świéżości uczuć i porywów, którą młodość zawsze w sobie posiada i która kwitnie, jak polne kwiaty, choć nikt ich nie sadzi.

— Tak, tak — mówił doktór ciągle w dobrym humorze — wszystkie paskudztwa odpadają, natura zostaje.

— Lecz pan, jako lekarz, powinieneś wiedzieć, że odcięcie zgangrenowanéj ręki lub nogi, nie zawsze decyduje o nieposzlakowaném zdrowiu reszty organizmu. Odpadnie tandeta — prześlicznie! Lecz trzeba jéj zamiast tego, co utraci—stworzyć jako rekompensatę—nowe cele, pewne zasady i ideały, o których istnieniu nie słyszała. Dlatego mówiłem panu, że trafiając na naturę dobrą—powinieneś wychowanie od A do Z zmienić. Nie sądź pan, że przemawia przezemnie osobisty żal do naszych kobiét. W mojém małżeństwie, ja byłem przyczyną wszystkiego złego. (Stryj Franek musiał być już dobrze ciętym, kiedy nie wahał się poruszyć téj drażliwéj kwestyi, w któréj przed własnym bratem nawet milczał, jak grób, wiecznie). Psim obowiązkiem męża jest myśléć o zabezpieczeniu bytu żonie i dzieciom. Kto nie myślał o ich przyszłości — nie ma prawa wydawać o nich sądu. Swoją drogą nie łudźmy się: nasze kobiéty nie zawsze bywają takiemi żonami, jak należy. Broń mię Boże, abym wyrokował tak ostro o wszystkich Polkach. Pamiętam moją matkę, pełną zaparcia się, poczciwą, cichą, wpatrującą się wiecznie ze złożonemi rękami w mego ojca, jak w Boga. Odgadywała jego myśli, żyła nim i dla niego. Co za ciepło od niéj biło i jak umiała pocieszać w troskach, odczuwać zmartwienia! Ale do tego należy miéć bardzo dużo serca i bardzo dużo głębokiéj wartości i prawości uczuć. I pamiętam, kiedy ojciec mój—mężczyzna ogromny, o głowę wyższy odemnie — śród zmartwień tulił się pod jéj skrzydła opiekuńcze, jak dziecko. Takich kobiét nie dużo na świecie. Wasza sąsiadka pani Łupinkowska, o któréj słyszałem—musi także stanowić typ podobny.

— Ale ja mówię — ciągnął, unosząc się—o naszych mieszczkach, siostrach Malinowskich, nieodrodnych córuniach mamy Malinowskiéj, wyciosanych sklepiczarską grubą ręką Brandbuszównéj. Taka kobiéta nie tylko nie zrozumié i nie odczuje, ale wyśmieje w panu i oziębi to wszystko, czego ich mamunia nie uważała za stosowne, zanotować w ich marnym filisterskim szemaciku wąskich pojęć życiowych. I to jest specyalnie warszawski wyrób kobiét. Paryżanka nie jest ani matką dobrą, ani gospodynią; dzieci oddaje na wieś, a obiady kupuje w restauracyi. Lecz jest dobrym koleżką i przyjacielem swego męża; razem się bawią, razem pracują. Niemka jest niewolnicą, podnóżkiem, sługą swego małżonka. Jeżeli mąż jest stary i chory — zdradza go,

lecz nie przestaje gotować mu rumianku i zerwie z najczulszym kochankiem, jeżeli ten ośmieli się coś złego na jéj męża powiedzieć. Nasze nie mają kochanków, bo ich zdrowie także tandeta, prędko się po ślubie rozpada. Nawet bez męża by się obyły. I jakżeż mają być zdrowe, sypiając od dziecka w małym dusznym pokoju, źle odżywiane, nie wiedzące nawet, co znaczy hygiena? Bo u ich rodziców pieniądze trzeba było wydawać na nauczycielkę francuskiego i na salon, w którym przyjmowano gości. Francuska i Niemka nie ma salonu i nie przyjmuje gości. Jest za to zdrowa, bo śpi spokojnie i nie wydaje pieniędzy na lekcye języka polskiego. Przez ten czas nauczyła się na pamięć swego Schillera, a druga czyta polityczne dzienniki, obala rządy i zmienia prezydentów. To się nazywa kultura, ale nie *parler français* i mazurki panny Bądarzewskiéj dawniéj, a teraz Godarda — przed ślubem — a plotki, kłótnie z kucharką i z kumoszkami i lekceważenie męża—po ślubie. Pamiętaj więc pan: Brandbuszównę w Maniucie zdusić, wskrzesić w niéj grunt babki, ś. p. mojéj matki, a wtedy dopiéro wychowanie i wykształcenie od A do Z zmienić.

Przejmował się dźwiękiem własnych słów. A kiedy mówił: Brandbuszówna—to aż syczało. Oddawna widocznie nagromadziło się w nim to wszystko. I z całym żalem poniżanego ustawicznie bezbronnego krewniaka pastwił się nad swoją bratową, któréj w oczy nie ośmieliłby się słówka jednego powiedzieć. Dziś pod wpływem wina odżyła w nim werwa i pewność z dawnych lepszych czasów. I kiedy mówił: „uważam sobie za święty obowiązek”, lub „jeżeli wasze małżeństwo nie ma być szczęśliwe—to lepiéj, aby go wcale nie było”—to on, siedzący u Malinowskich na szarym końcu, wiecznie niemy, z głową spuszczoną — miał teraz minę, jak gdyby dokładał z własnéj szkatuły przynajmniéj milion złotych i jak gdyby bez jego zezwolenia i błogosławieństwa — nikt nie ośmieliłby się jechać do kościoła. Gdybyż to wszystko stara Brandbuszówna była słyszala!

Lecz doktór spojrzał na zégarek. Czas był wracać już do domu.

— Dobrze, dobrze, kochany panie stryju — rzekł, na zakończenie rozmowy, klepiąc starego poczciwie po ramieniu.—Z twoich rad będę korzystał. A kiedy zawitasz do nas do Borowa, przekonasz się pan, jaką zacną i miłą żonką będzie twoja bratanka.

Pocałowali się z dubeltówki. Stryj jednak się rozpłakał.

Nie wiadomo, czy to było wzruszenie, czy stary węgrzyn, czy téż może po niewczasie uczuł wyrzut sumienia, iż zbytnio oczernił swoją bratankę przed człowiekiem, z którym miała wkrótce złączyć losy i całe przyszłe życie.

Na doktorze całe dowodzenie starego sprawiło wrażenie bajki z tysiąca i jednéj nocy. Ubawił się trochę i naśmiał. Zresztą, wszystko to weszło mu jedném uchem, drugiém wyszło.

Minęło jeszcze kilka dni i wreszcie wszystko się skończyło. Odbył się ślub—naturalnie z wszelkiemi możliwemi śpiewami, kwiatami, karetami, jak na pannę Malinowską przystało. Pani Kogutkiewiczowa pękała z zazdrości, a mama Malinowska, na pół żywa od pracy, od nieprzespanych nocy i cudów, które za psie pieniądze narobiła — rosła z radości w kościele, w swoich czerwonych kwiatach na głowie i w świéżo nicowanéj jedwabnéj sukni.

Po ślubie odbył się obiad na 50 osób z majonezami, indykami i lodami. A jakże! Wszystko musiało się znaleść. Nie brakło niczego, na coby świat mógł powiedziéć:

— Aha! Ładne wesele wyprawili córce Malinowscy. Polędwica była bez makaronu włoskiego, a do indyków nie było kompotu!

Lecz był makaron, były kompoty, było wszystko, wszystko: i lokaje najęci i grajek przygrywał do uczty. Wszystko odbyło się jak należy.

I po twarzy mamy Malinowskiéj płynęły grube łzy; lecz łzy te były ciepłe, lube, przyjemne. Wprawdzie pani Kogutkiewiczowa rozparta na kanapie oświadczyła mamie Malinowskiéj.

— Powiadam pani, mam dziwne córki. Gdyby były tylko chciały, ho, ho! byłyby już dawno za mężem. Powiadam pani: świetne partye im się zdarzały. Ale one mówią: albo wyjdziemy za człowieka młodego, albo nie wyjdziemy za mąż wcale. Powiadam pani: takie grymaśnice!

Było znać, że kipi z zazdrości. Mama Malinowska nie zapomniała też, jak to mówią, języka w gębie i odcięła się z miejsca jeszcze słodziéj:

— Moja pani, to rzecz znana: panny posunięte już trochę w wieku wolą zawsze młodych, a młode, jak moje córki, wolą znowuż starszych. Moja pani, ktoby się tam temu dziwił?

Po skończonéj uczcie rodzina i goście odwieźli na kolej młodą parę, udającą się tegoż dnia za granicę (pani Kogutkiewiczowa, dowiedziawszy się, że młodzi odbywają poślubną podróż — o mało nie zemdlała).

I Malinowscy już bez córki powrócili do domu. Nazajutrz z mieszkania wynoszono wynajęte kwiaty, krzesła, serwisy. Mama Malinowska zdjąwszy z siebie swoją uroczystą tradycyjną, nicowaną, zieloną jedwabną suknię — chowała do szafy niezbyt obfite resztki z uczty, mające stanowić jedyne menu obiadów całego przyszłego tygodnia.

Wreszcie rzuciła się zziajana na fotel i uchwyciwszy czerwonemi spracowanemi rękoma za zmęczoną głowę, wykrzyknęła tonem, jak gdyby stofuntowy kamień spadł jéj z piersi.

— Uf! Nareszcie!

Obok niéj chodził po kątach mąż, który do biura dziś nie poszedł i dlatego w bezczynności miejsca sobie jakoś wynaleść nie mógł. Był usposobiony lirycznie.

— Jaka tu pustka teraz w domu—przemówił, rozglądając się dokoła—jakby wymiótł. Bez Maniuty cały dom inaczéj wygląda. Trudno będzie się przyzwyczaić do tego. Człowiek wychowuje dziecko, przywiązuje się do niego coraz więcéj, aż tu na starość, fiut! panie, jakiś obcy człowiek zabiéra ci ją nagle z domu i sprząta z przed nosa.

Mama Malinowska niecierpliwie ramionami wzruszyła.

— Naturalnie. Lepiéj-by było, aby siedziała ci pod bokiem i więdła. Lubię takie gadanie. Grzéch tylko przed Bogiem.

Mówiłaby jeszcze więcéj. Mąż miał zawsze talent swojém gadaniem ni w pięć, ni w dziewięć wyprowadzać ją z cierpliwości. I on, przeczuwając burzę, rzucił swoje lakoniczne: Et! i jak zwykle machnął ręką, wziął za kapelusz i wyszedł na gazety.

A ona z założonemi rękami, nie mogąc się ruszyć ze zmęczenia, nie opuszczała fotelu i błędnym wzrokiem patrzała przed siebie.

Przed oczami jéj stanęło całe dzieciętwo Maniuty i wszystkie lata następne rok po roku, aż do ostatniéj chwili.

Ból, z jakim matka rodzi dziecko, jest niczém w porównaniu z wszystkiemi mękami wychowania i troskami o jego przyszłość. Naturalnie, nie ma tu mowy o wielkich damach, dla których przybycie dziecka jest tylko stratą jednego karnawału, niczém więcéj.

Lecz gdyby tak *jéj* troski o dzieci chciano naprzykład opisać!

Każda opłata pensyi i nauczyciela, każda para zdartych trzewików, każda książka i kajet — ile myśli trzeba było wysilić, aby módz grosz na to wycisnąć, aby dobiedz tylko do końca, aby tylko córkę wychować i za mąż dobrze wydać.

I kiedy mąż przyszedł z biura w gorszym humorze, a ona domyślała się jakiéjś nieprzyjemności służbowéj, sprzeczki z naczelnikiem, lub z dyrektorem—drżała.

Dymisya! Wyraz ten bezustannie wisiał jéj przed oczami. Co wtedy uczynią? Kiedy mąż zakasłał, lub na serce się żalił — stawała jéj znowuż w myśli: śmierć jego, a... dzieci na bruku.

I wyciągała daléj ostatnie grosze na lekcye, na muzykę, na francuzczyznę, aby pchać daléj, daléj, aby dobiedz do mety.

A jednak przy największych troskach i ofiarach, wydatków tych

nie porzucała. Nie robiła tego wszystkiego z pewnością dla siebie, bo kpiła z historyi Egiptu i nie znosiła muzyki, która z powodu tych ciężkich wysiłków jeszcze bardziéj jéj zbrzydła. Lecz to wszystko czyniła dla tego kogoś, tego X-a, wybranego, spadłego z niebios, który miał się na to wszystko złapać i odtąd sam o córce jéj myśléć.

Mąż dla córki! Myślała o nim, zaledwie Maniuta podrosła. Mąż! wydawało jéj się to zamknięciem długiéj męczącéj książki, epilogiem, odetchnięciem. Mąż! stał jéj przed oczami po nocach i wtedy, kiedy oszczędzając każdą łyżkę strawy, jaką do ust brała, wyszukiwała po magazynach piękne sukienki dla córki—i kiedy biegała, nie czując nóg ze zmęczenia, po spacerach, po Botanice, po Łazienkach, i kiedy wreszcie zimą, przechylając się na obie strony, drzémała po za wachlarzem na balach. Bo nie robiła tego z pewnością dla przyjemności córki, lub swojéj. Mąż! Nie wymagała od niego, aby był zbyt pięknym, ani zbyt młodym, ale powinien zabezpieczyć Maniucie przyszłość tak, aby ta nie przechodziła kiedyś ze swemi dziećmi tych wszystkich męczarni, co matka.

Dla swojéj prywatnéj przyjemności w nagrodę za wszystko żądała tylko, aby ten wybrany był takim, żeby Kogutkiewiczowa mogła pękać z zazdrości.

Pan Bóg wysłuchał jéj próśb. Widocznie, nie zgrzeszyła zbyt dużo. Nie miała nic na sumieniu i, złożywszy czerwone, spracowane dłonie, powtarzała cichutko:

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu.

Przy stole Wanda z głową opartą na ręku, przygotowywała się do egzaminu z całego kursu, powtarzając ową nieszczęsną historyę Egiptu:

— Sezonchis I, pierwszy król 22-éj dynastyi...

Na dźwięk tego głosu Malinowska śród przeciągłego swego *dolce far niente* drgnęła i, skierowawszy następnie spojrzenie na córkę, jak sędzia śledczy, nie spuszczała z niéj oczu. Po chwilowym tym egzaminie uśmiechnęła się zadowolona.

Zajęta dotąd Maniutą nie miała czasu przypatrywać się rosnącemu i zmieniającemu się wciąż podlotkowi. Zresztą dotychczas było jéj wszystko jedno, jak młodsza córka wyglądała.

Nie zwracano uwagi ani na jéj ubranie, pozostawiające wiele do życzenia, ani na czesanie włosów, ani na ręce, wiecznie atramentem zawalane. Teraz przypatruje jéj się badawczo, o ile może bezstronnie, jak obcéj.

Wanda, mówiąc bez odrobinki przesady, jest prześliczną. Nie ma porównania z Maniutą, która była tylko świeżą i przystojną.

Z koloru włosów i oczu przypomina nie ojca, ongi blondyna, lecz matkę i jeżeli tak daléj rozwijać się będzie, może stać się skończoną pięknością.

Jest średniego wzrostu brunetką, z niezwykle pięknemi czarnemi źrenicami, przyćmionemi długą rząsą, która rzuca cienie pod oczami, jakby były sztucznie podmalowane. Oprawa oczu podługowata, wydłuża się jeszcze naturalnemi tuż przy oczach linijkami, podobnemi także do sztucznéj charakteryzacyi aktorek na scenie.

Cerę przy kruczych włosach ma alabastrowo-białą, matową. Na lewym policzku w pobliżu oka czerni się prześlicznie mały pieprzyk. Nosek bardzo regularnie narysowany z ruchomemi, jak u rasowego źrebaka, nozdrzami. Buzia maleńka, wargi koloru laku, ma w środku trochę wydatniejsze, ku końcom zwężają się.

Trzyma się jeszcze trochę pochyło. Figurkę ma dotychczas zupełnie nieuformowaną. O rękach źle utrzymanych i nóżkach źle obutych także jeszcze wyrokować nie można.

W téj chwili, nie czując na sobie skierowanych oczu matki, kuje jakby nic daléj, wymawiając wyraźnie każdy wyraz:

— Państwo popadło wkrótce w ręce etyopskiego zdobywcy Sabakona, albo Sebicha. Państwo popadło wkrótce w ręce...

Na powtórnie usłyszany dźwięk tego głosu, mama Malinowska zerwała się na równe nogi po owym krótkotrwałym egzaminie i z ogniem, właściwym ludziom czynu, wykrzyknęła na stronie:

— No, a teraz ta!

Zwróciła się do córki.

— Odłóż tę książkę —komenderowała już wypoczęta.

— Ależ, proszę mamy, mam jutro egzamin.

— Dość już mam tych egzaminów. Nie pójdziesz na pensyę. Od dzisiaj będziesz sypiała na kanapie Maniuty, a Janinka w twojém łóżku. Jest już za dużą na swoje dawne łóżeczko, które wyniesie się na strych.

— I będę nosiła teraz suknie Maniuty? — zapytała druga siostra Malinowska, a czarne oczka aż jéj zabłyszczały.

— Nie. Stare suknie Maniuty przerobię dla siebie i dla Janinki. Tobie sprawią się nowe w magazynie. I żebyś wiedziała — uczyła ją daléj — że nie będziesz miała posagu i że jeżeli nie wyjdziesz za mąż, czeka cię w razie śmierci rodziców żebranina pod kościołem. Trzeba mieć rozum i na życie patrzéć trzeźwo. Tylko w ten sposób robi się karyerę. Do żołądka nikt ci nie zajrzy, a jak cię widzą, tak cię piszą.

I mówiła wciąż daléj i daléj, wykładając jéj cały plan przyszło-

ści według swego wąziutkiego filisterskiego szemaciku, jaki jedynie zrozumieć mogła i jaki wydawał jéj się ideałem umiejętności i zrozumienia życia.

A siedzący w kącie stryj Franek niepostrzeżenie głową tylko kiwał i robiąc na stronie ruch ręką, jak ktoś, kto nakręca katarynkę — szepnął sobie w duchu:

— Aha! Już gotowa... druga siostra Malinowska.

VI.

Klimowiczowie oddawna powrócili już z podróży poślubnéj. Pani Maniuta spełniała teraz z wielką gorliwością swoje zajęcia gospodarskie.

Rządy jéj rozpoczęły się naturalnie od utarczek z Janową. Doktór bardzo przywiązany w gruncie do swojéj tyloletniéj gospodyni, pojmował doskonale, że żadna na świecie pani domu nie zniesie kaprysów i gdérań téj typowéj starokawalerskiéj sługi. Zgromił ją téż w skutku skarg żony jaknajostrzéj.

Po jakimś czasie żona przyszła do jego gabinetu z płaczem.

— Co się stało?—zapytał przestraszony.

— Ach! Jaka ja jestem nieszczęśliwa — odrzekła, łkając. — Janowa za nic mnie nie uważa. Wyobraź sobie, powiedziała mi, że znam się na gospodarstwie, jak kura na pieprzu. A ja, jak mamę kocham, nic jéj złego nie mówiłam; zwróciłam tylko uwagę, że masła za wiele wychodzi. Ach! Jaka ja jestem nieszczęśliwa!

Doktór, nie słuchając jéj żali do końca, wybiegł do kuchni, wypłacił całoroczne zasługi Janowéj i rozkazał w téj chwili zapakować manatki i w ciągu godziny opuścić jego dom. Tegoż jeszcze wieczora, Janowa popłakując, przeniosła się do jakiéjś swojéj kumoszki za miasto.

Pani Maniuta wydaliła téż wkrótce dla oszczędności i lokaja, który, według niéj, miał dawniéj okradać razem z Janową jéj męża.

Wogóle, pani Maniuta była oszczędną i często mawiała mężowi:

— Trzeba oszczędzać. Nie wziąłeś za mną posagu, a pieniędzy wydałeś bardzo wiele na urządzenie mieszkania i na tę podróż, która ostatecznie nie była wcale potrzebną.

— Jakto? Więc ci się Włochy nie podobały?

— No, Boże drogi, tego nie mogę powiedzieć; podobały mi się, ale zawsze można było się bez tego obejść. Trzeba oszczędzać. Bo widzisz — mówiła daléj bardzo poważnie — dobrze, że praktyka teraz

idzie ci nieźle i że zarabiasz rocznie wiele, ale z czasem, kiedy się zestarzejesz i lekarzy się tu namnoży...

— Och! Jaka moja Marylka jest poważna osoba — rzekł, przedrwiwając, zawsze zakochany w swojéj żonie.

— No, powiedz, co wtedy będzie?

— Co będzie? — odrzekł w bardzo dobrym dziś humorze.—Moja Marylka, która tak lubi muzykę, nauczy się grać na harfie, ja będę śpiewał i jako wędrowni artyści będziemy chodzili po wioskach, miasteczkach.

— Z tobą nigdy nie można pomówić na seryo.

Obrażona wyszła z jego pokoju.

Dla oszczędności poodprawiała codziennych dostawców prowiantu i nagromadziła zapasy kartofli, kapusty i całe worki kaszy i mąki, wreszcie całe kosze jarzyn i owoców.

Zaczęła hodować kury, kaczki, indyki. Lecz Janowa nie bardzo przesadziła w swojém porównaniu o kurze i o pieprzu. Nie pomagały nic łzy, które, jak każda blondynka, łatwo wylewała. Indyki jéj zdychały, kapusta i kartofle w piwnicy gniły, a kasza, choć ją naparstkami, jak jéj matka, za każdym razem wymierzała—nikła bardzo prędko; zdaje się, że ją okradano. Wyprawiała też ciągłe sceny kucharkom, odprawiała je, brała inne. I przychodziła z płaczem do męża ze swoją zwykłą skargę:

— Ach! mój Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa!

I opowiadała mu ze wszelkiemi szczegółami, co jéj Maryanna powiedziała i co ona jéj na to odpowiedziała i co pokojówka Petronela jéj wtrąciła (pani Maniuta nie gromiła lakonicznie służby, tylko się z nią kłóciła). Służba nie miała też dla niéj wielkiego szacunku i pomimo jéj krzykliwości—wcale jéj się nie bała. Swoją drogą ją lubili. W godzinę po kłótni pani Maniuta jaknajniespodziewaniéj robiła służbie podarunki.

Lecz najważniejszym szczegółem gospodarskim, o którego istnieniu doktór nawet się nie domyślał, a jaki był teraz na ciągłym planie: to tak zwane duże pranie. Różniło się od małego prania tém, że drugie odbywało się w kuchni *incognito*,—kiedy pierwsze miało cały swój ceremoniał.

Pani Maniuta była zawsze cała przejęta podczas téj uroczystości. Na męża nie patrzała, zrywała się do dnia, spisywała rejestry, liczyła, do stołu prawie nie siadała. Obiad podawano wtedy przydymiony, kawy wcale doprosić się nie można było.

— Mam dziś duże pranie w domu. Gdybyś wiedział, co to za męka. Ach! Mój Boże!

— Moje dziecko — odpowiadał jéj. — Mamy trzy sługi w domu. Jeżeli to nie wystarcza, przyjmij czwartą. Wolę, niż abyś się męczyła.

— Eh! Czy wy mężczyźni znacie się na tém!

I rozciągała daléj przy pomocy służby wypraną bieliznę, którą układała do kosza. Kosze te napełniały pokoje. Trudno było pomiędzy nimi się obracać. Przytém w całém mieszkaniu czuć było wyparowaną bielizną i mydlinami. Ach! To duże pranie!

I znowuż przychodziła do niego biadać, jaka jest nieszczęśliwa. Zaginęła serwetka i dwa ręczniki. Płakała. A on bardzo lubił w takich razach klękać u jéj kolan, gładzić ręką jéj włosy, całować i uspokajać, jak małe, niesłusznie krzywdzone dziecko.

Od chwili kiedy zauważył bardzo prędko po ślubie, że jego wybrana nie wié, czy XVII-ty wiek następował po XVI-ym, czy też odwrotnie—zadecydował, nie zdając sobie sprawy — że żona nie będzie, jak sądził dawniéj, jego przyjacielem, powiernikiem, wspólnikiem dźwigania życia, lecz cackiem, umileniem dni. Nie ubolewał nad tą zmianą roli, i bawiły go te drobiazgi życia, o których dawniéj nie domyślał się, że istnieją.

Lecz pani Maniuta nietylko kuchnię miała na głowie, ale i cały dom. Zdawało się, jak gdyby lubiła więcéj samo porządkowanie, niż porządek.

To dawne porządkowanie, tak nienawidzone przez pana domu i wykonywane przez panią Janową ukradkiem podczas jego nieobecności, panoszyło się teraz jawnie w całym domu z całym swoim stukiem, hałasem i wrzeniem. Aż się szyby trzęsły od tego ciągłego przesuwania mebli, zgrzytu szczotek po posadzce i trzepania dywanów.

I zaledwie chorzy wyruszyli z gabinetu, wsuwała się tu Maniuta w starym szlafroczku cała zawalana i cuchnąca od krédy ze spirytusem, którą czyściła srebro.

— Ach! mój Boże, mój Boże!

— Cóż za nowe nieszczęście!

— A mówiłam Filomenie, aby wazonu na fortepian nie stawiała .

Wazon się stłukł. Opowiadała teraz dzieje tego stłuczenia—bez końca. Była niepocieszoną.

Lecz mąż uspokoił ją wreszcie zapewnieniem, że takiż sam wazon sprowadzi jéj z Warszawy. Na zakończenie chciał jéj ucałować rączki. Były nietylko zawalane krédą, ale czerwone, podrapane, spracowane. A ładne rączki były jego pasyą. Jako stary romantyk, lubował się

jak artysta ich miękkością, kształtem i alabastrową białością, niebieskiemi żyłkami i różowemi paznogietkami.

Teraz aż się za głowę chwycił.

— Bój się Boga, kobiéto, coś ty ze swemi ślicznemi rączkami zrobiła!

— Ja tam mam rączki teraz w głowie!

— Ale ja mam! — mówił jéj zupełnie seryo, a ona stroskana wazonem, wyjątkowo nie kontrowała. — Pojmuję, że z przywiązania dla mnie, widząc, jak ciężko pracuję, starasz się uprzyjemnić mi życie porządkiem, ładem. Lecz sam muszę najlepiéj wiedzieć, co mi po całodziennéj pracy jest potrzebném do szczęścia, prawda?

— Bezwątpienia.

— A więc potrzebna mi jest do szczęścia tylko dawna Maniuta z ładnemi rączkami, wesoła, muzykalna, któréj byłbym powolnym sługą, dla któréjbym żył, myślał i pracował. Bo pomyśl moje dziecko: jesteś doskonałą gospodynią. Wiem o tém. Ale jesteśmy w stanie wydawać kilka tysięcy rocznie. Cóż dla mnie znaczyłoby wydać kilkanaście rubli na najidealniejszą, stokroć więcéj doświadczoną, niż ty, gospodynię? Wolę, aby mi kradli mąkę i kartofle, niż aby mi zabierali żonę, psuli jéj humor, plamili jéj sukienki, niszczyli jéj rączki. Dla mnie po zmudnéj pracy naprzykład konieczną jest muzyka, która mi uspokaja nerwy, daje niesłychanie wielkie zadowolenie estetyczne, wprowadza w jakiś inny świat. Płatna gospodyni mi tego nie zrobi, ani najęta artystka. A jest mi to tak potrzebném, jak dla jednych tytoń, dla drugich haszysz — karm to racyonalny i zdrowszy od tamtych. A ty do fortepianu już od tak dawna nie zasiadłaś! Powiédz, czemuś zarzuciła muzykę?

— Eh! Muzyka jest dobrą dla panien na wydaniu.

— I jakiż cel jest téj muzyki, którą ma się późniéj porzucić?

— Bardzo prosty. Gra się narzeczonemu.

— Narzeczonym jest się przez pół roku. I na ten krótki przeciąg czasu męczyć się godzinami przez lat dziesięć?

Pani Maniuta zaczęła się śmiać.

— To wszystko, coś mi mówił o gospodyni, o haszyszu, jest tak mądre, że tego nic a nic nie zrozumiałam. Nie wiem, czegoś ty właściwie chciał odemnie? Poprostu mówiąc, powinnam była tylko umyć sobie ręce. Ale mnie się zdaje, że tobie brak czegoś, ot, tu — pokazała na czoło z dawnym swoim ładnym panieńskim grymasikiem, którego coraz rzadziéj używała i który niebawem miał niepowrotnie zginąć.

I doktór zaczął się śmiać. Dźwięczały mu w uszach wymó-

wione niedawno jego własne słowa. Rzeczywiście, miała słuszność Był bardzo rozwlekłym i nudnym ze swoim haszyszem. A żona swoim uśmieszkiem, grymasikiem i resztką dawnego dowcipu znowuż go sobie kupiła.

Lecz u pani Maniuty rodziła się nowa pasya: stosunki, przyjmowanie gości, wydawanie wieczorków.

Doktór wszak podziwiał ją ongi na balu u Łupinkowskich, jak maskowała się doskonale udając, że ją podobne towarzystwo może bawić. Stawiał ją w swojéj wyobraźni na tronie w obłokach, wydawała mu się tak inną pod względem wychowania, wykształcenia, obejścia, jak gdyby nie z Warszawy, lecz z Olimpu tu zleciała. Wszak i jego nawet sąsiedztwo tych poczciwców nie nęciło; czuł się innym i przekładał samotność nad niedobrane towarzystwo.

Tymczasem ona wcale nie maskowała się wtedy. Przeciwnie, polubiła te małomiasteczkowe kumoszki: aptekarzową, pocztmistrzową, zawiadowczynię i sędzinę, jak gdyby innych ludzi w życiu nie widziała. Zdążyła już kłócić się z nimi, płakać na nich i znowuż się godzić. Z najlepszymi Łupinkowskimi zerwała wskutek jakichś plotek pani aptekarzowéj.

— Wiész, co mówili Łupinkowscy? że złapałam cię gwałtem na tym wieczorze i że im zawdzięczam, żeś do Warszawy przyjechał.

On uszy sobie zatykał — tak go to wszytko raziło. Wreszcie pogodziła się z Łupinkowskimi. Odtąd każdéj niedzieli i święta odbywały się wieczorki, na których nikogo nie brakło: I księża zasiadający do preferansa i cała Łupińszczyzna, ciocia Nacia i obie panny, doktorstwo, aptekarzowie, zawsze piękny i dowcipny pan Marcinkowski i Karczmarski, wieczysty konkurent panien Łupinkowskich, ów pan z wyśmienitym apetytem i wszyscy, wszyscy.

I doktór, niegrający w karty, tułał się z pokoju do pokoju, robiąc jak mógł honory domu—w gruncie bardzo nieszczęśliwy.

Czasami przysiadał się do jakiéj pompatycznéj pani zawiadowczyni lub aptekarzowéj, robiącéj miny na wielkiéj kanapie. Słuchał ich opowiadania o cudach ich dzieci i o kłopotach z kucharkami. Wciągnięty w wir, zapalał się nerwowo do téj rozmowy i sam opowiadał im z ogniem o różnych małostkach i plotkach. Słuchaczki były zdziwione tą jego uprzejmością, zachwycone.

A on naraz w trakcie rozmowy miał tego wszystkiego dosyć. Jakiś niesmak go ogarniał i nie kończąc rozmowy, znudzony dźwiękiem własnych słów, tak pustych, aż mu wstyd przed samym so-

bą było — zrywał się i uciekał od tych ludzi, z którymi go nic nie łączyło. Żona czyniła mu potém wymówki.

— Nie mogłem. Ta rozmowa mi w gardle stanęła. Jakież maleńkie, wkoło kręcące się kółeczko myśli ci twoi goście posiadają, i po za tém jakaż próżnia!

— Naturalnie — odpowiadała mu pani Maniuta, teraz już mniéj płaczliwa niż dawniéj —pewna swego zdania i wymowna — naturalnie, ty byś chciał, aby wszyscy mówili tylko o Słowackim i Mickiewiczu.

Coraz więcéj wytykała mu teraz bujanie w obłokach i egzaltacyę. A on tłómaczył się:

— W czém komu przeszkadza ten mój mały zbytek? Pracuję przecież, jak wszyscy inni.

— Tak, ale widzisz na życie trzeba patrzéć trzéżwo. Znałeś stryja Franka?

— Stryj Franek i stryj Franek! To nieszczęśliwy rozbitek zmarnowany. Szeroko by o nim mówić. Lecz ja pomimo mojéj poezyi w głowie, jak ty mówisz, pracuję jak wół roboczy. Po całych dniach i nocach chodzę do moich chorych, zapisuję im ziółka, w których skuteczność nie wierzę i przynoszę pomimo poezyi w głowie pieniądze do domu, które moja pani wydaje na wszystko, bez czego według jéj zdania obyć się nie można.

— Tak, a iluż chorym sam kupujesz lekarstwa, wina i Bóg wié nie co!

— No, no. A ty czy doprawdy jesteś tak okrutną? A ile upominków ty rozdajesz służbie i różnym babom, biédnym pijaczkom, nad którémi się litujesz.

— Eh! daj mi pokój. Uważasz mię, widzę, za zbytnicę; wytłómacz mi, bez jakich to rzeczy można się obyć podług ciebie?

— Zdaje mi się, że bale wydaje się wtedy, kiedy się ma córki na wydaniu.

— Wszyscy przyjmują gości — tłómaczyła mu za każdym razem, robiąc porządki na kilka dni przed balem i po balu, przewracając dom do góry nogami, kłócąc się ze służbą i nieraz przypłacając łzami. — Wszyscy przyjmują gości. Nie można być dziwakiem. Zresztą tobie, jako lekarzowi, stosunki z ludźmi są konieczne.

— Czyż nie stokroć większém dziwactwem jest to wieczne spraszanie do siebie chmary ziéwających po kanapach, mniéj lub więcéj obcych ludzi, których się w gruncie nie bardzo lubi, których się często obmawia, a dla których kłócisz się ze służbą, opłakujesz stłuczone wazony i przemieniasz świątynię domową w jakąś resursę. Na co?

— Nic, nic. To ja jestem normalnym człowiekiem. A wy jeste-

ście dziwakami, oryginałami. — Wy wszyscy trzeźwi karyerowicze, banalni filistrzy z całą waszą ciężką walką o najidyotyczniejsze cele z waszém całém nędzném życiem. A romantyzmem jest wasza marna próżność i fałszywa ambicya, która wam paczy całe życie i czyni was męczennikami licho wié w imię jakiéj idei.

Nie mogli nigdy porozumiéć się na tym punkcie. I pani Maniuta stale twierdziła z zaciętością nie do zwalczenia.

— To są wszystko romanse, dobre w książkach, albo pomiędzy hrabiami i książętami, którzy nic innego na głowie nie mają.

Pewnego razu wybiérała się w podróż do miasta gubernialnego po nową kucharkę, ponieważ z miejscowemi rady już sobie dać nie mogła. Pociąg wyruszał ze stacyi o godzinie 6-éj rano. O godzinie 5-éj była już na nogach.

W pokojach było jeszcze zupełnie ciemno i śród bieganiny i pospiesznego pakowania swojéj podróżnéj torebki — nie spostrzegła, że i mąż jéj jest już prawie ubrany.

— Co? Zrywasz się już o téj porze? Czy masz jakiego chorego?

— Nie. Jadę odwiéźć cię na stacyę.

— Ale proszę cię, na cóż ta komedya? Może mi jeszcze bukiet na drogę ofiarujesz? To nie ma sensu Dziś wieczorem przecież wracam.

W dniu jéj imienin od samego rana zamknął się na jakiś czas w salonie. Słyszała zdaleka jakiś szmer, stąpania, suwanie krzeseł. Sądziła, że auskultuje chorego.

Wreszcie drzwi się otworzyły, mąż podał jéj ramię i wprowadził uroczyście do salonu.

Cały pokój ubrany był kwiatami, które własnoręcznie z wielkim zachodem poustawiał. W środku stał stół, a na nim—bukiety I śród wieńców i kwiatów wyglądały symetrycznie ustawione pudełka perfum, bombonierki, pudło rękawiczek, safianowe *etui* z bransoletką, sztuczka materyi na suknię i jeszcze jakieś drobiazki.

Pani Maniuta dziękowała mu za wszystko. Wydawała się jednak więcéj zaambarasowaną, niż zadowoloną; w końcu nie mogła się powstrzymać, aby mu nie powiedziéć:

— Jesteś poczciwy, wiem. Ale na co było wydawać tyle pieniędzy? Suknia jeszcze się przyda, choć ciemniejsza byłaby praktyczniejszą. Ale te kwiaty powiędną. Na co to wszystko pomiędzy mężem a żoną? Ja tam takich komedyi nie lubię.

I tak postępowała z nim zawsze, jakgdyby uwzięła się zdrapywać urok i poezyę z małżeństwa, czyniąc z męża jakiegoś sublokatora, płacącego w *chambre garnie* z góry za wszystko i nie robiła sobie z nim

wielkich ceremonii, ponieważ on wieczystego kontraktu zrywać nie może.

I nie zdając sobie dokładnie z tego sprawy, zaczął pojmować, że gdyby miał takich żon nie jednę, lecz tuzin cały — nie przestałby jeszcze czuć pustki, że będzie zawsze sam, opuszczony, niezrozumiany, szukający wiecznie tego, czego na świecie nie ma—smutno!

Pani Maniuta miała niebawem zostać matką. Nie zajmowała się już gospodarstwem, nie robiła oszczędności i nie strofowała służby. Była małomówną, zmienioną, bardzo bladą, obawiała się śmierci.

Nie mógł oderwać od niéj oczu i zdawał się ustawicznie ją pytać:

— Powiedz, chcesz, abym wyskoczył dla ciebie z 2-go piętra na bruk?

Wkoło niéj uwijała się matka, która tu na krótki czas przybyła różne baby, kumoszki.

Wszystko to—biegało na palcach.

I cały dom zmienił swój charakter. I on, który był tyle razy świadkiem podobnych przejść pacyentek — zapomniał teraz o całéj swéj medycynie, chodził teraz jak bez głowy, nad wszelki wyraz nieszczęśliwy.

W wynędzniałéj, bladéj twarzyczce pani Maniuty, widział ustawicznie ową dawną świeżość dziewczęcia. To on był jéj katem. I chodził jak błędny, nie mogąc sobie dać rady z tą myślą.

Wreszcie została matką. A on do końca życia nie zapomni krzyku, który poprzedził przyjście na świat jego syna.

Kiedy wszedł do przyćmionéj storami jéj sypialni i podano mu w poduszce maleńką poruszająca się istotkę z wilgotną główką wielkości pięści z burakową twarzyczką o bezmyślnych ślepkach — męczyła go jak zmora myśl o téj ciemnéj zagadce bytu człowieka, i mimowoli odwrócił się od swego syna, który był mu tak obcy, z którym nic go jeszcze nie łączyło. Klęknął tylko u łoża swojéj żony i, przyłożywszy głowę do jéj wybladłéj dłoni—wybuchnął rzewnym płaczem.

Nie zdawał sobie nawet sprawy z przyczyny tych łez. Był to ów mimowolny ból, jaki nas ogarnia w chwilach, kiedy się zastanawiamy nad potęgą wszechświata i nad marną rolą źdźbła, kreta, robaczka, jaką grać człowiekowi w nim każą.

— Myślałam już, że zostaniesz wdowcem — mówiła cichutkim, osłabionym głosem pani Maniuta.

— Nie mów tak. Toby było okropne!

Teraz w téj uroczystéj chwili, pani Maniuta, mężatka i matka jego dziecka — stała na téj saméj wysokości, na któréj ją ongi umieścił jako pannę, narzeczoną, kochankę. Nie szło teraz o oszczędzanie ma-

sła, nafty, lub o kłócenie się z kucharką. Teraz w ofierze miłości, ta kobiéta mogła była poświęcić życie. Zasługiwała więc nie na filisterskie przywiązanie męża, wziętego sobie, ot, tak dla karyery, lecz była godną wielkiego uczucia.

I właśnie do takich uczuć czuł się zdolnym i takiéj miłości od żony wymagał.

Pani Maniuta czuła się wreszcie już zupełnie zdrową. Teraz do dawnych zajęć przybyło jéj nowe, absorbujące jéj całe dni i noce. Tadzik, zdrowy i tęgi chłopak, miał jedną namiętność: darł się w niebogłosy przez 24 godziny na dobę bez żadnego powodu.

Zmieniano mu ustawicznie mamki, pieluszki, kąpano go w nieckach, z których woda rozlewała się po pokojach, raczono go ziółkami, bawarkami.

Pełno go było w całym domu. Trzeba było bez końca bawić go grzechotkami, nie zasypiał inaczéj, jak przy akompaniamencie śpiewu mamki, lub matki.

We wszystkich pokojach walały się jego długie, niezbyt czyste poduszki, ceratki, pieluszki. Całe mieszkanie czuć było pokarmem, rumiankiem i miętą. Słychać było bezustannie tępe uderzanie biegunów kołyski i monotonne: *lu-lu* — mamki.

W rok po jego urodzeniu przyszedł na świat Edmund, potém Czesław.

Nie robiono już tych ceremonii, co z Tadzikiem. Stara już nie przyjechała tym razem z Warszawy. Pani Maniuta nie obawiała się już śmierci. Do ostatniéj chwili robiła w domu porządki, wydawała zlecenia, jak gdyby wybierała się w niedaleką podróż, lub jak gdyby w domu miało się odbywać duże pranie.

Podczas przyjścia na świat Edmunda, a następnie Czesława—nawet ojca w domu nie było. Znajdował się u swoich chorych.

W domu było teraz pięć sług. Duże pranie odbywało się co dwa tygodnie. Co kilka godzin przyrządzało się jedzenie dla innego dziecka. Nie było dnia, aby się coś nie stłukło i aby nie było strofowań lub płaczu pani, lub jakiéj ze sług, nie mówiąc już nic o całodziennym krzyku dzieci.

Pani Maniuta wstawała teraz przed mężem i od rana do nocy była na nogach—w kuchni lub u dzieci. Miała specyalny dar utrzymywania nieporządku w domu.

Naturalnie, że śród tak różnorodnéj pracy nie miała czasu, aby myśléć o mężu, który na to zasługiwał choćby tém, że własną ciężką pracą utrzymywał to całe mrowisko.

I zamknięty na cztery spusty w swoim pokoju wybrał sobie naj-

skuteczniejsze lekarstwo na smutek i samotność — pracę w wolnych od praktyki chwilach. Zatapiał się po szyję w swoich książkach i życie jakoś mu schodziło. Z żoną łączyła go na zawsze przeszłość, wspomnienia: owa jazda saniami, ów bal u Łupinkowskich, czasy narzeczeństwa, w które włożył wszystko, co miał w duszy najlepszego, wreszcie choroba żony i pierwszy okrzyk jego pierworodnego. Teraz w mgle oddalenia ta przeszłość spotęgowała się jeszcze i czyniła jego krzykliwą, wiecznie zaniedbaną i wcale nieinteresującą żonę, zawsze czémś bardzo mu bliskiém, drugą jego połową, nierozerwalną z całém jego życiem, istotą.

Pewnego poobiedzia siedzieli sobie w saloniku. Pani Maniuta wyjątkowo była tego dnia jakoś mniéj zajęta gospodarstwem i dziećmi. Była wesołą i przyjemną. On czuł się szczęśliwy. Gwarzyli ze sobą, dowcipkowali.

Fortepian był otwarty. Pani Maniuta odegrała mu swój romans Godarda, następnie rozpoczynała z nut różne inne kawałki, które urywała w środku, bo nie pamiętała, nie umiała, nie chciało jéj się.

— Eh! To nie ładne. Wezmę tamto. Eh! I to nie ładne — mówiła, rzucając nuty po przegraniu zaledwie kilku taktów.

I ta niecierpliwość i nieudolność jéj bawiła go. Uśmiechał się i promieniał cały, jak zawsze, kiedy mógł dostrzedz w niéj resztki tego powabu, jaki go kiedyś tak podbił, a który ona, jak gdyby nie dbając o swego niewolnika, nazajutrz po ślubie zrzuciła.

Teraz gwarzyli ze sobą, siedząc blisko siebie na kanapie. Mąż trzymał ją za rączkę i, korzystając z jéj dobrego humoru, począł szperać w swoich ulubionych wspomnieniach, z któremi tak chętnie pragnąłby połączyć swoją żonę.

— Pamiętasz Maniu tę jazdę z kościoła?

— Doskonale. A pamiętasz, jak się bałam, aby nie wypaść z sanek.

— A potém ten wieczór tańcujący w Dębinkach?

— Boże, ileż wody od tego czasu upłynęło! Jak to już dawno, jak się wszystko zmieniło!

— Moja żonka była wtedy królową balu; ludziska bili się o nią.

— Eh! daj mi pokój. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr — odrzekła, jak bardzo poważna już osoba, wcale nie dumna ze zwycięstw swojéj dawno minionéj młodości.—Jednak wiész, na tym balu, jaki on tam był to był, ale ktoś mi się bardzo a bardzo podobał. Teraz kiedy wszystko się skończyło, mogę ci przecież powiedziéć.

— Naturalnie. Któż to był taki — zapytał uśmiechnięty, pewny że usłyszy coś dla siebie przyjemnego.

— Wiész, kto? No, ty naturalnie się nie liczysz, bo byłeś już wtedy prawie moim narzeczonym. Ale tak naprawdę, to mi się podobał... zgadnij, kto?

— Któż taki?

— Marcinkowski.

— Marcinkowski? — zapytał i zdawało mu się, jak gdyby nagle przed jego oczami wypadła cegiełka z jakiegoś gmachu, o którego fundamentach oddawna zaczął wątpić i gmach teraz zachwiał się, zadrżał.

— Tak, Marcinkowski — mówiła dalej zupełnie spokojnie, jak o czémś, co już przeszło, czego się nie należy ani wstydzić, ani obawiać. No, widzisz, to nie jest nic dziwnego. Naturalnie, byłam zbyt rozsądną, aby sobie nim zawracać głowę. Wiedziałam, że to nie jest człowiek stworzony na męża, że nie ma żadnéj przyszłości. Ale on może się młodéj dziewczynie bardzo podobać. Ładnie tańczy, jest przytém dowcipny, salonowy.

Słuchając jéj słów, miał teraz uczucie, jak gdyby mu ktoś wykrawał nożem po kawałku serce z piersi.

Marcinkowski dowcipny, salonowy!

— Czy jesteś zazdrosnym o niego?—zapytała, odgadując z maski jego twarzy jednę milionową cząstkę z tego, co w nim wrzało.

— Nie—odrzekł z wysiłkiem, wykrzywiając usta do uśmiechu—upewniam się, że o pana Marcinkowskiego nie byłbym nigdy zazdrosnym.

— Może nie powinnam była ci tego powiedziéć.

— Dlaczego? Przeciwnie.

— Naturalnie. To jest takie głupstwo, o jakiém mówić nie warto. No, pamiętaj—drwiła sobie z niego — ty, stary dziwaku. Bo masz taką minę, jak Otello. Ha, ha, ha! Ja teraz i romanse! Możesz być zupełnie spokojny. Mnie już nie romanse w głowie, szczególniéj obecnie, kiedy ma się taką kucharkę, jak Maryanna i tak młodszę, jak Petronela. Zresztą i on-by teraz na mnie nie spojrzał. Zeszczuplałam, zmizerniałam, zbrzydłam. To wszystko przez tę Maryannę. Nie masz pojęcia, jakie to jest ziółko. Ale prawda, muszę iść do kuchni.

Wyszła z pokoju. A jemu świdrowały głowę wciąż w kółko wyrazy: dowcipny, salonowy, może się podobać. I mówiła to zupełnie na seryo. Taki Marcinkowski podobał się jéj tak, jak podobał się pani Julii, jakotéż wszystkim dzierżawczyniom, bufetowym i dziewkom folwarcznym.

A więc ona takaż sama.

A on stawiał ją na takim piedestale! Wszak czuł się jéj niegodnym, ledwie zbliżyć się ośmielił!

Nie zazdrość przemawia przez niego. Bo wszak nie może być zazdrosnym o Marcinkowskiego, o pana, który z zasady kuryerka nie czyta! A jemu się zdawało, że ona, królowa balu, z litości wtedy do niego przemawiała.

Lecz kobiétę i wogóle człowieka poznaje się po jego gustach. Uczucie, które nim teraz miota, jest gorsze, niż zazdrość—to zawód, pomyłka. Ona nietylko że się zmieniła, lecz przenigdy nie była taką, jaką sobie wyobrażał.

On kochał inną — nie tę, któréj mógł się podobać Marcinkowski. A więc ta jedyna nić, jaka go z nią wiązała — wspomnienia — także zerwane!

Zakrył sobie twarz rękami i wybuchnął z trudem powstrzymywanym, cichutkim, nerwowym płaczem, jak małe dziecko.

Gmach, w którym ufundował całe swoje życie, gmach, z którego podstaw wydobywano jedną cegiełkę za drugą i który przed chwilą zachwiał się i zadrżał — runął teraz mu w całéj swojéj dawnéj minionéj wielkości przed nogami.

(D. c. n.) *Alfred Konar.*



Dwadzieścia pięć lat walki parlamentarnéj

O PRAWA KOBIÉTY.

W wieku, w którym szybkość stała się nieodzownym przymiotem wszelkich spraw życiowych, gdzie wojny rozgrywają się w ciągu tygodni, podróże naokoło świata liczą na dni a przeniesienie myśli i głosu na minuty i sekundy, w wieku tym każdy rok przynosi pierwiastki nowych form, każdy dziesiątek lat wybitną już zmianę w życiu społecznêm narodów. W tym wyścigu do nieznanéj i niewidzialnéj mety, jedni biegną prędzéj niebaczni na niebezpieczeństwa, inni obciążeni balastem przeszłości zdążają, rozważnie, mierząc okiem przebytą odległość, obliczając straty i korzyści. Na czele jednych i drugich postępują narody, które na sztandarze swym wypisały hasło: *Time is money*.

Amerykańska pochopność do reform przyczyniła się w znacznéj części do wywołania w Europie nowych prądów rozwoju społecznego i nowych zdobyczy na polu wiedzy i przemysłu. Ale gwałtowny ten, chaotyczny pochód w przyszłość sprawił zarazem, iż przywykliśmy uważać inowacye amerykańskie za karkołomne próby, w których właściwy ludowi temu humbug albo reklama główną odgrywają rolę. Reforma przyjęta i uznana w Ameryce nie zyskuje jeszcze faktem tym powagi w Europie, bo może się okazać urządzeniem chwilowém, łatwém do wytłómaczenia u tak ryzykownego i eksperymentującego społeczeństwa, ale nie racyonalném dla starego świata.

Inaczej rzecz się ma z Anglią. Tu postęp jest niedostrzegalnie prawie powolny, ale nieustający. Nowa teorya długo kołatać musi,

zanim uchylone jéj zostaną wrota społecznego postępu. Z chwilą jednak, gdy prąd nowy, mocą powolnej a systematycznéj walki, wcieli się w organizm narodowy, pozyskuje on warunki życia i tylko naturalna śmierć koniec mu położyć może.

To też gdy chodzi o zbadanie, o ile dana idea posiada odporność potrzebną do normalnego rozwoju i trwałej egzystencyi, nie gdzieindziej jak w Anglii początkom jej przyjrzéć się należy.

Dwadzieścia pięć lat ubiegło od chwili, którą uważać musimy za datę narodzin kwestyi kobiecéj w Anglii. Dnia 7 maja 1867 r. wniósł po raz pierwszy do parlamentu John Stuart Mill, głośny autor dzieła: „O poddaństwie kobiet“, projekt przyznania kobietom prawa wyborczego. Od téj pory rozpoczyna się uporczywa walka, która po ćwierćwiekowéj pracy, ostateczném zwycięstwém poszczycić się jeszcze nie może. A jednak nie bez dumy patrzą kobiety angielskie na ubiegły okres czasu i z uśmiechem zadowolenia porównywają chwilę obecną z przeszłością. Jakąkolwiek stronę życia weźmiemy pod uwagę, przedstawia ona dziś tak wielkie dla kobiet zmiany, tyle praw, tyle stanowisk zostało zdobytych, że drugiego przykładu tak szybkiéj a pokojowéj rewolucyi w stosunkach społecznych nie znajdziemy w historyi. Aby przewrotu tego dokonać, potrzeba było daleko większego nakładu sił i czasu, aniżeli w ogóle w konstytucyjném państwie do przeprowadzenia ustrojowych zmian jest przewidzianém. Gdy bowiem mężczyźni, przy usuwaniu nadużyć, mogą korzystać z przysługującego im prawa głosu, dla ujawnienia swych potrzeb i życzeń, kobiety angielskie, nie posiadając tego prawa, znajdowały się w położeniu barbarzyńskich ludów: udoskonalonej broni i umiejętnemu szykowi wojennemu mogły przeciwstawiać tylko zapał i pierwotną niećwiczoną siłę. Aby zatém stanąć na równi, trzeba było dwa te środki obrony spotęgować tysiącem poświęceń, niezmordowaną wytrwałością i niczém niezachwianą solidarnością. Pod tym względem służyć mogą Angielki za wzór godny naśladowania i dla tego też dzieje ich polityczno-społecznej odyssei tak wyjątkowy przedstawiają interes.

Książka Mill'a pojawiła się w czasie, w którym kierunek wychowania i formy towarzyskie utrzymywały kobiety angielskie w uśpieniu. Z wyjątkiem królowéj i kilku dam dworu, nie było w Anglii kobiety, którаby zajmowała jakiekolwiekbądź odpowiedzialne stanowisko choćby tylko w zakładach dobroczynnych. Pomimo, iż już w końcu przeszłego wieku podniósł się pojedyńczy głos w obronie praw kobiety, o tak zwanym ruchu kobiecym nie było mowy. Dopiéro dzieło: „O poddaństwie kobiet”, przysparzając głośnemu uczonemu popularności, roznieciło iskrę, która wkrótce miała wybuchnąć płomieniem. Mill téż

osłonił swoją powagą pierwsze, niepewne jeszcze kroki kobiet dobijających się samodzielności. Wystąpienie jego w parlamencie dnia 7 maja 1867 r., nie było zażądaniem stanowczém i formalném zrównania kobiét z mężczyznami co do praw wyborczych. Mill zaproponował tylko, aby do bilu Disraelego, określającego kwalifikacye wyborców wnieść poprawkę, mającą zmienić wyraz *man* na *person*. To jedno słówko chciał on uczynić punktém oparcia i zasadą dla wszystkich projektowanych na przyszłość reform. Ale poprawki nie przyjęto. Znamiennym jest jednakże fakt, że już wtenczas, przy całej niesłychanéj postępowości tego wniosku, znalazło się w izbie 81 członków którzy za nim głosowali. Między nimi wystąpił wtedy John Bright, najgorliwszy i przez długie lata najwierniejszy kierownik sprawy kobiecéj w parlamencie.

Odmowa w takich warunkach udzielona nie zraziła kobiét. Przeciwnie, opór ten stał się nowym bodźcem do ich zabiegów i teraz dopiéro zawrzało pośród nich gorączkowe życie. Powstałe w poprzednim roku stowarzyszenie kobiet zorganizowało się teraz na nowo, przyjmując nazwę: Londyńskiego narodowego związku głosowania kobiet *(L. N. W. Suffrage-Society)*. Wezwało ono Milla na prezesa a energiczna pani Peter Taylor stała się główną jego kierowniczką. Do tego związku garnęły się kobiety setkami a pod wpływem agitacyi i ogólnie odczuwanéj potrzeby solidarności, poczęły się szybko zawiązywać podobne towarzystwa na prowincyi. Około pięćdziesięciu miast ujrzało wkrótce kiełkujące i rozwijające się związki, które jak kółko w zegarku, zaczepiając się jedne o drugie, ogólny ruch postępowy wytworzyły.

Cel, ogarniający wszelkie formy i kierunki równouprawnienia, koncentrował się jednak w ogólném prawie głosowania. To zaś mogło być tylko rozstrzygnięte przez parlament i dlatego pierwszą kampanię zwrócono na pozyskanie posłów. Tych, którzy już zasiadali w izbach, starano się ująć prywatnemi wpływami, przy nowych zaś wyborach rozwinięto daleko sięgającą agitacyę, aby zapewnić wybór takim kandydatom, o których życzliwém dla sprawy usposobieniu istniało przekonanie. Równolegle szły zbiorowe a raczéj masowe petycye do ministrów, do izb i do rządu. Od czasu pierwszéj petycyi powierzonej Millowi w r. 1866 a podpisanéj tylko 1499 nazwiskami kobiet, środek ten był ponawiany coraz częściéj, używany i nadużywany do tego stopnia, że w ciągu r. 1874 podano nie mniéj jak 1427 petycyi, podpisanych przez 445,564 kobiét. Cyfra ta daje nam niejakie pojęcie o rozległości wpływów i o energii w przeprowadzeniu propagandy. Agitacya jednak nie mogłaby się rozwinąć bez pomocniczych środków; więc pisano artykuły w gazetach, wydawano broszury, założono specyalne pismo głosowania:

Women's Suffrage",—wreszcie urządzano meetingi. Zwyczaj angielski przygotowywania i załatwiania kwestyi publicznych na zgromadzeniach przyszedł kobietom bardzo w pomoc. Nie było dotąd przyjęte, aby kobiety występowały publicznie, ale zapał dla sprawy i chęć wyzyskania wszelkich sposobów agitatorskich, któremi mężczyźni posługiwali się oddawna, zmusiły kobiety do pokonania zwykłéj towarzyskiéj ich nieśmiałości i przemawiania z mównicy. Meetingi mnożyły się zarówno w Londynie jak w innych siedliskach ruchu i dochodziły w liczbie począwszy od 1870 r. do 250 rocznie. Oratorskie talenta promotorek téj krucyaty występowały coraz widoczniéj, pobudzane do objawienia się przykładem i wyrobione wprawą. Panie: Scatcherd, Shearer i miss Becker przewyższyły wszystkie inne zapałem i zdolnością krasomówczą.

Te różnorodne usiłowania nie mogły pozostać bez wpływu zarówno na opinię publiczną, jak na zależne od niéj losy wniosku wyborczego w parlamencie. Pierwsze zwycięstwo wywalczoném zostało już w roku 1869. Odwołano się tu do dawnego prawa, przyznającego wszystkim posiadaczom domów zdolność głosu przy wyborach municypalnych. Kobiety właścicielki domów w Anglii otrzymały zatém to prawo i postarały się natychmiast z niego skorzystać. W Szkocyi reforma ta zaprowadzoną została dopiéro w dwanaście lat późniéj. To pierwsze ustępstwo, pozwoliło kobietom znaleźć ów punkt oparcia, który im wskazywał Mill, i uczepiwszy się téj zasady mogły łatwiéj wdzierać się na niedostępne dotąd szańce. To téż ledwo minął rok a już świeże to prawo powołało do życia nowe przywileje. Wychowanie publiczne pozostaje w Anglii pod kierunkiem i nadzorem rad szkolnych, których członkowie wybierani są przez mieszkańców gminy, zapisanych na liście obywateli. Właścicielki nieruchomości, jako opłacające podatek tém samém w zasadzie posiadały prawo uczestniczenia w wyborach. Przyznano im je teraz w wyższym nawet stopniu, bo prócz zdolności dawania głosu otrzymały prawo wybieralności. Przeciwnicy ruchu poczęli podnosić zarzut, iż domaganie się nowych praw jest dziełem kilku rewolucyjnie usposobionych jednostek i że raz osiągnięte, prawa te przez same kobiety zaniedbanemi zostaną. Chcąc złożyć dowód niesłuszności tego twierdzenia, rzuciły się kobiety tłumnie do wykonywania przypadających im teraz obowiązków obywatelskich. Przy pierwszych wyborach do rad szkolnych ośm kobiet otrzymało mandaty; w parę lat podniosła się ich liczba do 80, a w r. 1890 zasiadało ich już w radach przeszło sto.

Nie mogąc na razie zdobyć głównego stanowiska t. j. ogólnego prawa głosu, związek głosowania kobiet, nadający całemu ruchowi

kierunek, postanowił na innych polach domagać się rozszerzenia praw kobiécych. Propaganda szła nieustającym pędem a w ślad za nią postępowały reformy, na pozór drobne ale modyfikujące z gruntu położenie prawne i społeczne kobiét angielskich. Przedewszystkiém zaczepiono niesprawiedliwe urządzenia, odnoszące się do rozporządzalności majątkiem. W r. 1871 przeszedł po długich rozprawach bil, mocą którego dozwoloném zostało kobiécie zamężnéj rozporządzać własnym zarobkiem, zamiast oddawać go mężowi, jak dotąd było w zwyczaju. Prawo to nieco ograniczone, wprowadzono po roku w Irlandyi, a dopiéro w siedm lat potém w Szkocyi. Jednak poza zarobkiem był jeszcze osobisty majątek kobiéty zamężnéj a dowolny z niego użytek przysługiwał tylko mężowi; i to teraz musiało uledz reformie, ale dopiéro w 1882 roku.

Dla żony, z którą mąż obchodził się okrutnie, nie było separacyi prawnéj; podniesiono tę kwestyę i wymożono dodatek do bilu o małżeństwie, którym zagwarantowaną została dla żony możność rozłączenia się z mężem, przy zapewnieniu utrzymania dla niéj i dzieci. Jeżeli jednak mąż nie bił żony, lecz tylko ją porzucił, natenczas nie było dla niéj innéj rady, jak wrazie niemożności zarobienia na swoje i dzieci utrzymanie, oddać takowe do gminnego domu przytułku, który ze swéj strony poszukiwał na zbiegłym mężu zwrotu kosztów wychowania. Środek ten, do którego się tylko wyjątkowe matki uciekały, nie zaradzał złemu. Parlament kilkakrotnie kwestyą tą niepokojony, wydał w 1886 r. prawo, mocą którego z urzędu poszukuje się zbiegłego męża i odpowiednio do jego dochodów lub zarobku, nakłada na niego przymus płacenia alimentów.

Aż do tegoż roku kobiéta zamężna nie miała żadnéj władzy nad własnemi dziećmi. Jedynie ojciec, choćby najmniéj godny, mógł rozporządzać losem dziecka, nawet po swéj śmierci; wolno mu było dziecko matce odebrać i oddać opiece innéj kobiéty. Obecnie matka jest naturalną opiekunką swego dziecka i może umiérając mianować mężczyznę lub kobiétę jako współopiekuna z ojcem.

Kwestya poszukiwania ojcostwa została również przedłożoną parlamentowi. Rozstrzygnięto ją częściowo, dozwalając matce za upoważnieniem urzędu, pociągnąć do odpowiedzialności ojca swego dziecka i wymódz na nim opłatę pięciu szylingów tygodniowo. Wprawdzie mężczyźni mają zawsze możność uchylenia się od odpowiedzialności i mało jest matek, któreby tą drogą praw swoich dochodziły. Ważném jest jednak to urządzenie, jako wyraz zasady, że ojcostwo nakłada na człowieka obowiązki, zarówno w małżeństwie jak poza niém.

Nadużycie dobréj wiary, lub wprost wyzyskiwanie nieświadomo-

ści małoletnich, stanowiło jedną z najciemniejszych stron obyczajowości angielskiéj. Skandaliczne procesy i tysiączne, nigdy wobec sądów nieujawnione wykroczenia, dały poznać konieczność ujęcia téj dziedziny w pewne granice prawne. Zaradzono temu początkowo prowizorycznie bilem o opiece nad dziewczętami do lat 13-tu a w kilka lat potém stanowczo określoném prawem *(Crim. Law. Amend. Act)* którém opieka prawna nad dziewczętami do lat 16-tu rozciągniętą została.

Policya posiadała w Anglii, odnośnie do kobiét, władzę dyskrecyonalną, która w wypadkach chorób zaraźliwych dawała ajentom zbyt wielką swobodę wkraczania w życie prywatne i naruszania spokoju i godności osób, bez należytéj odpowiedzialności. Narzekania nie ustawały, dopóki skutkiem agitacyi, kierowanéj przez panią Butler i Stuarta nie doprowadzono do rewizyi odnośnego prawa i zawieszenia go zarówno w Anglii jak w Indyach. Od téj pory, tak kobiéty jak mężczyźni przyjąć muszą w równéj mierze niebezpieczeństwa, mogące wyniknąć z dobrowolnych wykroczeń.

Jeszcze jedna ulga wniesiona została do życia kobiét przez prawo, regulujące pracę robotnic w kopalniach węgla i fabrykach. Ustanowiono niém dziesięć godzin pracy dziennie z wyłączeniem niedzieli i pół dnia w sobotę, które na zajęcia domowe i wypoczynek przeznaczono. W wielu miejscowościach ulgi te pociągnęły za sobą skrócenie dnia roboczego dla mężczyzn, w innych przeciwnie usunięcie zupełne kobiét i zastąpienie ich robotnikami męskimi. Dążenie jednak w tym kierunku, znamionuje ogólny postęp ku lepszemu, zwłaszcza wobec konieczności unormowania zarówno pracy mężczyzn do granic, odpowiadających fizycznym i duchowym potrzebom człowieka.

Tymczasem w parlamencie walka nie ustawała. Na przekór opozycyi, która okrywała śmiesznością przedstawicieli wniosków kobiécych, zyskiwala sprawa ich coraz więcéj gruntu pod nogami. Rok 1880 przyniósł w tym kierunku ważne zwycięstwo. Wyspa Man, posiadająca mimo niewielkiego obszaru i nielicznéj, bo tylko pięćdziesięciotysięcznéj ludności, własny parlament, przyjęła w tym to czasie prawo o głosowaniu kobiét dla właścicielek posiadłości, o *minimum* 4 f. szt. rocznego dochodu. Stało się to prejudykatem dla kobiét angielskich, które w kilka lat po tym fakcie, opierając się już na zadawalniających skutkach téj reformy, silniejszym atakiem do izb nowe dla siebie zdobyły terytoryum. Korzystając od lat kilku z prawa głosu w wyborach municypalnych i z wybiéralności do rad szkolnych, otrzymały teraz toż samo prawo w wyborach do rad powiatowych *(County Councils)* i zaraz przy pierwszém zastosowaniu tego przywileju wybrane zostały w jednym z okręgów Londynu dwie kobiéty: lady Sandhurst i miss

Cobden. — Niepoprzestając jeszcze na téj zdobyczy, wystosowały w rok potém (1891) właścicielki domów, majątków i dzierżawczynie, za staraniem „Dziennika Głosowania," deklaracyę téj treści:

„My niżéj podpisane, niezamężne kobiéty i wdowy, posiadając kwalifikacye, które uzdalniają mężczyzn do głosowania w wyborach na członków parlamentu, oświadczamy, iż uważamy wyłączenie nasze od tego prawa za złamanie zasady, że taksacya i reprezentacya idą w parze i dla tego wyrażamy życzenie takiéj zmiany w prawach, aby kobiéty, posiadające kwalifikacye, mogły użytkować z parlamentarnego prawa wyborczego, jeżeli sobie tego życzą.

Deklaracya nie odniosła skutku zamierzonego, jak zresztą tysiączne inne środki, które od dwudziestu pięciu lat o śpiżową bramę konstytucyi angielskiéj uderzają. Ale jakkolwiek natarczywe to stukanie prawdopodobnie nie tak prędko otworzenia się doczeka, opozycya corocznie przeliczać musi rzedniejące swe szeregi. Bil równouprawnienia kobiét, odrzucany po każdém wniesieniu, miał za sobą w r. 1871-ym 159 głosów, w następnym 163, w trzecim 172. Parę lat późniejszych wykazuje drobną obniżkę w téj cyfrze, ale już od lat dziesięciu liczba na nowo stale się podnosi. Usiłowania kobiét wspiérane są przez tych członków izb, którzy bądź z własnego przekonania, bądź téż jako przedstawiciele stronnictw, dla których pomoc kobiét uzyskać pragną, za wnioskiem głosować czują się obowiązani. Ten ostatni wzgląd nie jest małoznacznym. Propaganda we własnéj sprawie wywołała tak wielkie zainteresowanie kobiét kwestyami publicznemi, że nie było wyborów, w którychby wpływ ich nie okazał się potężnym. Przeciwne sobie partye polityczne poczęły się teraz ubiegać o współdziałanie kobiét, otwiérając im na oścież dostęp do stowarzyszeń politycznych, działając z niemi łącznie lub téż tworząc oddzielne grupy kobiéce, pod wspólnym sztandarem. Każde nowe wybory stawały się polem popisu, areną, na któréj miały się okazać zdolności polityczne i agitatorskie kobiét a widocznie musiały one wytrzymać próbę, kiedy poczęto im powierzać misye specyalne, pozyskiwania całych grup niechętnych lub chwiejnych. Tym sposobem, nie mając jeszcze prawa głosu, otrzymały kobiéty faktycznie olbrzymi wpływ na losy wyborów i tém się téż tłómaczy, dlaczego sprawa ich, broniona w izbach początkowo jedynie przez liberalnych, których zasady polityczne łatwiéj z rozszerzeniem praw kobiécych się godziły, znalazła z biegiem czasu, najliczniejszych i najlojalniejszych protektorów w obozie konserwatystów. Wydaje się to poniekąd sprzecznością, ale konserwatyści, traktując rzecz po kupiecku i uznawszy wielki pożytek kobiét przy akcyi przedwyborczéj, wywdzięczali się za oddane im usługi popiéraniem kobiécego *Suffrage-*

bilu. Że byli w regulowaniu rachunku wzajemnych usług rzetelnymi, służyć może za dowód memoryał, wystosowany do lorda Salisbury'ego (w 1886) przez konserwatywną Ligę *Primrose* z Southportu, tego brzmienia: „Mamy zaszczyt przedłożyć: Że przez wyłączenie z prawa głosowania do izb kobiét właścicielek, mających obecnie prawo uczestniczenia w wyborach lokalnych, znaczna część własności, inteligencyi i przemysłu gmin jest pozbawiona reprezentacyi w naszém prawodawstwie. Z tego powodu prosimy usilnie Waszą Miłość, aby pod opieką rządu jéj królewskiéj mości, zechciał uczynić odnośne kroki, celem ułatwienia bilowi o głosowaniu kobiét dyskusyi parlamentarnéj i udzielenia swéj protekcyi temu wnioskowi."

Wobec takich faktów jest rzeczą naturalną, iż kobiéty w związku z konserwatystami większe dla siebie widziały korzyści i z nimi téż głównie łączyć się poczęły. W chwili obecnéj liczba kobiét, należących do stowarzyszeń konserwatywnych (*primrose League)* wynosi 400,000, do liberalnych tylko 33,000.

Jak sobie teraz wytłómaczyć, że posiadając tak licznych przyjaciół i zyskując za każdém wniesieniem coraz więcéj przychylnych głosów, bil głosowania kobiét jednak stale upada? Oto opozycyai liczy w gronie swojém nadzwyczaj wpływowe jednostki (Gladstone) rozporządza wieloma środkami parlamentarnemi, które usuwają się z pod kontroli i kompetencyi masy zwolenników. Ponieważ przewidywaném jest, iż przy obecnym nastroju umysłów, reforma ta ostatecznie przejść musi, przeto działanie opozycyi koncentruje się nie przy dyskusyi nad podawanym corocznie wnioskiem, coby było ryzykownėm, lecz polega na wynajdywaniu formalności i przeszkód, dla niedopuszczenia bilu do powtórnego czytania. Po pierwszém czytaniu odsyła się zatém bil do drugiego terminu, najczęściéj w sześć miesięcy od dnia wniesienia, co się równa zupełnemu jego usunięciu, albo téż naznacza się dzień bezpośrednio przed rozpoczęciem feryi parlamentarnych, lub po jakich dłuższych świętach. Dni takie, z powodu bądź wcześniejszego rozjeżdżania się posłów, bądź opóźnienia w powrocie, wytwarzają niekorzystny stosunek liczebny i są przyczyną upadku wniosków. Środki te, wielokrotnie zastosowane, unicestwiają usiłowania życzliwych bilowi posłów, którzy téż obecnie starają się przedewszystkiém upewnić co do terminów jakie bilowi przypadną. W r. 1891 bil o głosowaniu kobiét, powierzony posłowi Woodall, z tych samych przyczyn nie doczekał się powtórnego czytania. Gdy bowiem wyznaczono mu na ten cel środę 13 maja, zażądał Gladstone, łącznie z ministrem skarbu, aby dla spraw rządowych zająć wszystkie środy aż do Zielonych Świąt. Wniosek przeszedł, a bil utracił przeznaczony dla siebie termin.

Porzucony i odepchnięty, bil jednakże nie ginie, ale jak natrętne, niczém niepokonane widziadło, pojawia się poraz dwudziesty piąty w murach parlamentu, w roku ubiegłym pod nazwą bilu Rollita. Atak miał być silniejszym od innych; przygotowywano się do niego przez kilka miesięcy, wpływając na wybory i elektryzując opinię. Wiele nadziei obudziły słowa lorda Salisbury'ego, który w mowie na obiedzie Zjednoczonego klubu powiedział: „Jest parę reform, które chciałbym osobiście rozpatrzéć, jeżeli kiedykolwiek przyjdzie do gruntownego dyskutowania prawa wyborczego. Nie będę się zatrzymywał nad jedną z nich, ponieważ nawet w tym klubie może to wywołać różnice zdań, ale czuję się w obowiązku powiedzieć zarówno dla pamięci, jak dla tego, aby mnie nie posądzono, iż zmieniam przekonanie, że jeżeli kwestya głosowania wniesiona będzie w izbach, sprawa zniesienia ograniczeń, które nakładamy dziś kobiétom, uwzględniona być musi!"

Zaraz też pojawiły się w pismach kobiécych odezwy, aby przy najbliższych wyborach popiérać kandydatów Salisbury'ego i wogóle energicznie kampanię wyborczą prowadzić. Gdy wstępne te kroki podjęte zostały, objawił poseł sir Algernon Bortwick gotowość wniesienia na nowo na pierwszą sesyę parlamentu bilu o głosowaniu kobiét, żądającego tym razem głosu wyborczego tylko dla tych kobiét, które go już posiadają w wyborach municypalnych, gminnych i szkolnych. Znaczna część członków izby gmin zgodziła się odrazu na wyznaczenie dnia na powtórne czytanie bilu, które postanowiono na dzień 27 kwietnia, oddając bil w ręce posła sir Alberta Rollita. Tekst bilu, z zachowaniem przyjętych dla aktów parlamentarnych form prawnych, brzmiał:

„Aby się stało prawem, za sprawą Jéj Królewskiéj Mości, za radą i zezwoleniem duchownych i świeckich lordów i gmin, w tym obecnym, zgromadzonym parlamencie i przez własną swoją moc, jak następuje:

1. To prawo ma być nazwane: prawo głosu wyborczego dla kobiét 1892 r.

2. Każda kobiéta, która

(i) w Wielkiéj Brytanii jest zapisana, albo ma zasadę być zapisaną jako wyborca do rad miejskich i gminnych, albo

(ii) w Irlandyi opłaca podatek i ma tytuł do głosowania w wyborach opiekunów biédnych,

będzie miała prawo być zapisaną na liście wyborców do parlamentu, a gdy już jest zapisana — prawo do głosowania we wszystkich

parlamentarnych wyborach w hrabstwie albo okręgu, gdzie jéj własność leży.

Wniesione przez sir Alberta Rollit'a i ośmiu posłów."

W oznaczony dzień odczytał poseł Rollit bil, wraz z energiczną przemową, przedstawiającą z jednéj strony kwestyę w całości, z drugiéj kładąc nacisk na różnice, zachodzące między tym bilem a poprzedniemi. Z kolei zabiérali głos inni mówcy, z których dwóch przemawiało przeciw wnioskowi, trzech za wnioskiem. Dyskusyę zakończył mówca Balfour, który kilku trafnemi rysami, wykazał niekonsekwencyę tych, którzy szukają i znajdują pomoc polityczną u kobiét a odmawiają im odpowiedzialności i zakończył oświadczeniem, że przy pierwszéj rewizyi prawa głosowania, parlament będzie miał do czynienia z problematem głosowania kobiét w rozleglejszych niż dotąd granicach.

Balotowanie wykazało 152 głosy za bilem, 175 przeciw. Przychylną mniejszość składało: 92 konserwatywnych, 18 liberalnych unionistów, 57 liberalnych gladstończyków, 12 narodowców. Wynik głosowania był niespodzianką, zarówno dla życzliwych jak przeciwnych bilowi, gdyż po nadzwyczajnych wysiłkach opozycyi, przewidywano o wiele liczniejszą większość głosów odrzucających. Ciekawém jest poznać na tym przykładzie, jakie są środki parlamentarne przygotowania przeciwnikowi upadku. Członkowie opozycyi zwrócili się najprzód do prezydującego w izbie gmin z prośbą o przedłużenie feryi wielkanocnych poza 27 kwietnia. Gdy się tenże na to żądanie nie zgodził, rozesłano do członków izby gmin następujący cyrkularz, podpisany przez dziesięciu posłów z lewicy i tyluż z prawicy: „Bil o głosowaniu kobiét. Drugie czytanie 27 kwietnia. Jesteś pan usilnie proszony o przybycie do izby gmin nie późniéj jak o godzinie 4½, ażeby przygotować opozycyę wnioskowi." Równocześnie postarał się Gladstone, za pośrednictwem pisma do prezydującego Samuela Smith, które szeroko, jako pamflet, między publicznością krążyło, zachęcać parlament do odmówienia bilowi powtórnego czytania. Odmowę swą opiérał sędziwy mąż stanu na trzech argumentach: 1) że bil wyklucza od głosu kobiéty zamężne, które on uważa za wyżéj stojące od panien i wdów, bo mają nawyknienie czynności odpowiedzialnych; 2) że byłaby to reforma, wymagająca do wprowadzenia w życie pełnego uznania i jaknajbardziéj rozważnego zezwolenia narodu, a tymczasem takiego uznania nawet w przybliżeniu nie ma; 3) że kompetencya w głosowaniu pociągałaby za sobą kompetencyę do zasiadania w parlamencie, przez ten bil albo następny.

List ten, niezależnie od skutku jaki mógł osiągnąć, wywołał silne

oburzenie między kobiétami partyi liberalnéj i skłonił stowarzyszenie liberalnéj Federacyi, zajmującéj się polityką zdala zupełnie od sprawy kobiecéj, do zamieszczenia kwestyi téj w programie swoich działań. Za przykładem Federacyi poszło najbardziéj rozgałęzione ze wszystkich stowarzyszeń: Brytyjski kobiécy związek wstrzemięźliwości, zachowujący do téj pory, co do emancypacyi, postawę neutralną. Za radą prezesa postanowił teraz Związek utworzyć specyalny oddział do popiérania głosowania kobiét. O ile więc list Gladstona mógł wzmocnić na razie opozycyę, o tyle przyczynił się pośrednio do spotęgowania sił kobiécych i powołania na plac boju zastępów, które o walce wcale nie myślały. Publiczność zaintrygowana zagadnieniem, psującém tyle krwi mężom stanu, znalazła wkrótce możność objawienia swojego na ten punkt zapatrywania. Wydawca pisma „*Gentlewoman*" wpadł bowiem na szczęśliwy pomysł zachęcenia swych czytelników, do wzięcia prywatnie udziału w głosowaniu. Przez parę tygodni napływały do redakcyi głosy, które po obliczeniu dały cyfrę 8,301 za bilem, 1,158 przeciw bilowi.

Kiedy opozycya święciła to iście Pyrrhusowe zwycięstwo, kobiéty już na nowo brały się do pracy a że zachody ich nie były bezowocnemi, dowodem świéża, bo tegoroczna wygrana, o któréj doniósł nam niedawno następujący telegram londyński 17 listopada. Izba gmin uchwaliła 147 głosami przeciw 126, przyznanie w zasadzie kobiétom prawa wyborczego do rad okręgowych i kościelnych.

Po tym fakcie, pozostaje już nie wiele do zrobienia a ostateczne równouprawnienie kobiét angielskich, na polu koncesyi politycznych, dojdzie do skutku już nie staraniem jednostek albo partyi — ale mocą własnego ciążenia, jako konsekwentne i logiczne rozwinięcie raz wprowadzonéj zasady.

Jeżeli teraz rzucimy okiem wstecz, na ten dwudziestopięcioletni okres, którego pojedyńcze momenty w zakresie poruszonéj tu kwestyi staraliśmy się przedstawić, zrozumiemy, dlaczego Angielki o walkach tych wspominają z dumą i ze spokojem w przyszłość patrzą. Nietylko ten jeden odłam życia narodowego nosi ślady ich mrówczéj, niezmordowanéj pracy; utorowały one dla postępu drogi zarówno w wychowaniu, w stosunkach ekonomicznych i w dziedzinie filantropii. Swoboda sumienia, równość praw i obowiązków i jaknajszerzéj pojęta humanitarna etyka, oto hasła, pod których wezwaniem podjęły kobiéty angielskie działalność o tyle wszechstronną w kierunkach i środkach o ile płodną w rezultaty. Przeprowadzając krok za krokiem nowe ukształtowanie się form prawnych i nowe dla kobiét podstawy bytu ekonomicznego, zdołały one zarazem narzucić ogółowi odmienne poję-

cia o społecznéj wartości kobiéty jako jednostki, — stworzyły nowy ideał kobiéty tegoczesnéj. W sprawozdaniu, przedstawioném na kongresie paryskim 1890 r., podaje Miss Balgarnie niektóre rysy kobiéty dzisiejszéj.

„Teorya, która podnosiła kobietę do sfery aniołów, rzucając ją równocześnie pod nogi mężczyźnie, ustępuje dziś miejsca pojęciu zdrowszemu i racyonalniejszemu, że mężczyzna i kobiéta są równi we wspólném człowieczeństwie. Ideał, przyświecający wszystkim kobiétom a osiągnięty już przez znaczną ilość, polega na stałym od kolebki rozwoju sił fizycznych, umysłowych i moralnych. Dzisiejsze dziewczę angielskie nie wstydzi się jeść i miéć dobry apetyt; — wyższa szkoła publiczna zastąpiła prawie wszędzie prywatną nauczycielkę; — gra w *lawntennis*, wioślarstwo i welocyped wyparły sztywną poobiednią przechadzkę i niedołężną grę w krokieta. Rzeki nasze ożywiły się teraz widokiem młodych wioślarek, a trawniki przeznaczone do gry w *tennis* roją się od młodych dziewcząt ochoczo i zwinnie dzielących zabawy braci i towarzyszów. Kobiéta dzisiejsza ma swoje wady, widoczniejsze może niż dawniéj, ale będące wynikiem indywidualności która się w niéj z każdym dniem więcéj zaznacza. Dawna Galatea przestała być gliną modelowaną przez różne ręce — jest ona dziś kobiétą rzeczywistą i żywą, jednostką odrębną od innych bo indywidualną i samodzielną.”

W spisie ludności z r. 1831 jeszcze żadne zajęcie, z wyjątkiem służby domowéj, nie było wymienioném, jako należące wyłącznie do kobiét; spis z r. 1881 wykazuje 330 zajęć specyalnie przez kobiéty uprawianych. Kobiéta, nie mająca żadnego stałego zatrudnienia, jest dziś w Anglii wyjątkiem. Biédne pracują dla zarobku, bogate łączą się w kluby, stowarzyszenia filantropijne lub polityczne. Jak rozległą jest działalność tych ostatnich, mieliśmy sposobność się przekonać.

Czciciele tradycyi nie pochwalają tego ruchu i pragnęliby dla kobiét powrotu do zacisza domowego. Ale opiérając się nowemu porządkowi rzeczy, stają wobec problematu: co zrobić z owym milionem kobiét, który stanowi dziś w Anglii przewyżkę ludności żeńskiéj nad męzką? Gdzie znaleźć dla tych nadetatowych członków narodu domowe ognisko, którego im los rozniecić nie pozwolił?

Dawne społeczeństwa były na tyle bogate, czy na tyle dobroczynne, iż przyjmowały ciężar utrzymywania całych zastępów pasorzytów: rezydentek, dworaków, błaznów, pieczeniarzy, którzy nie mając żadnéj własności i nie pracując, żyli dostatnio, kosztem jednostek lub narodu. Dzisiejsza etyka społeczna innym hołduje zasadom. Nakłada ona na grupę obowiązek przyjęcia na swe barki opuszczonych, małoletnich,

bezdomne kaleki i starców — ale od młodych i zdrowych żąda pracy. Żąda jéj cały ustrój społeczny, który dla biédnego, a bezczynnego nie ma dziś pomieszczenia. Odczuwają to kobiéty; pchane naprzód z nieprzepartą siłą przez popęd samozachowawczy a wstrzymywane przez tradycyę, formy i przesądy, cóż dziwnego, że łamią to, co kruche, bo czasowe i zmienne a idą za têm co odwieczne? Jeżeliśmy w nauce przyjęli prawo przyczynowości, jeśli nawet w zakresie zjawisk moralnych wierzymy w ścisłą prawidłowość, to objawy ruchów społecznych, jakim podlegają obecne czasy, nie będą nas dziwić ani oburzać. Wszelka namiętność staje się śmieszną, gdy się ma do czynienia z czémś tak wysoko, ponad ludzkie sądy, sympatye i czyny wzniesionêm, jak prawo rozwoju dziejowego.

Dr. Stefania Wolicka.



Percy Bysshe Shelley.

MIMOZA

P. Stefanii Kossowskiéj
przekład ten ośmielam się poświęcić.

Część pierwsza.

Samotna Mimoza wzrastała w ogrodzie;
Wiatr karmił ją rosą srebrzystą; o wschodzie
Ku słońcu swe liście zwracała z tęsknotą
I znów je tuliła pod nocy pieszczotą.

A wiosna dokoła się budzi i w świeżéj
Swéj krasie, jak geniusz miłości, czar szerzy...
Kwiat każdy i trawka na ziemi téj łonie
Z gnuśnego snu zimy podnosi swe skronie.

W ogrodzie, na polu, w pustkowiu się wznoszą,
Lecz żadne podobną nie płonie rozkoszą...
Jak łania pieszczoty w południe łaknąca,
Samotna Mimoza w promieniach drży słońca.

Pierwiosnek, fijołek trysnęły z pod ziemi
Z oczkami od deszczu ciepłego mokremi...
Ich zapach był z wonią murawy złączony,
Jak łączą się pieśni i muzyki tony.

A potém sasanka rozwarła pstre oczy,
Tulipan wyniosły i narcyz uroczy,
Co póty swą krasę odbitą w potoku,
Podziwia—aż zginie z własnego uroku.

A potém konwalia—ta leśna najada...
Tak piękna z młodości, a z żądzy tak blada,
Że każdy bielutki i drżący jéj dzwonek
Przeglądał wskroś zieleń łagodną osłonek.

A potém hyacynt błękitny i biały
I lśniący purpurą... ich dzwonki dźwięczały
Melodyą tak tkliwą, tak silną, tak cudną,
Że czar jéj dla zmysłów i wonią był złudną.

Jak nimfa, co kąpać się spieszy—i róża
Płomienną pierś swoją z osłony wynurza,
Liść pęka po listku—powietrze drży, pała...
W miłości i pięknie obnaża się cała.

Podnosi i lilia bachantka płonąca
Swój kielich nalany blaskami miesiąca,
Aż gwiazda—jéj oko—na którém drży rosa,
Przestanie spoglądać w pogodne niebiosa.

I wątłe jaśminy, i kwiat, co na świecie
Najsłodszą tchnie woń—tuberozy to kwiecie;
A innych najrzadszych dostarczył świat cały
I wszystkie tu w krasie młodzieńczéj wzrastały

A w tonie potoku, co dawał odbicie
I niebios i drzewin nadbrzeżnych w rozkwicie,
Zielone i złote światełko się wkradło,
Rzucając pstre plany na niebios zwierciadło.

I drżą nenufary na fali potoku,
I gwiazdki im wodne migocą przy boku,
A wody, pląsając dokoła się toczą,
Szeleszczą w swym biegu i błyszczą uroczo.

I kręte ścieżyny w mchu, w trawie w dal biegły,
Wzdłuż, wszerz przecinały ten ogród rozległy;
Z nich jedne się kąpią w słonecznych promieniach,
A inne w szpaleru ukryły się cieniach.

A wszędzie po ścieżkach stokrotka się ściele
I dzwonki urocze niby asfadele
I kwiatki, co ginąc z dniem razem w ogrodzie
W namiotach z swych płatków po słońca zachodzie
Skrywają świetlika przed rosą i w chłodzie.

I niby dziecina z uśpienia ocknięta,
Co zwraca do matki z uśmiechem oczęta,
Śpiew słysząc budzący, co znów ją w uśpienie
Pogrąży—tak kwiaty w tym czystym Edenie

Gdy z pąków rozwiły je wiatru pieszczoty,
Jak lampa górnicza ukryte klejnoty
Błysnęły -- i każdy uśmiecha się z pąka
Ku niebu, w promieniach weseląc się słonka.

Gdyż wszystkie sąsiadów pięknością i wonią
Do głębi przejęte w zachwycie się płonią,
Jak dwoje kochanków, dla których jest rajem
To życie—gdy mogą dla siebie żyć wzajem.

A jednak Mimoza, choć wnętrze jéj drżało
Miłością — dać mogła zaledwie tak mało,
Lecz więcéj nad inne: miłością bez miary
Płaciła swym dawcom za skromne ich dary.

Gdyż kwieciem nie płonie Mimoza wspaniałem,
Aromat i piękno nie jej są udziałem;
Gdy kocha — to innych już pragnień nie rości;
Gdy pragnie — to tylko nieznanej piękności.

Z tajemnych skrzydełek lekkiego wietrzyka
Czarowna szelestów płynęła muzyka,
Tęczowe z gwiazd kwiecia bijące promienie
W dal niosą tysiączne kolorów odcienie.

Skrzydlate owady w słoneczném przestworzu
Bujają swobodnie, jak łodzie po morzu,
Blaskami i wonią ładowne, co płyną
Tak szybko nad lśniącą i żywą darniną.

Iskrząca się rosa chmurkami kwiat kryje,
Dopóki się słońce wysoko nie wzbije,
A wówczas w nadziemskich sfer dąży błękity,
Jak duchy—mdlejąca od woni wypitej.

Mgły pary południa pogodny blask mącą,
Jak morze nad ziemią falując gorącą,
W nich wszystkie promyki i wonie i brzmienia
Są w ruchu, jak trzcina wartkiego strumienia.

Tak wszyscy, jak duchy usłużne, przynoszą
Jej pomoc i darzą weselem, rozkoszą
W godziny dnia długie, co płyną jak chmury,
Nie gnane tchem wiatru przez niebios lazury.

A kiedy zszedł wieczór z miesięczną jasnością,
Gdy ziemia snem była — a przestwór miłością,
A tonie rozkoszy—choć zbladły—głębszemi
I kiedy zasłony opadły z snu ziemi,

Gdy ptaki, zwierzęta, owady zaklęcie
Snu — w marzeń milczącym ukryło odmęcie,
Co zawsze bez śladu odpływa i ginie
W świadomość pył drobny wrażając jedynie.

Słowicza pieśń tylko, co wtedy drży właśnie
Najrzewniéj, najsłodziéj, gdy władza dnia gaśnie,
Płynęła — i cudne melodyi jej tony
Z rojeniem się zlały Mimozy uśpionéj.

Najwcześniéj ją senne owiało marzenie,
Najrychlej na łono ją wzięło wytchnienie,
Śni luba dziecina, rozkoszą znękana
Najsłabsza, a jednak najbardziej kochana,
Kołysząc się w nocy objęciach do rana.

Część druga.

Jak Ewa Edenu ujęła w dłoń berło,
Tak Nimfa tam była królową i perłą,
Czém Bóg jest dla światów w przestrzeni krążących,
Tém była dla kwiatów zbudzonych i śpiących.

Rodzaju swojego ozdoba i dziwo
Jaśniała i ducha pięknością prawdziwą,
Co w ciągłym rozwoju wytrysnął na szczyty,
Jak tryska z fal morza kwiat na dnie rozwity.

Witały ją ranki, żegnały wieczory
W ogrodzie i każdy znał kwiat...meteory,
Jak lampy powietrzne, co w nocnéj lśnią toni,
U stóp jej płonęły i śmiały się do niej.

Z śmiertelnych nikogo miłością nie darzy,
Lecz oddech jej drżący, płomienie jej twarzy,
Gdy ranek jéj z oczu zcałuje sen — głoszą,
Że mniéj był spoczynkiem, a bardziej rozkoszą.

I niby duch jaki przeczysty i biały
W objęcia jej schodził, gdy gwiazdy wstawały
I niby się przy niej ociągał z odlotem,
Choć skryty już przed nią w spowiciu zórz złotem.

Żal czuła, gdy w trawie ślad został jej mały
I mogliście słyszeć, gdy piersi wzbierały,
Że niósł jej i przypływ i odpływ oddechu
Namiętność bez żądzy i rozkosz bez grzechu.

Gdziekolwiekbądź przeszla stopami drobnemi,
Jej włosów potoki powiewem ślad z ziemi
Ścierały jak blasków ulewa, co padla
Na ciemną wód zieleń morskiego zwierciadła.

Nie wątpię, że kwiaty w ogrodzie na echo
Jej kroków powiewnych płonęły uciechą,
Że tchnienie, co z palców różowych jej wialo,
Przenikło swym czarem istotę ich całą.

Gdy blasków słonecznych płynęło gorąco,
Zlewała je wodą potoku rzeźwiącą,
A kiedy po burzy kielichy chyliły,
Wylała z nich wodę, wracając znów siły.

Wspierała prątkami wątlejsze co giną,
Wznosiła je w górę, wiązała łoziną;
Kwiat, gdyby miał dzieci—nie byłyby one
Pod czulszą opieką i tkliwiéj pieszczone.

A wstrętne stworzenia i kwiecia zagłady
Łaknące robaki, mordercze owady
Chwytała, gdzie tylko je oczy dostrzegły,
W koszyczek i niosła w las dziki, odległy.

Lecz zanim do lasu odeszły z koszykiem
Darniną i kwieciem wysłała go dzikiem
Dla biednych wygnańców uszczknęła je świeżo
W istocie niewinnych, choć w koło zło szerzą.

A pszczoła i owad co kwiatów kielicha
Nie krzywdzi, a słońca lśni blaskiem ćma cicha—
Co kwiaty całując, z ich żyją słodyczy —
Jej orszak tworzyły królewski, dziewiczy.

I mnóstwo poczwarek, co ze snu powstaną,
Już jako motyle tajemną przemianą
Na korze cedrowej, pachnącej dokoła
Przylgniętych—w niej miało opieki anioła.

Jaśniała w ogrodzie ta piękność z za świata
Od wiosny zarania przez cały bieg lata,
A kiedy się cudna ta pora zawarła,
Wprzód zanim liść pierwszy zbrunatniał—umarła.

Część trzecia.

A kwiaty przez trzy dni w tym były ogrodzie,
Jak gwiazdy, gdy księżyc powstaje na wschodzie,
Lub jako toń Bai, nim błyszcząc wspaniale
Przez dym Wezuwiusza potoczy swe fale.

A w czwartym—śpiew tchnący rozpaczą i grozą
Pogrzebną pieśń chmurna wstrząsnęła Mimozą
I ciężkie tragarzy przelękły ją kroki
I wzruszył do głębi płacz cichy, głęboki.

I śmierci, co przeszła tuż przy niej głos głuchy
I smutny jej oddech i ciche jej ruchy
I chłodny, wilgotny, duszący dech woni,
Co z trumny przez tarcic szczeliny szła do niej.

A trawa i skryte w niej kwiatów kielichy
Błyszczały łez rosą, gdy orszak szedł cichy,
A wicher z ich westchnień żałosne brał tony
I nosił je nocą po ziemi uśpionej.

Zbrzydł ogród pod chłodu niszczącym podmuchem,
Jak ta, co królową mu była i duchem,
Tak niegdyś czarowna, tak pełna uroku
W popioły się zmienia, od których widoku
Drżą ludzie, co nigdy nie mieli łez w oku.

A lato z jesienią tak szybko się zlewa,
Zawitał mróz rankiem, pobielił szron drzewa,
Choć słońca południem błyszczące oblicze,
Szyderczo spogląda na nocy zdobycze.

Jak śnieg z karmazynu płatkami drobnemi
Róż listki się ścielą po trawie i ziemi,
Osłabła i lilia bezwładnie zwieszona
Zmalała i zżółkła, jak człowiek co kona.

I barwne rośliny indyjskie, co niosą
Woń cudną ze wszyskich karmiących się rosą,
Najbardziej urocze—jesienny wiatr miota,
Strącając im liście dzień po dniu do błota.

A liście czerwone, brunatne się kupią
I żółte i białe, białością już trupią,
Wiatr pędzi je niby upiory z cmentarza
I ptastwo ich świstem i szumem przeraża.

Wyrwały też wichry i lotne nasiona
Z ich miejsca narodzin z wstrętnego zielsk łona,
Aż kwiatu łodygę oblepią, co z niemi
Wraz padnie i razem zbutwieje śród ziemi.

Opadły z swych łodyg i kwiaty, co kwitną
Nad brzegiem potoku, toń mącąc błękitną,
A wiry je naprzód pognały przed siebie,
Jak wicher to czyni z chmurami na niebie.

A potem deszcz opadł... łodygi porwane
Na poprzek alei wikłając splótł w ścianę,
A ona chwytała w bezlistne swe siecie
W tę otchłań zniszczenia siejące woń kwiecie.

W tym czasie wichury, nim jeszcze śnieg spadnie,
Poczęły się zielska rozkrzewiać bezładnie
Najbardziej obmierzłe i pełne odrazy
O liściach plamami siejących, jak płazy.

Kąkole i osty, pokrzywa zatruta,
Szczaw koński i blekot, wilgotna cykuta,
A każda rozszerza zatrutą woń zgniłą,
Aż tchnienia powietrza zacuchną mogiłą.

I inne, co sama ich nazwa wiersz plami,
Zaległy ten ogród wstrętnemi cielskami,
Kolczaste oślizłe postaci poczwarnéj,
Bąblami pokryte, sączące sok czarny.

Narośle i grzyby rdzą żarte i pleśnią,
Jak z ziemi mgła mokra na liściach się cieśnią
Mięsiste i blade, jak gdyby w wysiłku
Dech życia je zwiększał na samym już schyłku.

A mech z nich spróchniały, szmat spadał po szmacie,
Aż w końcu stanęły łodygi w strzęp szacie,
Jak słupy hańbiące, na których zostało
Tchem wiatru miotane rozpadłe już ciało.

Szumowin pleśń, ikra i zielska nawały,
Potoku nurt niegdyś tak bystry wstrzymały
A lilii korzenie zaległy koryto
I ujście—zawadą, jak węże w kłąb zwitą.

A kiedy w powietrzu był spokój rozlany,
Wstawały zabójczych oparów tumany,
Widziano je rankiem, w południe—a w nocy
Gwiazd blaski nie mogły pokonać ich mocy.

I skry meteorów po drzewach w dzień biały
Przed okiem ukryte w ogrodzie migały,
A któréj gałęzi dotknęły w swym pędzie,
Palącym oddechem wyżarły ślad wszędzie.

Tak jakby samotną sądzono Mimozie
Pozostać—płakała, a łzy jéj na mrozie
Śród liści zmarszczonych ze sobą złączone,
Spowiły się w białą kleistą zasłonę.

Lecz przyszła i dla niéj zaguby wnet pora,
Postrącał wiatr liście jak ostrzem topora,
W korzenie też soki rosą ściekły krwawą,
Jak ścieka krew w serce, co tętni już mdławo.

Gdyż zima nadeszła z swym palcem złowrogim
Na ustach... a wichry jéj były batogiem,
A fale kaskady, z gór szczytu zerwanéj.
Szczękały u pasa jak więźnia kajdany.

A dech jéj—bez dźwięku śród ciszy mógł głuchéj
Skuć ziemię, powietrze i wodę w łańcuchy,
W królewskim rydwanie w okrutnéj wszechmocy
Przybyła na wichrach dziesięciu północy.

Wnet zielska—do trupów, co wyszły z mogiły
Podobne—przed mrozem pod ziemię się skryły,
Ich szybka ucieczka i zguba tak skora
Tém były, czém nagłe pierzchnięcie upiora.

A pod korzeniami Mimozy u spodu
Koszatki i krety zamarły już z głodu;
I ptastwo padało od mrozów podmuchu
Z gałęzi je brano skostniałe bez ruchu.

Spadł deszcz i zaınącił sen ziemi w uwięziach
I znów zlodowaciał na nagich gałęziach,
A wówczas tam rosa zmrożona się wzniosła
I z deszczu ciepłego kroplami wciąż rosła.

A wicher północny, że błąkał się blisko,
Jak świéży trup dziecka wietrzące wilczysko,
Potrząsał gałęzie, drzew łamał korony
I w strzępy targając, ostremi rwał szpony.

Gdy wiosna wróciła, gdy pierzchły w dal mrozy,
Bezlistna ruina została z Mimozy,
A szczaw, mandragora, muchomor przegniły
Jak trupy się wzniosły z rozpadłéj mogiły.

Zakończenie.

Czy sama Mimoza, czy tajna ta siła,
Co niby duch jaki w jéj wnętrzu się kryła,
Nim kształt jéj miał uledz niszczącéj przemianie,
Przeczuła ją—orzec nie jestem już w stanie...

Czy duch czarujący téj Nimfy anioła,
Choć dawno porzucił jéj kształt, co dokoła
Niósł miłość—jak gwiazdy swą jasność roznoszą,
Odnalazł to w smutku, co tchnęło rozkoszą,

Ja nie śmiem zgadywać. Lecz w życia tym znoju,
Obłędu, ciemności, walk ciągłych i boju,
Gdzie nic nie istnieje, a wszystko nas mami,
Gdzie sami jesteśmy urojeń cieniami,

Mniemanie to skromne—przyjemnie atoli
Tym, co ich myśl o niéj zatrważa i boli,
Potwierdzić, iż śmierć jest jak wszystko, co ginie
Napozór—bawidłem i złudą jedynie.

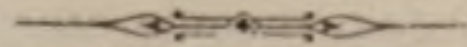
Ta Nimfa i piękno jéj tak niewymowne
I wszystkie postaci i wonie czarowne
Nie znikły w istocie w proch ziemi zmienione,
To my ulegamy przemianom—nie one.

Miłości, rozkoszy i piękna—przemiana
Niszcząca nie dotknie... śmierć nie jest im znana,
Ich blask—nasze zmysły, co same są mrokiem,
Przewyższa—więc nikną przed światła potokiem.

Przełożył z angielskiego Władysław Nawrocki.



Grecya zbankrutowała!



U schyłku ubiegłego roku Grecya oświadczyła urzędownie, że nie jest w stanie płacić nadal dotychczasowych rat procentowych od swych pożyczek: nazywając rzeczy po imieniu—zbankrutowała. Wiadomość tę przyjęto w świecie dyplomatycznym przez noty protestujące energicznie, ale po przyjacielsku, a w prasie zachodniéj, reprezentującéj interesa kapitalistów, z oburzeniem, z naigrawaniem się, z komedyą niewysłowionego zdumienia. Gdy niedawno zbankrutowała Portugalia, traktowano ją daleko łagodniéj. Hiszpania, która znajduje się na krawędzi bankructwa od lat kilku i Włochy, które pośpiesznie do téj saméj ujemnéj zdążały mety, mogą z przykładu Grecyi z góry przewidzieć los, jaki je oczekuje. Ponieważ jednak są silniejsze, prawdopodobnie świat spekulantów giełdowych okaże się dla nich, w owéj krytycznéj chwili, wyrozumialszym. Na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Biédna, wyczerpana, złupiona, okradziona Grecya traktowana jest jak parszywa owca.

Oburzenie to, prawdziwe czy udane, jest naturalnym całkiem objawem. Wiadomo powszechnie, że sędziowie przysięgli okazują się nieubłaganie surowi dla przestępstw przeciwko własności, a nadzwyczaj pobłażliwi dla zbrodni przeciwko osobom. Tak samo się dzieje i w międzynarodowych zwadach: potężnemu wiele nieraz uchodzi, ale biada państewku, które się poważy pokazać zęby zdzierającym je lichwiarzom. Broń nas Boże, ażebyśmy uważali za zasługę Grecyi niedotrzymanie swych zobowiązań finansowych i obcięcie procentu w stosunku 72%.

Jestto nieszczęście, zgoda, — ale nie jestto hańba. Jeżeli komu wstydzić się dzisiaj wypada, to agentom finansowym, zgrai kosmopolitycznéj spekulujących meklerów, co jak pijawki krew ssali z anemicznego organizmu i nie posiadają się z oburzenia, że ofiara protestować się ośmiela. I publiczność wszech-europejska nie jest także bez winy, a grzechem jéj jest nieświadomość istotnego stanu rzeczy. Zamiast przyłączać się do wyjących wilków i potępiać Grecyę za jéj bankructwo, powinna się ona dziwić jednemu tylko: — że bankructwo to przyszło teraz dopiéro i drugiemu jeszcze więcéj, że nie jest całkowite! Ale chociaż źródeł informacyi gruntownéj i szczegółowéj jest podostatkiem, ogół roztargniony, obojętny, ani chce, ani umié w nich szperać. Rezultatem opłakanym takiego stanu rzeczy jest zjawisko jak obecne: postawiona wobec wypadku, którego nie zna ani organicznych podkładów, ani okolicznościowych naleciałości, opinia waha się w sądzie, a często sądzi fałszywie.

Zdaje się nam właściwém w treściwym zarysie historycznym i ekonomicznym, przedstawić genezę tego wypadku finansowego, który, na szczęście, ani przez swą naturę, ani przez rozmiary, nie jest katastrofą. Przypominając sobie te dobrze znane fakta i grupując razem przytoczone tutaj cyfry, czytelnik, jak mniemamy, stanie nie przeciwko Grecyi, ale po jéj stronie.

I.

Ażeby ocenić znaczenie i rolę nowoczesnéj Grecyi, nie ma potrzeby przypominać dawniejszéj, starożytnéj. Dług, zaciągnięty przez świat cywilizowany u Hellady Platonów i Peryklesów, nie uległ przedawnieniu i nikt zaprzeczać go nie myśli. Zasługi ich potomków dla Europy, od chwili, gdy dzicz turecka zawładnęła najbardziéj świetlanym zakątkiem ziemi, wykazane zostały dowodnie przez historyków. Choć wyrodzeni i sami w barbarzyństwo popadli w walce z Turkiem, Grecy uosobiali w sobie żywioł dodatni. Jak się trafnie Burnouf wyraził, przez trzy pierwsze wieki jarzma tureckiego, powstawali nie dla swego wyswobodzenia, ale w imię interesów Europy, która nic o nich wiedzieć nie chciała; w ostatniém dopiéro stuleciu zaczęli myśléć o sobie samych. Europa pogodziła się była z Turkiem, gdy oni wojować z nim zapragnęli: ten brak harmonii pomiędzy ich aspiracyami a polityką Europy dotkliwie dał się im we znaki. Im bardziéj mocarstwa

zachodnie, w obawie potęgi Rosyi występującéj na międzynarodową szachownicę, usiłowały wzmocnić Turcyę, tém więcéj ich interes, ich rzekomy interes, przeciwdziałać im nakazywał wszelkim usiłowaniom Grecyi do zdobycia sobie samodzielności. I stało się, że cały szereg heroicznych porywów i krwawych tragedyi, jakie się odgrywały w ostatniéj ćwierci zeszłego i pierwszéj ćwierci naszego stulecia, nie pozyskał Grekom pomocy Europy.

Gdy czytamy pod samochwalczém piórem zachodnich publicystów dytyramby na cześć zbawczéj ręki podanéj Grekom, dziwimy się pokorze, z jaką ci ostatni przyjmują takie bezczelne fałszowanie prawdy. Urzędowo rewolucya grecka datuje się od r. 1821. Ale wszystkie krwawe epizody, co ją poprzedziły, zaprzedanie w niewolę 20,000 pelopenezczyków, walki Suliotów, intrygi Alego-baszy, azaliż Europa polityczna troszczyła się o nie, azaliż chciała o nich wiedzieć? Można śmiało powiedzieć, że podróż Chateaubriand'a, przedsięwzięta w r. 1807 po Grecyi, obudziła dopiéro drzémiące imaginacye zachodniego świata: pod żaglem romantycznéj poezyi wpłynęła sprawa Grecyi przed opinię europejską i powoli narody wymogły na rządach mniéj nieprzyjazne, mniéj obojętne dla Greków stanowisko. Poezye Wiktora Hugo, a szczególniéj płomienne śpiewy lorda Byron'a, śpiewy poparte czynem i zapieczętowane śmiercią w Misolungi, oto co Europa zachodnia może przedewszystkiém przytoczyć na swe usprawiedliwienie, gdy jéj bezczynność w sprawie oswobodzenia Greków wyrzucaną będzie. Kilku natchnionych wieszczów i orszak, co im wtórował, zdawać się to mogło niczém, a jednak z tego jądra wykluła się w następstwie interwencya Europy.

Nie potrzeba także przypominać, że ta interwencya była i spóźniona i połowiczna. Zgromadzenie narodowe w Morei ogłosiło niepodległość Grecyi już w r. 1822; rzeź w Chio unieśmiertelniona pędzlem Delacroix nosi tę samą datę. Śmierć Botzarisa, oblężenia Misolungi, zwycięstwa morskie korsarza-poety Canaris'a — oto kilka epizodów, które żyją po wsze czasy w pamięci nietylko samych Greków. Konferencya londyńska r. 1827 potwierdziła już jedynie fakt spełniony, a praktyczném jéj następstwem była nareszcie bitwa morska pod Nawarynem: wiadomo, że klęska zadana flocie tureckiéj była większą, aniżeli tego pragnęły interweniujące mocarstwa, mianowicie też Anglia. Lepiéj nie dotykać tych intryg, rywalizacyi, półśrodków, krzyżujących się planów, które dzielą bitwę pod Nawarynem od ostatnich epizodów wojny o niepodległość i od aktu 1830 r., w którym uznana była niezależność Grecyi pod opieką trzech mocarstw: Anglii, Francyi i Rossyi. Naprzód Capo d'Istria jest jéj dyktatorem, a po jego za-

mordowaniu potrzeba uorganizowania nowego państewka pod formą monarchiczną narzuca się gabinetom europejskim jako konieczność. Jeden kandydat do tronu, książę Leopold Koburski, późniejszy król belgijski, odsuwa go widząc, że Grecya taka, jaka wyszła z pod nożyczek aktu 1830 roku, nie posiada warunków życiowych. Sąd ten zdrowy i bezstronny nie otworzył bynajmniéj oczu dyplomacyi ówczesnéj i aby zbyć się z téj niepożądanéj sprawy, w r. 1832 posyła do Grecyi na króla 17-letniego niemieckiego młodzieniaszka, Bawarczyka Ottona. Oto jak się skończyła interwencya Europy na korzyść Grecyi i jak się wyraziła dana jéj pomoc.

Nie słuszniejszego, jak owo wyrażenie, że, stwarzając Grecyę, wielkie mocarstwa utworzyły tylko głowę bez ciała. Było rzeczą nieodzowną, że w następstwie ten organizm potworny, sztucznie wykoślawiony, starał się wyprostować, dopełnić się, pozyskać prawa i warunki naturalnego bytu. Owo „królestwo" o niecałym milionie mieszkańców, wycieńczone dziesięcioletnią wojną, ciężko obdłużone jeszcze przed swemi narodzinami, bez miast, bez handlu, bez przemysłu, z zaniedbaném rolnictwem, nie miało sił samo w sobie do podźwignięcia się. Powstało z idei, dla zadośćuczynienia ideałowi historycznemu, dla zaspokojenia narodowości, któréj brakowało i etnograficznych węzłów i nawet jednolitości językowéj: ale dla ucieleśnienia, dla urzeczywistnienia tego marzenia, w którém się greccy powstańcy i filheleni zachodu zespolili, potrzeba było materyalnych podstaw i nieledwie troskliwego pielęgnowania w cieplarni państwa-niemowlęcia. Tego mu brakło od pierwszéj zaraz chwili, i nie można się dziwić ogólnemu rozczarowaniu, które nastąpiło po urzędowém zakończeniu utworzenia Grecyi. Europa oczekiwała od wyzwolonych Greków, czego oni dać jéj nie mogli, Grecy z wysokości swych snów złocistych spadli do opłakanéj nędzy i nie widzieli powodu błogosławienia Europy za wyświadczone im dobrodziejstwo.

Wytwarzając maleńką Grecyę na południowym końcu półwyspu Bałkańskiego, mocarstwa opiekuńcze — wiadomo, wśród jakich zatargów, z jakiemi widokami i przy jakich rywalizacyach — nadały jéj na północy sztuczną granicę w linii wyciągniętéj od zatoki Volo do zatoki Arta. Nietylko że nie wcieliły do niéj różańca wysp Jońskich, ani wyspy Krety, etnograficznie do niéj należącéj, ale przepołowiły Tessalię i Epir. Bez tych dwóch urodzajnych i lepiéj zagospodarowanych prowincyi, rozwój ekonomiczny nowego królestwa greckiego stał się materyalnie niepodobnym. Wyrzucali Grekom nieprzyjaciele niepohamowany ich apetyt, i pojąć nie mogli, że pragnęli Krety, Tessalii, Epiru, tak jak późniéj, zapragnęli więcéj jeszcze, bo Macedonii i Tra-

cyi. Nie potrzebujemy tu wchodzić w rozbiór programatu panhelenizmu, ani rozstrzygać, czy większe lub mniejsze prawa są południowych Słowian, czy też Greków do téj ewentualnéj spuścizny. Fatalizm historyczny skazał Greków na spotkanie się na tym punkcie z narodowościami innego typu, zdążającemi także do samodzielnego ukształtowania i roszczącemi pretensye do moralnego i materyalnego poparcia jednego przynajmniéj z trzech wielkich mocarstw, które się przedtém za Grecyą ujęło. Jak spór ten rozsądzi kiedyś, w przyszłości, trybunał dziejów, nie potrzebujemy się tutaj zaprzątać. Ale prawa Grecyi do Tessalii nie ulegały i nie ulegają żadnéj wątpliwości, tak samo jak prawa co do Krety. Sprawiedliwość, jak wiadomo, wymierzoną im została i co do tych logicznych roszczeń późno i częściowo tylko. To, co tutaj utrzymujemy, jest po prostu przypomnieniem, że ekonomicznie i finansowo Grecya pozbawiona Larissy i Janiny organicznie rozwijać się nie miała możności.

Mizerny ten żywot wlokła Grecya przez dwadzieścia dziewięć lat rządów króla Ottona. Wewnątrz targały ją stronnictwa polityczne o wybujałych pretensyach, a wewnętrznéj nicości; na tronie zasiadało niemieckie książątko bez woli, energii, całkiem obojętne na losy i na rozwój kraju oddanego na pastwę hordzie niemieckich darmozjadów; rząd nic nie robił dla materyalnego podniesienia społeczności, a żył z dnia na dzień. *Après nous le déluge*, oto zdaje się było hasłem tych Niemców, co, nic przyczyniwszy się w niczém do wyzwolenia Grecyi, bezczelnie ją wyzyskiwali. Despotyczne zachcianki Ottona złamała wprawdzie rewolucya 1843 r. i wymusiła na nim konstytucyę (1844, marzec), ale rzeczy szły nie lepiéj po niéj, jak przed nią. Grecya otrzymywała policzki od Europy, a szczególniéj od Anglii, jak w słynnéj awanturze don Pacifico, brnęła w długi po pas, utrzymywała armię zbyt kosztowną, oddana była wewnątrz na pastwę bandytyzmowi, przekupstwu, prywacie. Dowcipna satyra Edmunda About napiętnowała tę epokę rozpaloném żelazem. Naród, zdemoralizowany wielowiekową niewolą, potrzebował czasu, ażeby się oczyścić i odrodzić.

Nowéj epoki godzina wybiła dopiéro w r. 1862, gdy Grecy wypędzili sromotnie Niemców i gdy w następnym roku posadzili na swym tronie szczęśliwie dotąd panującego królewicza duńskiego, Jerzego I. Jako dar na nowosiedliny zwróciła Anglia w r. 1864 Grecyi wyspy Jońskie, a wszystkie trzy mocarstwa opiekuńcze uczyniły jednocześnie pewne ofiary pieniężne, o których niżéj rzecz będzie. Nieraz jeszcze młode królestwo znajdowało się w ciężkich zapasach, jak podczas peryodycznych powstań Krety, rwącéj się w ramiona swéj wspólnéj macierzy, a którą wbrew swéj woli, przez posłuszeństwo dla traktatów,

bezlitośnie odtrącać musiała. Zbrojny pokój, na który była skazana Grecya i który ją wycieńczał, był przynajmniéj neutralizowany przez ekonomiczne postępy widoczne, dotykalne, jakie kraj czynił w ostatnich kilkunastu latach.

Jakielwiek mogły być aspiracye i żądania narodu, umiał on je, kształcąc się i dojrzéwając politycznie, trzymać zawsze na wodzy. Wrzały żywioły rozhukane, jak w głębi wulkanu, ale do wybuchu nic nie przyszło. Grecya praktycznie udowodniała swą wdzięczność wielkim mocarstwom, nie chcąc przedwcześnie im kłopotów przysporzyć. Skoro kwestya Wschodu bałkańskiego uregulowana być musi, Grecy, praw swych świadomi, mogli czekać, żując swe wędzidło, póki dla nich godzina sprawiedliwości historycznéj nie wybije.

Łatwo zrozumieć wrażenie, jakie wśród fanaryotów i pallikarów wywołała wojna 1877 roku. Gdy zwycięskie orły ruskie stanęły pod murem Konstantynopola, Grecya przewidywała dla siebie także chwilę tryumfu. Zanim armia ruska przekroczyła Dunaj, wszystko było w Grecyi do wojny gotowe i z trudnością udawało się królowi Jerzemu powstrzymać zapał narodowy. Bezwątpienia, słabe siły Grecyi nie mogły rościć pretensyi do zadania stanowczego ciosu Turcyi, ale mogły przynajmniéj odegrać tę rolę, jaką Sardynia odegrała w dawniejszéj wojnie wschodniéj, zyskując protektorów i wybawicieli. Porta Ottomańska, dławiona przez przeciwnika, któremu sprostać nie mogła, z obawą przewidywała nowe trudności, na które ją narazić miała napaść Grecyi na lądzie i na morzu. Po pomoc udała się tedy do Anglii. W imieniu jéj rządu, lord Derby dał Grecyi najsolenniejsze zapewnienia, że jeżeli pozostanie neutralną, to przy rokowaniach pokojowych i w traktacie, co wojnę zakończy, jéj losy i interesy będą uwzględnione. Wiadomo, że pragnąc oszczędzić przelewu krwi i uniknąć kosztów wojennych, któreby nowe brzemię na skarb Grecyi włożyły, rząd jéj uległ tym namowom i aż do ostatniéj chwili wstrzymywał naród od rzucenia się do boju.

Chociaż nie ulegało wątpliwości, że delegaci greccy mieli wziąć udział w obradach kongresu berlińskiego 1878 r., to rzeczy niebawem inny wzięły obrót. Lord Beaconsfield i jego *adlatus* lord Salisbury, zaczęli na pierwszych posiedzeniach kongresu tak samo gorąco ujmować się za Grekami, jak to czynił ich poprzednik, lord Derby, i żądali dla nich nich nietylko Epiru i Tessalii, ale Macedonii, Tracyi i Krety; zapał ich atoli wkrótce ostygł. Pp. Deliannis i Rhangabe, przywołani przed kongres na dziewiąte jego posiedzenie w dniu 9 czerwca 1878 r., wymownie i dokumentnie przedstawili zarówno prawa Grecyi, jak jéj potrzeby. Kongres zlecił p. Waddingtonowi, przedstawicielowi Fran-

cyi, sformułować i ująć w praktyczną propozycyę wymagania Grecyi. Jak wiadomo, pierwsza jego propozycya zabezpieczała dla niéj cały Epir i Tessalię, ale wskutek negocyacyi, których charakter jest już obecnie zupełnie wyświecony, na trzynastém posiedzeniu kongres poprzestał na wyrażeniu życzenia, ażeby Grecya porozumiała się z Turcyą co do uregulowania swéj północnéj granicy. I oto wszystko! Jest prawdą nie ulegającą najmniejszéj wątpliwości, że pełnomocnicy angielscy opuścili sprawę grecką i że otrzymali w zamian za to ustępstwo względem Porty wyspę Cypr dla siebie.

Wśród różnych niespodzianek, jakie przedstawiał kongres berliński—owo arcydzieło ks. Bismarcka, który się nazwał cynicznie uczciwym meklerem, nazwą, którą historya obedrze bezwątpienia z niezasłużonego przymiotnika „uczciwego" — największą było niespodzianką dla świata to, iż tryumfująca Rossya pozbawioną została owoców swych zwycięstw. Ale obok niéj i zaraz po niéj drugą najczarniejszą niesprawiedliwością był sposób, w jaki biédna Grecya wyprowadzona była w pole. Europa miała jedyną sposobność zmazania swych win dawniejszych i nie byłoby jéj trudno dać raz na zawsze Grecyi materyalne podstawy, bez których, jak półwieku bezsilnego szamotania się z żelazną koniecznością udowodniło, istniéć jéj niepodobna. Zamiast tego, nietylko że zamilczała o Macedonii i Tracyi, nietylko że pominęła Kretę, ale nawet Epir i Tessalię wskazała jako pożądany nabytek dla Grecyi bynajmniéj zaś nie jako konieczność. Tego rodzaju policzki, zadane sprawiedliwości, noszą same w sobie zaród rozkładu i historya surowy o nich wypowié wyrok. W saméj Anglii, przytoczyć to należy na jéj zaszczyt, znaleźli się mężowie stanu i ludzie prywatni, którzy uważali nabycie Cypru za zbyt drogo okupione.

Nie potrzeba zapewne przypominać dalszych epizodów téj sprawy: są one jeszcze zbyt świéże, ażeby się ich wspomnienie zatarło. Porta Ottomańska, uważając pobożne życzenia kongresu za platoniczne, nietylko nie miała zamiaru ich urzeczywistnić, ale jeszcze nim jego posiedzenia zostały zamknięte zaczęła grozić Grecyi: nie mogąc na silnych, chciała się przynajmniéj na słabych zemścić przeciwnikach. Ale i Turcya przerachowała się nareszcie. Za usilném naleganiem Francyi—i mimo wstrętu gabinetu angielskiego, osłaniającego i nadal Turcyę—wielkie mocarstwa zażądały od niéj, ażeby wprowadziła w czyn 24 artykuł traktatu berlińskiego i mianowała komisarzy do oznaczenia pospołu z Grecyą nowych jéj granic. Trwała kilka miesięcy owa niezapomniana komedya, gdzie Turcya oznaczała jako miejsce zjazdu komisarzy, miejscowości na żadnéj mapie się nie znajdujące i nie istniejące, ale nakoniec, wyczerpawszy wszystkie pozory

i zwątpiwszy o pomocy nadziemskiéj, zgodziła się na konferencyę w Preveza. Rok 1879 zeszedł na niczém przy złéj woli Turcyi i konferencya wielkich mocarstw zwołana do Berlina w r. 1880 miała wiele trudności nim wymusiła, że nakoniec Turcya odstąpiła Tessalię i nie cały Epir, ale jego połowę; udało się jéj zatrzymać Janinę z całym jéj okręgiem. Data 24 maja 1881 r., gdy podpisany został w Konstantynopolu akt ten dyplomatyczną nie radością ale patryotyczném oburzeniem zapisaną została w sercach Greków, którzy przeświadczyli się, że nawet najskromniejsze ich żądania nie zostały całkowicie uwzględnione i że jako jedyny rezultat wojny, w któréj Rossya zmiażdżyła ich wroga, otrzymali przestrzeń z 390,000 ludności. Miliony Greków, dążących do połączenia się z ojczyzną, znowu, wykluczone z niéj zostały.

Nie można się dziwić, że tak bolesny zawód do wysokiego stopnia rozdrażnił Greków i że postanowili przy pierwszéj zawierusze, która wstrząśnie podstawami półwyspu bałkańskiego już nie zostawać na uboczu, już nie ufać zdradzieckim obietnicom, ale czynnie wziąć się do dzieła. Wojna serbsko-bułgarska zdawała się im być korzystną chwilą do zbrojnego wystąpienia, ale zanim wyruszyli w pole, pokój został przywrócony i powiększona armia grecka znalazła się nie tylko w kolizyi z Turcyą, lecz i z energicznie wypowiedzianą wolą Europy, która im cofnąć się nakazała. *Ultimatum* 1886 roku, w którém znów Anglia rej wodziła, blokada portów greckich i nakoniec rozpaczliwy odwrót Greków, którzy nic na téj awanturze nie zarobili oprócz powiększenia swego długu o 100 milionów drachm, były ostatnim epizodem międzynarodowym walki o powiększenie granic, o zjednoczenie i pokrzepienie organizmu krajowego.

Obecnie wszyscy Grecy, do jakiegokolwiek należéć mogą stronnictwa, uznać musieli, że są skazani na chroniczną słabiznę i że Europa nie ma zamiaru nic więcéj dla nich uczynić. Być może, że nowy uragan, który wstrząśnie państwem otomańskiém, doda Kretę do jéj obszarów, natomiast z wszelką nadzieją Macedonii i Tracyi zdrowy rozsądek rozstać się jéj nakazuje. Nawet gdyby krzyż chrześciański zastąpił półksiężyc na kościele św. Zofii, zysk bezpośredni nie dostałby się stąd Grecyi. Panhellenizmowi, który rozpłomienił przed sześciu dziesiątkami lat wyobraźnie ówczesnego pokolenia, wiatr nie dmie dzisiaj, w żagle. Będzie rzeczą roztropną uważać Grecyę taką, jaka jest ukształtowana od r. 1881 i z ewentualnym chyba dodatkiem zachodniego Epiru z Janiną i wyspy Krety, za organizm ostatecznie utworzony.

Zostawiamy osobistemu zapatrywaniu czytelnika do rozsądzenia

czy Grecya ma przeto obowiązek czuć dla Europy nieograniczoną wdzięczność za wyświadczone sobie dobrodziejstwa. Dla nas ten pobieżny obraz politycznego ustroju niezależnéj Grecyi był jedynie niezbędną przedmową do wyjaśnienia jéj chronicznego ubóstwa ekonomicznego i jéj dzisiejszego bankructwa: są to nierozerwalnie skute z sobą ogniwa.

II.

Grecya jest krajem ubogim z natury, zaniedbanym przez całe pokolenia i ażeby wyjść z zastoju ekonomicznego, potrzebowałaby wielu warunków, których dotąd całkowicie albo częściowo przynajmniéj nie posiadała wcale.

Rozległość obecnéj Grecyi wynosi 1174 mil kw., a ludność podług obliczenia ostatniego w r. 1889—2,187,208, czyli że na milę kw. przypada wszystkiego około 1,860 mieszkańców. 40% tych mieszkańców poświęca się rolnictwu, 9% pasterstwu, tak, że prawie połowa ludności żyje bezpośrednio z ziemi, a stosunek ten powiększa się jeszcze o 15% po dodaniu wyrobników wiejskich. Ale ziemia ta—z wyjątkiem rozkosznych wysp Jońskich i świéżo dopiéro przyłączonéj Tessalii wraz z Epirem, które są wysoko urodzajne — jest wyjałowiona i nieuprawiona należycie. Tyle wieków niewolnictwa, cały szereg wojen, systematyczne barbarzyństwo tureckie, zrobiły z Peloponezu i Morei kraj opłakany. Trzecia część ziemi jest zajęta przez bezpłodne skały, łożyska rzek bez wody, wyschłe jeziora i trzęsawiska. Pozostałe dwie trzecie stanowią jednak wystarczającą podstawę do materyalnego utrzymania narodu. Pozbawiona środków komunikacyjnych, nie dość zamożna, ażeby sprowadzać machiny rolnicze, sztuczne nawozy, ludność rolnicza Grecyi należała przez długi czas do najbardziéj zacofanych. Chociaż w ostatnich kilkunastu latach uczynione zostały niezaprzeczone postępy, Grecya nie jest w stanie siebie wyżywić. Ma 1,000,000 akrów (podług raportu konsula angielskiego z r. 1885) uprawianych pod zboże, a podług zeszłorocznego bilansu handlowego sprowadzić musiała za 33 miliony drachm obcego zboża. Nie ma wątpliwości, że przy irygacyi, po utworzeniu środków komunikacyjnych, rolnictwo greckie byłoby w stanie bez żadnego nadzwyczajnego wysiłku potroić swoją wytwórczość zbożową. Zacofani rolnicy, uprawiający rozdrobioną własność, nie znają systemu płodozmiennego i zostawiają jedną trzecią ziemi ugorem. Przy energicznym napływie kapitału i kredytu rolniczego, przy otworzeniu zakładów agronomicznych, rolnictwo greckie, dotąd w niemowlęctwie zostające, podźwignęłoby się i wzrosło:

nie można się dziwić, że kapitał stroni od przedsięwzięć gruntowych w kraju, gdzie dotąd, między innemi, nie ma nawet jeszcze kadastru!

Lecz nie należy oskarżać mieszkańców Grecyi, iż zaniedbują całkowicie wyzyskiwania skarbów, którychby ziemia im nie poskąpiła. Południowy uroczy klimat Hellady wskazał im inne sposoby wyzyskiwania gleby: wino, tytoń, bawełna, oliwa, drzewo i minerały — oto ich główne źródła dochodowe, a każde z nich jest dopiéro w zarodzie. Niektóre z nich mogą wzrość do takich rozmiarów, iż usprawiedliwić zdolne są poniekąd mieszkańców z zaniedbania rolnictwa w ścisłém jego pojęciu. Przedewszystkiém da się to powiedzieć o hodowli wina. Zaniedbane w pierwszych dziesiątkach lat samoistnego bytu, tak, że w 1845 r. wywieziono go zaledwie 14,000,000 funtów, stanowi ono i dzisiaj główne źródło wywozu, stanowi ono i najważniejszą rubrykę budżetu. W etacie 1892 roku, gdzie całość dochodu obliczona była na 103,550,792 drachm (drachma, jak wiadomo, posiada wartość 90 centymów, ale jest powszechnie brana jako jednoznaczna z frankiem) wywóz rodzynków obliczony jest na 66,502,353 drachm. Rodzynki koryncckie, te drobne czarne winogrona suszone na słońcu, zaopatrują świat cały, Anglię zaś przedewszystkiém. Czytelnicy, którzy sobie przypominają pełen werwy i życia okres współczesnéj Grecyi Edmunda About, niezapomnieli dowcipnych wybryków, których sobie świetny publicysta z téj okazyi pozwolił: Anglia, drżąca o losy swego *plum-puddingu* w razie niedostawy rodzynków. W téj formie najlepiéj tu się dotąd opłaca hodowla wina. Chociaż bowiem niektóre wyższe jego gatunki są, jak Santorin albo Małmazya, przedziwne, greccy wieśniacy nie umieją ich hodować, a co głównie przechowywać. Nietylko, że nie mają piwnic sklepionych, ale nie mają nawet beczek i poprostu wléwają wino do skórzanych łagwi, mieszając do niego żywicę drzewną, zapobiegającą jego rozkładowi. Samo się przez się rozumié, że takie wino nie może współzawodniczyć na rynkach handlowych z innemi, w których traktowaniu chemiczne kombinacye posunięte są do najwyższego stopnia doskonałości. Ponieważ jednak liczba winnic podwaja się z każdym dziesiątkiem lat, jak świadczą wykazy statystyczne, a produkcya roczna dochodzi już 300,000,000 funtów, nie ulega wątpliwości, że Grecy nauczą się niebawem wyciągać z téj gałęzi produkcyi cały ten czysty dochód, który obecnie marnują. Ale do rozwoju téj uprawy winnic, potrzeba, jak do wszelkiéj innéj formy gospodarczéj, kapitału zakładowego i obrotowego, a jego dostarczenie stanowi największą trudność.

Hodowla drzew oliwnych jest także stosunkowo młodą, bo nie trzeba zapominać, że Turcy wytrzebiali je systematycznie, a Ibrahim-Basza wsławił się zwycięstwami odniesionemi nie tyle nad mieszkańca-

mi Grecyi, ile nad ich drzewami. W 1834 r. było w Grecyi zaledwie 2,300,000 drzew oliwnych, w 1876 r. było ich już 12 milionów, a wartość wywiezionéj oliwy oszacowana na 23 miliony drachm. W budżecie państwa za rok 1891 dochód, z wywozu oliwy dał skarbowi 8,711,689 drachm, nie licząc wywozu oliwek, który przynosi także milion drachm.

Figi, których hodowla małych wymaga zachodów, mnożą się na setki tysięcy i stanowią już w etacie skarbowym dochód blisko dwóch milionów; morwy, w braku miejscowéj hodowli jedwabników, na wielką skalę, stanowią towar wywozowy, tak samo jak cytryny, pomarańcze, marzanna, żołędzie i t. p. Na szczegółową uwagę zasługuje tytoń i bawełna. Tytoń, do którego hodowli Grecya posiada doskonałe warunki, znajduje coraz większą uprawę i w przeciągu dwudziestu lat między 1856 a 1876 produkcya wzrosła cztery razy. Do skarbu wpłynęło z wywozu 2,054,799 drachm w ostatnim roku, a nie ma wątpienia, że gdyby producenci greccy zastosowali się do wymagań obstalunków, jakie rząd belgijski, a szczególniéj francuski, okazywał chęć zrobienia u nich, źródło dochodowe powiększyło by się znacznie. Bawełna, do uprawy któréj rzucono się z zapałem podczas wojny domowéj w Stanach Zjednoczonych, obiecywała świetne widoki. Jeżeli produkcya jéj nie przybrała większych rozmiarów, to przyczyn trzeba szukać w tych samych co wyżéj powodach—w braku kapitału. Pewném jest wszakże, że ma tu Grecya pole dla swéj działalności ekonomicznéj przygotowane na przyszłość.

Pomiędzy źródłami naturalnego bogactwa możnaby wymienić lasy, ale zamiast wywozić drzewo budulcowe, dotąd Grecya zmuszona jest je sprowadzać. Gospodarstwo leśne znajduje się w stanie opłakanym. Wszystkie góry, które były dawniéj pokryte gęstemi lasami, są teraz nagie. Wpływa to nader niekorzystnie na klimat i na powiększenie suszy. Prawa co do ochrony lasów są literą martwą; nie ma ani dostatecznéj liczby dozorców i leśniczych, ani nie przedsięwzięto środków przeciwko wędrownym pasterzom, którzy za małą opłatą posiadają prawo koczowania ze swemi trzodami owiec i kóz w zagajnikach i porębach; nietylko że nowe latorośle są tępione, ale wielkie przestrzenie lasu niszczone są ciągle przez pożary przypadkowe lub umyślne.

Kopalniane bogactwo Grecyi nie ulega najmniejszéj wątpliwości i nie ma żadnéj jéj prowincyi, a szczególniéj nie ma wyspy na archipelagu jońskim, któraby w te lub owe minerały nie obfitowała. Ale właśnie w téj gałęzi wytwórczéj kapitały znaczne są niezbędne. Bez nich Grecy rady dać sobie nie mogą. Jako przykład przytoczyć można

słynne miny ołowiu w Laurion. Francusko-włoska kompania zarabiała tam miliony, a gdy ją skupili Grecy, zyski odrazu się zmniejszyły. To samo można powiedzićć o marmurach greckich, owych marmurach Parosu i Penteliku, które pod dłutem pierwszych rzeźbiarzy, jakich świat posiadał, zamieniały się w nieśmiertelne arcydzieła. Przy umiejętnéj eksploatacyi pokłady marmuru greckiego byłyby w stanie nietylko odbudować wszystkie gmachy i grody, jakich Grecya zapotrzebować może, ale usiać nimi Europę.

Nie ma potrzeby rozwodzić się nad przemysłem fabrycznym i rękodzielniczym. Piotr Moraïtimis, autor dzieła *La Grèce telle qu'elle est* (1877) obfitującego w dane statystyczne, chociaż optymista, chociaż pragnie wykazać prawdziwe i niezaprzeczone postępy, dokonane przez Grecyę od czasu istotnego jéj odrodzenia po wypędzeniu niemieckich pasorzytów, nie jest w stanie wlać w bezstronnego czytelnika przeświadczenia, że przemysł fabryczny i rękodzielniczy zakwitnął w Grecyi. W pośród 860 zakładów przemysłowych, które wymienia i z których 52 mają obracać rocznie kapitałem od pół miliona do trzech milionów drachm, wytwarzać przedmioty wartujące 146 milionów drachm i zatrudniać 24,286 robotników płci obojéj, nie ma widocznie żadnego, któryby potrafił zużytkować nawet same płody, jakie się na miejscu pod ręką znajdują. Gospodarstwo przemysłowe jest już trzeciém stadyum rozwoju ekonomicznego; jak wiemy, Grecya nie wyszła jeszcze całkiem z pierwszego, pastewnego, a drugie rolnicze, nie jest jeszcze należycie udoskonalone. Daléj, trzeba wziąć na uwagę, że Grecya nie ma należycie rozwiniętych środków komunikacyjnych. Gdy się dziwi cudzoziemiec nad brakiem dróg, przypominają mu miejscowi mieszkańcy, że zanim mógł się wziąć kraj do robót publicznych, zmuszony był odbudować jedenaście miast starożytnych i czterdzieści z górą zniszczonych przez wojnę turecką. Dodając do tego odbudowanie 600 wsi, nic dziwnego, że prace te do r. 1861 pochłonęły 350 mil. drachm. Ażeby być sprawiedliwymi dla współczesnych Greków, nie trzeba nigdy zapominać, że Europa po ich oswobodzeniu osadziła ich na ruderze. W ostatnich latach szybko wzięli się Grecy do utworzenia systemu drogowego, który obecnie już obejmuje długości 2,000 kilom. Drogi żelazne wynosiły w 1893 r. 948 kilom. w ruchu i 500 budujących się jeszcze. Przy ułatwionych komunikacyach rozwinie się niezawodnie przemysł fabryczny i obecnie już przypuścić można, że cyfry podane przez p. Moraïtimisa, mogą być podwojone bez żadnéj przesady. Ale nawet w takim razie uważać je można jedynie jako pierwszy krok na téj drodze i wyrazić życzenie, ażeby działalność ekonomiczna narodu zwróciła się w tę stronę. Wszyscy pisarze i podróżnicy jednozgodne

wyrażają zapatrywanie: Grecya posiada wszystkie warunki, nieodzowne do pomyślnéj wytwórczości rolniczéj i przemysłowéj, ale potrzebuje kapitału do wprowadzenia w ruch całego ekonomicznego swego organizmu. Zachodnia Europa posiada kapitałów szukających korzystnego umieszczenia — miliardy. Nieraz rzuca je szczodrobliwie na Wschód, ale zawsze usidlają je brzegi Bosforu. Nie udaje się im zgalwanizować tureckiego trupa, a kapitały bywają tam daleko łatwiéj pochłonięte, aniżeli zwrócone z marzonemi odsetkami. Gdyby zamiast tam, zwróciły się do Grecyi, małe to królestwo nie omieszkałoby im dać złotego runa, a cywilizacya europejska miałaby powód kampanii téj sobie powinszować.

Ażeby się upewnić, do jakich energicznych wysiłków naród grecki jest zdolny i jakie dodatnie rezultaty może wydać jego działalność, dość będzie rzucić okiem na jego handel morski. Pod tym względem są dzisiejsi Grecy spadkobiercami w prostéj linii Fenicyan i Kartagińczyków. Wszystkie warunki, jakich wymaga zawód kupiecki — przedsiębiorczość, rzutność, ryzykowność, przebiegłość, chytrość, wszystkie warunki, jakich wymaga zawód żeglarza — odwaga, energia, wytrwałość, rasa ta jednoczy w sobie. Jak za czasów Temistoklesa, czują się na gruncie ojczystym, gdy żagiel narodowy rozpinają nad swą łodzią lub statkiem. Morze okalające ich ziemię wabi ich ku sobie bez przerwy i syrenie oprzéć się nie potrafią. Opowiedzieli nam ich poeci i pisarze obrazowo, jak się niedoświadczeni brali do budowy statków, z jak skromnym ładunkiem puszczali się naprzód wzdłuż wybrzeży sąsiednich, a potém do oddalonych ognisk handlowych. I stało się, że kiedy wyludniało się wnętrze ich kraju, skrzyło się życiem i ruchem wybrzeże, a grecki żagiel stał się najczęstszym na całém morzu Śródziemném, a szczególniéj na wschodniéj jego części. Zmonopolizowali Grecy cały handel przewozowy wzdłuż wybrzeży. Liczba ich statków rośnie jak na drożdżach. W 1834 r. jest ich wszystkiego 2,754; w 1874 już 5,202, obejmujących 250,077 beczek; w 1892 marynarka handlowa grecka liczyła 1,185 okrętów żaglowych o 184,629 beczkach i 106 okrętów parowych o objętości 54,979 beczek. Do rachunku tego nie wchodzą niezliczone statki drobnych rozmiarów. Do portów greckich zawinęło w 1892 r. 6582 okrętów, z których było krajowych 2,639, a odpłynęło 2,105 i 3,377. Objętość w beczkach wynosiła z górą 5 milionów beczek. Połowa tego potężnego obrotu żeglarskiego ześrodkowuje się w Pireusie, porcie Aten.

Do skarbu państwowego wniosły komory wodne 23,328,900 drachm. Jakie bogactwa dały samym handlującym, obliczyć ściśle nie podobna. Ale gdy się przypomni, że nie ma wielkiego portowego

miasta w Europie, gdzieby nie istniała bogata kolonia grecka i domy handlowe, zamykające swe bilanse na miliony, że Odesa, Konstantynopol, Aleksandrya, tak samo jak Marsylia, Paryż i Londyn i wiele innych miejscowości, posiadają potentatów finansowych greckich, gdy sobie dalej przypomnimy, że pośród tych zbogaconych handlem morskim Greków, znalazły się całe zastępy patryotycznym duchem zagrzanych obywateli, którzy na żaden z narodowych celów, a przedewszystkiém na zakłady oświaty publicznéj szczodrych swych ofiar nie skąpili, to dojdziemy do przeświadczenia, że społeczność grecka posiada nietylko materyalne czynniki dobrobytu, ale i ducha, który przy sprzyjających okolicznościach potrafi dobrobyt ten zużytkować dla podniesienia całego poziomu narodowego.

Jeżeli w kwestyi utworzenia państwa greckiego, wyznaczenia mu granic, wielkie mocarstwa, jak to powiedziano wyżéj, zatrzymały się w pół drogi i utrudniły same sobie urzeczywistnienie całego logicznego i organicznego planu, który się im dawniéj uśmiéchał, to w dziedzinie rozwoju ekonomicznego Grecyi, zacofanego i opieszałego, nie rządy europejskie, ale społeczeństwa posadzić należy na ławie oskarżonych. Gdyby kapitaliści Zachodu po zbadaniu gruntownem zasobów *in latenti* Grecyi, pośpieszyli byli wyzyskiwać to pole, ścielące się przed nimi, byliby bez wątpienia odnieśli większe zyski, aniżeli te, na które się ułakomili w Turcyi albo południowéj Ameryce a jednocześnie byliby postawili kraj ten w położeniu ekonomicznem takiém, że o jego bankructwie nie byłoby mowy.

Pozostaje nam jeszcze wziąć pod uwagę finanse i dług państwowy Grecyi, ażeby obecne położenie całkowicie wyjaśnionem zostało.

III.

Pobieżny przegląd zasobu społecznego, jakim rozporządza Grecya, powinien wyrobić w każdym bezstronnym przekonanie, że są tam siły i czynniki zdolne do szerokiego rozwoju produkcyjnego. Biédna obecnie Grecya biédną być przestanie, gdy inny system gospodarczy zaprowadzony w niéj będzie. Organizacya państwowa, oto słaby punkt całości.

Nie mamy tu na myśli organizacyi politycznéj. Od kilku dziesiątków lat publicyści i pamfleciarze Zachodu znęcają się nad systemem parlamentaryzmu Grecyi, nad ciągłemi przesileniami ministeryalnemi, nad temi burzami w szklance wody. Jestto przedmiot do drwin tak łatwy, że dziwić się można, iż się nie naprzykrzył tym, co go upra

wiać nie przestają. Co do nas, przyznajemy, nawet nadużycia politycznéj swobody nie są w stanie nas z sympatyi do niéj wyleczyć i chociaż wiadomości o chronicznem zastępowaniu gabinetu Delianisa przez gabinet Trikupisa oddawna dziwić przestały, to wystarczy przypomniéć sobie, jak umiarkowanym okazał się naród grecki w kilku krytycznych chwilach historycznych i jak rozsądnym, ażeby mu wybaczyć jego burzliwy temperament i południową hałaśliwość. Uspokoi się i ustali, gdy życie publiczne przestanie być rozjątrzane istnieniem kwestyi, stawiających co chwila życie narodowe nad przepaścią.

Nie mamy także chęci krytykować organizacyi administracyjnéj. Wyrzucano nieraz surowo Grekom nadmiar urzędników, armii darmozjadów, przekupstwa, nadużycia, brak bezpieczeństwa — istnienie rozbójnictwa, wyzyskiwanie machiny rządowéj dla interesów prywatnych etc. Wszystko to może być prawdą, choć jest przesadzonem i chociaż wielu nowych pisarzy woli powtarzać stare wiadomości i cyfry, aniżeli zająć się zebraniem nowych, istniejącemu stanowi rzeczy odpowiadających. Nawet gdyby koszta administracyi wynosiły 10% całego dochodu państwa, kiedy w wielkich i dobrze uorganizowanych państwach, jak np. Francyi, wynoszą zaledwie połowę téj normy, to jest widoczném, że nie w tém leży źródło ruiny finansowéj, nad krawędzią któréj Grecya się znajduje rok po roku.

Ruiny téj szukają zwolennicy *status quo* politycznego w wydatkach na armią, i surowo wyrzucają Grecyi, że jak ta żaba u bajkopisarza, co nadymając się aby sprostać wołowi, pękła, chce ona także małpować wielkie mocarstwa i w ten sposób pędzi szybkim krokiem do zguby. Fakta odpowiadają jednak temu *a priori* sformułowanemu zarzutowi. W preliminarzu skarbu na rok ostatni 1893-ci, który obliczał wszystkie dochody państwa 111,761,939 drachm, obliczone są wydatki na armię na 14,582,486 drachm, czyli na 8%. Jestto wydatek znaczny, ale nie ma w nim nic nadzwyczajnego. Byłoby bezwątpienia daleko lepiéj dla Grecyi, gdyby mogła tych 14 milionów użyć dla jakich celów produkcyjnych. Nie brakowało jéj pod tym względem dobrych rad. Jedni utrzymywali, że 3,000 żandarmów wystarczyłoby do utrzymania porządku, drudzy — że zamiast trzymać armię na stopie wojennéj, byłoby lepiéj używać jéj do robót publicznych, trzeci nakoniec stawiali jéj jako wzór gwardyę narodową szwajcarską. Wszystkie te głosy nie rachują się z rzeczywistością. Grecya nietylko nie jest państwem neutralnem, ale musi być ciągle w stanie czujności, ciągle przewidywać musi starcie z Turkami, walkę za swoją niepodległość, za swoje naturalne granice. Doradzać jéj, ażeby spokojnie spoglądała na peryodyczne powstania w Krecie,

albo inne wypadki, których półwysep Bałkański bywa raz po raz teatrem, jest żądać, ażeby raz na zawsze zrzekła się połączenia z oddzieloną jeszcze od niéj bracią. Gdy Europa zgodzi się na ostateczne uregulowanie jéj granic, wydatki na utrzymanie armii stracą racyę bytu; pierwéj niepodobna ani się spodziéwać ich zmniejszenia, ani się na nie oburzać.

Opłakany stan Grecyi przypisać należy jéj długowi publicznemu. Pod jego brzemieniem upada. W ostatnim budżecie na owe 111 milionów, któremi skarb państwowy miał rozporządzać, nie mniéj jak 35,468,596 drachm, a zatém więcéj niż $^{1}/_{3}$ część pochłoniętą została przez procenta od długu publicznego. Całość jego wynosiła w okrągłych cyfrach 569 milionów w złocie i 161 mil. w papiérach, czyli że na każdego z 2,187,298 Greków, przypada taka ilość długu, o jakiéj nawet jasnego pojęcia miéć nie może.

Jak się stało, że Grecya doszła do takiéj fantastycznéj cyfry długu, zapyta się czytelnik słusznie zadziwiony. Każdy rok kończy się dla niéj niedoborem. Deficyt wypływał w początkach z absolutnych rządów króla Ottona aż do 1843 roku, potém z ohydnéj ekonomicznéj gospodarki pijawek niemieckich; raz tłómaczy je blokada portów, jak w r. 1850 za nieszczęśliwéj sprawy Pacifico, to znowu lata głodu i nieurodzaju, jak w trzech następnych. Wypędzenie Ottona kosztuje skarb narodowy 60 milionów, rewolucya Krety 70 milionów z górą, epoka ostatniéj wojny powiększyła dług znowu o 40 milionów. Każdy z tych jednorazowych i wyjątkowych wypadków może być usprawiedliwiony okolicznościami, które go wywołały i które mu towarzyszyły, ale całość nie mniéj przeto jest zatrważająca i musi zdejmować żalem, nabawiać troski każdego z istotnych przyjaciół Grecyi.

Nietrudnoby było opowiedziéć historyę owego długu państwowego, pod którego ciężarem uginała się Grecya i pod którym ostatecznie upadła. Nie trzeba zapominać, że urodziła się już obdłużoną. Zanim Europa usankcyonowała jéj samobyt, powstańcy greccy szukali pieniężnych środków do walki u kapitalistów Zachodu, i znaleźli je w Londynie w roku 1823 i 1824. Pożyczono im wtedy 2,800,000 funtów szterlingów. Ponieważ jednak otrzymali tę sumę na procent 59 i odliczono z góry dwuletnie procenta, oraz rozmaite koszta i formalności, zatém wszystkiego otrzymała Grecya z téj pożyczki 920,800 funtów szterlingów! Nie ma potrzeby wyrzucać finansistom angielskim ohydnego lichwiarstwa, bo nie należy spuszczać z uwagi, że gdyby się wojna o niepodległość była skończyła zgnieceniem powstańców przez Turków, cały ten kapitał byłby przepadł. Nieraz zresztą późniéj pożyczano Grecyi w ten sposób, na tę samą stopę. I tak z pierwszego długu, zaciągniętego w roku 1832, na zagospodarowanie się, z 60 milionów

nominalnie obciążających księgę długu publicznego, zaledwie czwarta część—15 milionów—dostała się krajowi! *Ab uno disce omnes.* Gdy się zna te fakta, nie można się wstrzymać od ironicznego uśmiechu wobec tego pobożnego wstydu, jaki manifestuje świat giełdowy na dzisiejszą ruinę Grecyi.

Jakkolwiek międzynarodowe lichwiarstwo ssało Grecyę, nie stawiała mu ona oporu i nawet gdy mogła wyprzéć się długu zaciągniętego przed swemi państwowemi narodzinami, nie uczyniła tego, lecz przeciwnie, uznała się zań odpowiedzialną. Płacił skarb grecki procenta od tego długu, a gdy się to stało już niemożliwe, proponował dobrowolny układ swemu wierzycielowi. Długo odrzucana ta propozycya przyjętą nareszcie została przez bankierów londyńskich i w lipcu 1878 roku suma tego długu, noszącego nazwę *differet debt* i wynoszącego wraz z zaległemi procentami nie mniéj jak 10 milionów funtów szt., zredukowaną została do 1,200,000 f. szt., za każdą dawną obligacyę 100 funtową otrzymali wierzyciele nową na 31 funtów. Suma 60,000 f. szt. została przeznaczoną na roczne procenta od tego zredukowanego długu i płacona była regularnie. Nie wchodzi téż ten *differed debt* do regulacyi długu państwowego Grecyi. Cała ta sprawa finansowo skandaliczna, ale nie z winy Grecyi — należy już jedynie do historyi.

Do téj saméj kategoryi należy kilkanaście długów wewnętrznych, zaciągniętych przez skarb grecki w kraju. W epoce pomiędzy 1863 a 1876 rokiem, zaciągnięto w ten sposób nie mniéj jak 67 mil. drachm długu. Niektóre z tych pożyczek, jak np. zaciągnięte w roku 1866 i 1868 zostały już całkowicie spłacone; inne, umieszczone u kapitalistów Odessy, Konstantynopola, Tryestu, etc., przynoszą przeciętnie 7% i chociaż nie bywają notowane na wielkich giełdach europejskich, przedstawiają papiér wartościowy poważny i posiadający niezachwiany kredyt. Ten dług umarzalny skarbu greckiego wynosi jednak podług ostatniego wykazu urzędowego 441 milionów drachm, co jest widocznie sumą stosunkowo zbyt wielką i potrzebującą także konsolidacyi. Ruchomy dług, w formie bonów skarbowych, wynosi oprócz tego 11 milionów drachm.

Jak słusznie powiedziano, w Grecyi, nie jednostki, nie kraj, ale państwo jest biédne, i ono to nie jest w stanie podołać rozlicznym zobowiązaniom, jakie na niém ciążą. Preliminarze skarbowe czasem kończą się świetnemi obietnicami na papiérze, ale w praktyce, nigdy bez pożyczek w ten lub inny sposób, w téj lub innéj formie się nie obchodzi. Skoro niepodobna żywić żadnych złudzeń co do nadzwyczajnego jakiego powiększenia dochodów skarbu, a tém mniéj jeszcze co

do uczynienia wielkich oszczędności w wydatkach, nie zostawałoby Grecyi nic innego do zrobienia, jak zmniejszyć ratę procentową od swych pożyczek. Operacya tego rodzaju, przedsiębrana przez państwo zamożne, albo przez instytucyę finansową posiadającą kapitały szerokie i niezachwianą pozycyę, nosi nazwę konwersyi i nie może wywołać protestacyi; ale gdy jest przedsiębrana przez kraj ubogi, wycieńczony, oświadczający, że nie jest w stanie płacić nadal rat procentowych umówionych, lecz nie otwierający jednocześnie swych kas dla spłaty kapitału, operacya taka napiętnowana jest czarną nazwą bankructwa. Łatwo zrozumiéć, że zamiast do niego się uciec, woleli greccy mężowie stanu brnąć w długi coraz nowe. Brakło im cywilnéj odwagi uznania się za niewypłacalnych.

Lecz chociaż odwlekali ten tragiczny moment jak mogli, było widocznêm dla każdego obznajmionego z finansowym rynkiem Europy, że kredyt Grecyi jest już całkowicie, ostatecznie wyczerpany i że się zbliża godzina likwidacyi. Ale jeszcze ostatni gabinet p. Delianis'a, w chwili gdy upadał, zajęty był negocyowaniem nowéj pożyczki: spotykał trudności wielkie, mimo tego w pożyczce, nie zaś bankructwie, upatrywał możność ratunku. Gdy król Jerzy rozwiązał owo ministeryum na mocy prerogatywy monarszéj, podawano powszechnie za jeden z powodów tego nieoczekiwanego kroku, wstręt króla do poddania finansów Grecyi kontroli międzynarodowéj: miłość własna, patryotyzm Hellenów, nie mógł się z tą myślą pogodzić. Obecne ministeryum z p. Trikupis'em na swojém czele, także zaczęło od negocyacyi o nową pożyczkę. Ciągnęły się one jeszcze z domem bankierskim p. Hambro & C. w Londynie, gdy ku ogólnemu zdziwieniu, na sesyi dnia 28 listopada r. z., p. Trikupis oświadczył w izbie, że Grecya niejest w stanie nadal płacić wysokich procentów dotychczasowych od swego długu i że ma zamiar zaproponować swym wierzycielom polubowną umowę.

Finansowy świat zachodni nie brał tego oświadczenia do serca i podejrzéwał w niém jedynie fortel wytrawnego polityka, który zatrważającemi wieściami urzędowemi starał się wywrzéć nacisk i przyśpieszyć rezultat rokowań prywatnie prowadzonych. Témbardziéj prawdopodobném zdawało się to przypuszczenie, że wiedziano dobrze w świecie finansowym Paryża i Londynu, iż utworzył się francuski syndykat bankierski i że jego delegat, p. Ornstein, traktował jednocześnie z p. Trikupis'em o udzielenie pożyczki Grecyi i że mimo ciężkich stawianych sobie warunków, gotowała się ona do otworzenia sobie żył na nowo. Ale po oświadczeniu 13 grudnia r. z. przekonano się, że jakiekolwiek mogły być pierwiastkowe zamiary rządu, obecnie powziął on stanowczą decyzyę. W dniu tym bowiem p. Trikupis oznajmił, że skarb grec-

ki jest w materyalnéj niemożności płacenia procentów od długów, zaciągniętych w r. 1880, 1881, 1887, 1889 i 1890. Przez wypuszczanie obligacyi tymczasowych powiększyłby tylko swój dług, odwlókł chwilę likwidacyi. Uważa tedy za daleko właściwsze oświadczyć uczciwie, iż mu brakuje środków i ofiaruje tymczasowo, dopóki się stan finansowy kraju nie poprawi, wierzycielom za kupony płatne w grudniu r. z. i w styczniu r. b. po 30% w złocie, a wyjątkowo 50% w papierach.

Zaledwie p. Trikupis złożył tę deklaracyą, a natychmiast telegraficzne agencye, będące lennikami świata giełdowego rozniosły straszną tę wiadomość po obu półkulach. Osłupiano z podziwu, z oburzenia, oczom i uszom wierzyć przestano! Napróżno chłodniejsze umysły przypominały, że to zmniejszenie rat procentowych rozciąga się jedynie do nominalnego kapitału 400 milionów, że nie jest bezwzględne, ale tymczasowe, nie rozbroiło to bankierów i agentów finansowych. Przypominali oni, że w świeżo przedłożonym preliminarzu skarbowym na rok 1894 dochody obliczone mają przewyższać rozchody o 575,000 drachm, że w tymże budżecie odliczone zostało 27,250,000 złotem na procenta od długu państwowego, że zatém rząd grecki nie ma prawa, posiadając fundusze, krzywdzić własnowolnie swych wierzycieli. Słuszniejszą o wiele była uwaga, że zamiast ogłosić *urbi et orbi* swe zamiary jako obowiązujące, rząd grecki powinien był wprzód porozumiéć się z wierzycielami i otrzymać od nich *moratorium*. Istotnie był to błąd taktyki i tak namacalny, iż się prawdopodobnie nie omylimy, przypuszczając, że był umyślny. Rząd grecki wolał od razu spalić za sobą mosty, bo przeczuwał, że po spełnionym fakcie wierzyciele okażą się mniéj nieubłagani w swych wymaganiach. Utwierdza nas w tém przypuszczeniu najnowszy krok p. Trikupis'a, list jego do sir Johna Lubbock'a, prezydującego w londyńskim syndykacie bankierskim, list, w którym oświadcza, iż decyzya przez rząd grecki powzięta nie jest ostateczną i że nie zamyka ona drogi do porozumienia się z wierzycielami.

Ponieważ jednocześnie dyplomacya francuska, niemiecka i angielska zaniosła w Atenach uroczyste protestacye w interesie swych kapitalistów, można przewidywać, że Grecya nie będzie miała dość siły, by się oprzéć koalicyi rozżartego na nią świata giełdowego, używającego wszelkich środków, ażeby mu się łup całkowicie z rąk nie wyśliznął. Bądź co bądź, chcemy wierzyć, że jeżeli nie w zupełności, to częściowo przynajmniéj, uda się skarbowi greckiemu zapowiedziane zmniejszenie raty procentowéj przeprowadzić. Inaczéj, ostateczna katastrofa nastąpić musi nieodzownie w najbliższéj przyszłości.

Niechaj nam będzie wolno zakończyć szkic ten ekonomiczno-finansowego położenia Grecyi uwagą, sięgającą daléj aniżeli ta specyal-

na kwestya. Finanse wielu drobnych państw europejskich, a nawet i większych znajdują się w stanie groźnym. Z wyjątkiem Rosyi, Francyi i Anglii, żadne zresztą państwo europejskie nie może spoglądać w przyszłość bez obawy. Jak powiedziano na początku, zmora bankructwa wisi nad kilku mocarstwami. W przewidywaniu téj ewentualności w świecie finansowym angielskim, rzuconą została myśl zasługująca na uwzględnienie i rozbiór. Jak wiadomo, istnieje tam t. zw. *Bankrupcy Court*, trybunał rozjemczy, rozpatrujący położenie materyalne upadających domów i stanowiący warunki najkorzystniejsze dla dłużnika i wierzycieli. Wiele domów zagrożonych upadkiem udaje się do tego trybunału zawczasu po rady i wskazówki. Otóż obecnie rzucono myśl ustanowienia międzynarodowego *Bankrupcy Court*, rozpatrywać mającego położenie upadających finansowo mocarstw i rozstrzygającego o warunkach, na jakich odbudowane być mogą. Jest wiele praktycznych trudności na drodze urzeczywistnienia tego planu, z góry przewidzieć to można; ale nie ma wątpliwości, że solidarność nowoczesnego świata ekonomicznego nie mogłaby znaleść skuteczniejszego środka do obrony wspólnych interesów. Nie wątpimy, że w téj lub owéj formie, myśl obecnie wejdzie w życie.

M. Płaza.



Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

Żywa i martwa protoplazma. —Rodniki aldehydowe w żywém białku. — Działanie trucizn.—Próba nowéj systematyki trucizn. — Chwiejność cząsteczki białka.—Trucizny utleniające.—Trucizny katalityczne. Trucizny działające pośrednio.—Tlenek węgla i dwutlenek węgla.—Alkaloidy.—Toksalbuminy i aleksyny. — Fizyologiczny kierunek w medycynie współczesnéj.

W rozwoju współczesnym fizyologii dopatrzéć się można kilku dominujących kierunków. Samo zjawisko życia tak jest zawiłe i z tylu odmiennych ukazuje się nam stron, że dziwić się nie można, iż sposoby badania również są różnorodne, choć wszystkie do jednego zdążają celu. Z tych licznych wszakże kierunków badania jeden w ostatnich czasach niepomiernie się rozwinął i, ująwszy niejako sam rdzeń sprawy, przynosi nauce nader cenne zdobycze.

Do niedawna jeszcze najzupełniéj obcy był dla nas sam materyalny substrat żywych komórek ciała; protoplazmę komórki, ową arenę wszelkich najelementarniejszych spraw życiowych, mało znaliśmy w jéj składzie chemicznym. Wiedziano tylko, że przeważna jéj część składa się z ciał białkowych, które licznym ulegają przeobrażeniom podczas życia, aż wreszcie zupełna następuje ich destrukcya ze śmiercią organu lub organizmu. Obecnie wszakże wiadomości nasze o chemii ciał białkowych dość daleko się już posunęły, a jakkolwiek dla zupełnie dokładnego poznania tych związków potrzeba jeszcze długiéj i zmudnéj pracy, to jednakże każdy niemal krok, czyniony na tém polu w kierunku chemicznym, oddaje fizyologii ważne usługi. Mimo to, pozostaje dotąd nierozstrzygniętém pytanie pierwszorzędnéj wagi, które przedewszystkiém olbrzymie ma znaczenie dla biologii,

mianowicie: czy i jaka jest różnica chemiczna pomiędzy białkiem żywéj, a białkiem martwéj protoplazmy?

Że różnica w obudwu tych stanach istnieje, o tém trudno powątpiewać. Toż wszystkie zjawiska życiowe odbywają się w towarzystwie zmian chemicznych. Te zmiany najczęściéj nie są czémś przypadkowém, ubocznem, lecz stanowią istotę saméj funkcyi życiowéj. Zjawisko oddychania, trawienia — to procesy przedewszystkiém chemiczne. Funkcye gruczołów, wydzielanie rozmaitych soków—to również praca chemiczna komórek, podczas któréj pewne materye z krwi zostają przeobrażone na nowe substancye. Życie wszystkich organów jest nieustającą przemianą jednych związków chemicznych na inne; z materyału, dostarczanego organom zwierzęcym przez krew, powstają najróżnorodniejsze związki, które w znacznéj części są nam już znane, choć najpewniéj dużą jeszcze ich liczbę dalsze poszukiwania będą nam wykrywały. Każdy organ, każda niemal tkanka może być chemicznie scharakteryzowana, gdyż wyrabia w sobie specyficzne związki. Cała ta praca chemiczna odbywa się z przeważnym udziałem najistotniejszéj składowéj części protoplazmy t. j. białka; a praca ta ustaje z chwilą obumarcia protoplazmy. Stąd niewątpliwy wniosek, że stanowczo różném być musi białko żywéj od białka martwéj protoplazmy.

Lecz na czém różnica ta polega? Na to właśnie pytanie wiedza współczesna odpowiada tylko domniemaniami; z hypotez zaś, w tym kierunku wygłoszonych, największém stosunkowo cieszy się uznaniem i prawdopodobieństwem hypoteza chemika-fizyologa O. Loewa, który przed kilku już laty doświadczalnie stwierdził, że żywe tkanki pewnych organów roślinnych i zwierzęcych wskazują takie odczyny chemiczne, których nie mają téż same tkanki po obumarciu.

Cząsteczka chemiczna białka nader zawile jest zbudowana i w budowli téj, podobnie jak w każdym bardziéj złożonym związku chemicznym, można dojrzéć pewne grupy atomów, które niby prostsze kompleksy, z pojedyńczych złożone cegiełek, układają się obok siebie, dając kompleks wyższego porządku—cząsteczkę białka. Istnienie takich prostszych kompleksów, t. zw. rodników, zdradza się tém głównie, że można je istotnie rozmaitemi chemicznemi sposobami wydzielić z całości. Rodnik złożony z węgla, wodoru i tlenu i to tak, że do atomu węgla bezpośrednio przylega atom tlenu i z drugiéj strony atom wodoru, znany jest pod nazwą rodnika aldehydowego, gdyż charakteryzuje liczną grupę ciał chemicznych, t. zw. aldehydów. Otóż badania Loewa najwyraźniéj przemawiają za tém, że takie rodniki aldehydowe są zawarte w żywém białku, gdy tymczasem obumarcie protoplazmy zachodzi z współczesném przemieszczeniem ugrupowania atomów w tych ro-

dnikach. Sposoby chemiczne, pozwalające wykazać obecność tego rodnika w żywéj protoplazmie, zawodzą, gdy je stosujemy do protoplazmy martwéj. W rozwinięciu swéj teoryi Loew daléj jeszcze zachodzi i samą przyczynę życia upatruje właśnie w takiém zgrupowaniu cząsteczki białka w protoplazmie, w którém istnieją owe rodniki aldehydowe.

Faktów, na których opiéra się teorya Loewa, zaprzeczyć nie można. Inna rzecz, czy one wystarczają do zupełnego wytłómaczenia chemicznych zjawisk życiowych. Trudno to jeszcze dziś orzec stanowczo, gdyż potrzeba by w tym celu znacznie głębszego wniknięcia w chemizm życia komórki, niż pozwalają obecne środki badania. Dobrze jest przeto zatrzymać podobną teoryę, zwłaszcza, gdy pozwala ona po pewnym czasie więcéj objaśnić, niż z samego początku jéj twórca zamierza.

Mało dotychczas wiedziano pewnego o tém, na jakich chemicznych reakcyach polega działanie wielu trucizn na organizm zwierzęcy. Widziano skutki tych działań, zdawano sobie dobrze sprawę z tego, że jedne niszczą krew, inne porażają czynność serca, znów inne upośledzają ważne dla życia ośrodki w mózgu i rdzeniu, że są takie, które paraliżują funkcye mięśni albo powstrzymują ruchy oddechowe, zabijają tkankę nerwową i t. d. Lecz nie wiedziano, jakie właściwie przemiany chemiczne w samych komórkach są bezpośrednią przyczyną tych zgubnych dla organizmu skutków. Bo, jakkolwiek znamy dobrze skład i własności chemiczne przeważnéj liczby trucizn, jednakże właśnie niedostateczne poznanie białka żywéj protoplazmy stawiało w tym kierunku poważne trudności. Temu też przypisać trzeba, że ten podział trucizn, systematyka ich, jakiéj trzymali się dotychczasowi toksykologowie, nie mogła całkowicie zadowolnić chemika-biologa. Już to zestawiano obok siebie najrozmaiciéj na organizm działające trucizny dlatego, że były podobne w składzie chemicznym, już znów odosobniano te, które składem były podobne, ponieważ działały różnie. I nie mogło oczywiście być inaczéj, skoro liczono się tylko z ostatecznemi skutkami działania trucizn, a nie zadawano sobie pytania, jak też działają one dzięki takiemu a nie innemu swemu składowi chemicznemu na określony skład chemiczny protoplazmy.

Loew po raz pierwszy stara się oprzéć systematykę trucizn na zasadzie racyonalnéj, naturalnéj, stara się wybadać ich istotne działanie na protoplazmę taką, jaką opisuje nam jego teorya aldehydowéj natury żywego białka. Postarajmyż się zrozumiéć wytyczne punkty tych nie-

zmiernie interesujących rozumowań [1]). Nie są to bynajmniéj badania tak specyalnego charakteru, żeby zająć mogły tylko toksykologa lub lekarza. Właśnie dlatego, że wychodzą one z założenia ogólniejszego, że wspiérają się na teoryi, która najdonioślejsze ma znaczenie dla całéj nauki o przyrodzie, nie mogą one być obojętne dla tych, których zajmują postępy téj nauki. I wreszcie wyznajmy przy sposobności, że każda najdrobniejsza choćby zdobycz naukowa, jeżeli tylko powstała ze świadomego dążenia do wykrycia nowéj prawdy, może zawsze w ten lub ów sposób rozświetlić nasz ogólny pogląd na przyrodę, bo ostatecznie wszystkie jéj zjawiska w nieprzebranéj swéj różnorodności najściśléj są z sobą zespolone i istotnie nie ma pomiędzy niemi téj odrębności, jaką umysł nasz sztucznie wytwarza.

Im związek jaki chemiczny skłonniejszy jest do ulegania przemianom, tém żywszy — przypuszczać należy — zachodzi ruch atomów we wnętrzu jego cząsteczki. Są pewne ciała chemiczne o tak żwawym wewnątrzcząsteczkowym ruchu, o tak chwiejnéj równowadze, że rozpadają się już przy najlżejszém dotknięciu. Należy tu wielka liczba ciał wybuchowych. Dla rozłożenia innych potrzeba już silniejszych bodźców, niekiedy nawet bardzo energicznych czynników: wysokiéj temperatury, elektryczności znacznego natężenia i t. d. Otóż, żywe białko zaliczyć wypada do związków niezbyt trwałych. Niezmiernie skomplikowana budowa jego cząsteczki już sama przez się nie sprzyja znacznéj trwałości. Cząsteczka białka zawiera bezwątpienia conajmniéj kilkaset atomów. I ta właśnie chwiejność w strukturze pozwala już w części zrozumiéć, dlaczego tak duża liczba ciał chemicznych może na żywą protoplazmę działać destrukcyjnie, może ją upośledzać w normalnych jéj funkcyach, niszczyć, zabijać.

Jeżeli istotnie ruch życiowy komórek zależy od pewnych chwiejnych ugrupowań w białku żywéj protoplazmy, to łatwo zrozumiéć, że najdrobniejsze nieprzyjazne oddziałanie na ten ruch sprowadzić może śmierć plazmy. Wiadomo nam dobrze, że we wszystkich żywych, normalnie funkcyonujących komórkach, ustawicznie zachodzi utlenianie t. j. łączenie się pewnych części składowych (przeważnie węgla i wodoru) z tlenem. Jest to właściwa czynność oddychania pojedyńczych komórek, które bez tlenu żyć nie mogą. Należy sobie wszelako wyobrazić, że samo białko protoplazmy przy tém w nader drobnéj ilości istotnemu ulega utlenianiu. Odbywa się to raczéj w ten sposób, że żywa plazma wchłania tlen, pochodzący z atmosfery i oddaje go tym cia-

---

[1]) Oscar Loew. „Ein natürliches System der Giftwirkungen. Monachium. 1893.

łom chemicznym, które obok niéj zawarte są w komórce t. j. cukrowi, acytynie, tłuszczom, i t. d. Gdy wszakże na komórkę działać będzie jakiś związek chemiczny silnie utleniający, t. j. zawierający dużo tlenu, i to takiego tlenu, który z łatwością może być przeniesiony na inne ciała, wówczas i białko protoplazmatyczne zostanie utlenione, spalone, zniszczone. Stąd dochodzimy do wniosku, że silnie utleniające ciała działają trująco na protoplazmę. Do tego szeregu jadów utleniających zaliczamy np. ozon, wodę utlenioną, sole kwasów: chromnego, mangannego, nadmangannego i podchlorowego; dalej sole kwasów: chlornego, bromnego i jodnego oraz chlor, brom i jod, które w warunkach panujących w organizmie, wydzielają tlen z wody. O działaniu trującém wszystkich tych ciał oraz innych jeszcze, do nich podobnych, mamy dostateczny zapas doświadczenia, które w zupełności pozostaje w zgodzie z przypuszczeniem, że istotnie zachodzą tu utlenienia białka w plazmie komórkowéj.

Istnieje duża liczba ciał węglowych, nie odznaczających się osobliwie energicznemi własnościami chemicznemi, które jednakże silne stanowią trucizny dla wszelkich żywych komórek. Oto niektóre z tych związków: eter, chloroform, chloral, alkohole, siarek węgla, rozmaite węglowodory i t. d. Ażeby objaśnić sposób jadowitego działania tych substancyi, Naegeli w swoim czasie przypuszczał, że odbywa się w nich pewien energiczny ruch wewnątrzcząsteczkowy, który zakłóca normalną równowagę atomów w protoplazmie i zabija ją w ten sposób. Loew ze swéj strony dodaje, że właśnie ów ruch atomów w owych truciznach sprowadza chemiczne przemieszczenia w chwiejném ugrupowaniu białka protoplazmatycznego.

Oddawna w chemii znany jest cały szereg reakcyi, które zachodzą tylko w obecności pewnych, napozór obojętnych zupełnie ciał, nie biorących istotnego udziału w saméj przemianie chemicznéj. Reakcye tego rodzaju noszą nazwę katalitycznych. Przez długi czas napróżno usiłowano pojąć właściwą rolę tych, przez swą obecność działających ciał. Wreszcie dla wielu podobnych procesów zadanie to rozstrzygnięło. Okazało się bowiem, że w rzeczywistości i same substancye, działające katalitycznie, ulegają przemianom, lecz na krótki tylko przeciąg czasu, gdyż w następstwie znów się odtwarzają, regenerują w pierwotnéj swéj postaci. Katalityczne procesy chemiczne zachodzą w dwu lub więcéj fazach. W pierwszéj ciało katalityczne działa i zmienia się, w drugiéj powraca do stanu, w którym znajdowało się w początku. Łatwo zrozumiéć, że dopiéro metody pozwalające powstrzymać sam proces na którémś z pośrednich stadyów, dały możność wykrycia udziału tych zagadkowych, obecnością swą działających ciał. Nie wszystkie wszakże procesy katalityczne zostały już należycie wyjaśnio-

ne. Bądźcobądź wszakże, przez analogią dochodzimy z konieczności do wniosku, że i powyższa grupa trucizn zaliczona być winna do tych osobliwych związków, wpływających „katalitycznie" na białko żywych komórek.

Ponieważ ciała białkowe odznaczają się tém, że zarówno tworzyć są w stanie połączenia z kwasami, jak i zasadami, przeto cały szereg tych ostatnich dwu grup związków chemicznych może na nie oddziaływać w sposób zmieniający zupełnie ich charakter chemiczny. Gdy zaś coś podobnego stanie się z białkiem żywéj komórki, musi to oczywiście pociągnąć za sobą zniszczenie tegoż. Otrzymujemy więc trzecią grupę trucizn, w któréj pomieścimy zasady i kwasy, tworzące z białkiem połączenia solne.

Pozostając przy dawniejszym poglądzie, który nie upatrywał żadnéj różnicy pomiędzy żywém a martwém białkiem, nie jesteśmy zupełnie w stanie objaśnić bardzo licznych działań trujących materyi. Tak np.—ażeby jeden tylko przykład przytoczyć—związek chemiczny, zwany hydroksyliakiem, w najsłabszém nawet rozcieńczeniu działa już zabójczo na wszelką żywą protoplazmę, gdy tymczasem zupełnie żadnego nie wywiera wpływu rozkładającego na martwe białka. Wiadomo wszakże z drugiéj strony, że hydroksyliak niezmiernie okazuje się czynnym wobec rodnika aldehydowego i fakt ten w świetle przypuszczeń Loewa doskonale objaśnia nam jadowitość tego ciała.

Jest wiele związków jadowitych, które w bardziéj pośredni sposób, aniżeli wymienione wyżéj, działają na organizmy. W jednéj grupie pomieścić możemy takie, które zakłócają proces oddychania, a do tych należą: tlenek węgla, dwutlenek węgla i kwas siarkowy. Do drugiéj zaliczymy znów ciała, działające jadowicie wskutek zachodzącego w nich samych rozkładu, utleniania, rozszczepiania się; takiemi są związki jodu i kwasu azotowego. Wreszcie trzecia grupa obejmie liczne bardzo sole, które najprawdopodobniéj zmieniają stan napęcznienia organizowanych utworów, niszczą ich budowę, strukturę.

Tlenek węgla, gaz wydzielający się przy niezupełném spaleniu węgla czyli przy niedostatecznym przystępie powietrza do paliwa, tworzy związek z czerwonym barwnikiem krwi, hemoglobiną. W zwykłych normalnych warunkach hemoglobina znajduje się w połączeniu z tlenem, który tą drogą przenika do wszystkich zakątków ciała i przez spalenie, utlenianie substancyi zawartych w komórkach stanowi niezbędne źródło ciepła i sprawności organizmu. Gdy wszakże zwierzę wdycha tlenek węgla, wówczas tenże ruguje tlen z połączenia z hemoglobiną i sam miejsce jego zajmuje: organizmowi zbrakło życiodającego tlenu, skutkiem czego śmierć niechybnie nastąpić musi. Ponieważ takie działa-

nie tlenku węgla jedyną jest przyczyną jego jadowitości, nic więc dziwnego, że gaz ten nie zatruwa roślin ani niższych zwierząt, które krwi nie posiadają.

W porównaniu z tlenkien węgla dwutlenek węgla dość słabą jest trucizną. W procesie oddychania powstaje on ustawicznie w komórkach i musi być z nich na zewnątrz wydalony. Ilość tego gazu nie może wzrosnąć powyżéj pewnéj granicy, bo w przeciwnym razie utrudnioném staje się przenikanie tlenu do komórek i protoplazma ulega uszkodzeniu. Stan zaś taki istotnie zachodzi wówczas, kiedy zwierzę oddycha powietrzem obfitującém w dwutlenek węgla. Przy dłuższém trwaniu tych warunków następuje śmierć wskutek porażenia czynności oddechowéj i funkcyi serca. Zauważmy, że jednakże rozmaite zwierzęta różną w tym względzie odznaczają się wrażliwością. Gołąb np. zdycha po 1 godzinie i 50 minutach, gdy powietrze zawiera 28,9% dwutlenku węgla obok 54,7% tlenu; królik zaś dopiéro po 5 godzinach w atmosferze zawierającéj 46,3% dwutlenku węgla obok 29,7% tlenu. Ta różna odporność organizmów jest faktem, z którym na każdym kroku spotykamy się w dziedzinie fizyologii, a któréj dostatecznie objaśnić jeszcze nie potrafimy.

Tak zwane w chemii zasady organiczne, t. j. ciała, azot zawierające i mające własności alkaliczne, w wielu wypadkach trujące wywierają działanie, zwłaszcza na wyższe zwierzęta. Najczęściéj pod ich wpływem zostaje upośledzona tkanka nerwowa. Do tego szeregu trucizn zaliczamy alkaloidy, jak np. strichninę, atropinę, chininę, kurare, morfinę. O sposobie ich działania nie wiele da się ogólnego powiedzieć. Znajdujemy się tutaj na bardzo mało zbadaném polu toksykologii.

Jeszcze mniéj wiadomo nam o sposobie działania na komórkę zwierzęcą tych trucizn, które w ostatnich latach zajmują pilnie uwagę lekarza i fizyologa, a które w swych własnościach chemicznych zbliżają się bardzo do ciał białkowych. Niektóre z nich wytwarzają się pod wpływem bakteryi i stanowią silne jady dla wyższych zwierząt. Są to t. zw. toksalbuminy. Inna grupa powstaje w wyższych zwierzętach już to w warunkach normalnych, już też w patologicznych, a związki téj grupy, t. zw. aleksyny, działają zabójczo na bakterye. Na trzeci szereg składają się produkty wytwarzane przez jawnopłciowe rośliny i wyżéj uorganizowane grzyby, a działające jadowicie na zwierzęta (abryna, ricyna, roślinne enzymy i t. p.). Wreszcie w grupie czwartéj mieszczą się materye, pochodzące z pewnych zwierząt i działające trująco na inne zwierzęta, jak np. jad wężów, krew węgorzów, t. zw. enzymy zwierzęce i t. d. Zwłaszcza pierwsze dwie grupy ostatnio wy-

mienionych trucizn wielce interesują współczesną medycynę, gdyż one to właśnie pierwszorzędne mają znaczenie w chorobach zakaźnych. Toksalbuminy wytwarzane w ciele naszém przez bakterye, działają zabójczo na pewne komórki, na całe ich grupy czyli tkanki i mogą sprowadzić śmierć. Każdy wszakże organizm posiada aparat ochronny, rozporządza siłami, które w danym razie obronić go mogą od napastujących go wrogów. I póki aparat ten dość jest silny i normalnie funkcyonuje, póty ciało nasze spokojnie podjąć może walkę z toksalbuminami. We krwi—według badań nowszych bakteryologów—krążą pewne substancye, t. zw. aleksyny, które są w stanie zneutralizować, zobojętnić szkodliwe działanie toksalbumin. Są pewne zwierzęta, odznaczające się stałą, naturalną odpornością względem niektórych chorób zakaźnych. Należy przypuszczać, że w ich tkankach tyle jest zawsze odpowiednich aleksyn, że gdy nawet bakterye tam przenikną i wytworzą toksalbuminy, te ostatnie w działaniu swém zostaną niejako sparaliżowane wpływem wywieranym przez aleksyny.

Na czém polega ta walka pomiędzy toksalbuminami i aleksynami, czy jest to proces czysto chemiczny, podobny np. do wzajemnego zobojętniania się kwasów i zasad, czy też może neutralizują się nie same związki, lecz dopiéro sprawiane przez nie skutki fizyologiczne, na to wiedza nasza dzisiejsza stanowczo odpowiedzieć jeszcze nie może. Medycyna kroczy obecnie pewniejszym krokiem naprzód, niż lat temu choćby jeszcze kilkanaście. We wszystkich objawach patologicznych, we wszelkiém działaniu trucizn i leków staramy się dojrzéć zjawiska analogiczne lub podobne do tych, które z pewną dokładnością poznaliśmy już w fizyologii. Fizyologia zaś, opiérając się na mechanicznêm pojmowaniu objawów życiowych, dostrzega wszędzie procesy fizyczne i chemiczne. Metody fizyki i chemii dają się w wielkiéj liczbie wypadków wprost przenieść do badań fizyologicznych. Gdy zaś tą drogą pozyskano najwspanialsze rezultaty wiedzy współczesnéj o życiu, mamy prawo spodziewać się także, że i postępy medycyny w tym kierunku zdążać będą. Współczesne hypotezy o działaniu trucizn stanowią jeden tylko przyczynek do wielkich zagadnień w dzisiejszéj medycynie, lecz w każdym razie biolog i lekarz przyzna im niewątpliwie duże znaczenie. A kiedy w noc pochmurną błądzimy po lesie, nie wiemy przecie, z któréj strony słońce wzejdzie.

Maksymilian Flaum.



Sen — mara.

Wróciłam z długiéj kilkogodzinnéj przechadzki; byłam niezmiernie zmęczona, a jednak wiedziałam, że, ilekroć złudzona obecnością Morfeusza, rzucę się w jego miękkie ramiona, bezlitośnie uchyli się od moich rozpaczliwych uścisków, by za chwilę znowu stanąć nademną i naigrawać się z mojéj pożądliwości. Toć obdarzał, jak nierządnica, względami swojemi wszystkich,—pieścił, tulił, unosił w złotéj tkaninie na wyżyny, do zamku czarownego, śpiewając obietnice rozkoszne; a im bezwzględniéj go odpychano, tém częściéj się zjawiał, pieszczotliwiéj oplatał niechętnych! O, niechby szarpnął mnie mściwie, nucił pieśni grobowe, w otchłań strącał i w górę podbijał, serce wyjął i płakać kazał nad śmiercią, do zbrodni popychał i potém wyszydzał!

Wzgardził mną, wzgardził!

Jak nieszczęśliwa kochanka, udawałam się po leki — po czary do znachorów — lekarzy. Nie pomagał brom, którego już wychyliłam parę butelek, nie skutkowała zimna woda i męczyły tylko długie spacery po ciemnéj już o południu alei lipowéj dworskiego sadu, kędy stare drzewa, niedoglądane przez zgrzybiałego ogrodnika, rozrastając się dowolnie, tworzyły z obu stron zielony łuk tryumfalny.

Przed wyjazdem z Warszawy byłam u dwóch lekarzy: pierwszy, polecony mi przez moją pracobierczynię, jako stary praktyk i znakomity dyagnosta, zapytał mnie, czy nie jadam obfitych kolacyi; gdy zaś gorąco zaprzeczyłam takiemu podejrzeniu, spokojnie i poważnie zauważył, że bezsenność pochodzić może również od niejadania wieczerzy. W rezultacie — znowu brom! Drugi — wschodząca i świadoma swe-

go blasku gwiazda — elegancki, trzydziestoletni blondyn, przyjął mnie, ze słodkawą, wyszukaną grzecznością i uprzedziwszy moją smutną opowieść pytaniem „co nas boli", radził mi zarzucić niewdzięczne nauczycielstwo i... wyjść za mąż. Tak radykalną radę uczcić należało przez powstanie z wygodnego fotelu i doręczeniem rubla zakończyć wizytę, lecz wtedy młoda gwiazda rzuciła kilka wcale gładkich frazesów tyczących się małokrwistości młodego pokolenia i smutnych (...„o, proszę łaskawéj pani, nader smutnych") warunków zarobkowéj pracy inteligentnego proletaryatu. Pan doktór zalecił mi wyjazd na wieś—na tak prostą myśl rzeczywiście dotąd nie wpadłam.

Kondycyi już nie szukałam i napisawszy list do kuzynki, Stasi Borskiéj, która już nieraz prosiła mnie, bym przyjechała przygotować do szkół jéj dziewięcioletnią Józię — z całym arsenałem znienawidzonego bromu, z nienapoczętą buteleczką morfiny, a zresztą ze szczupłym zasobem nadziei co do cudotwórczego wpływu powietrza i spokoju, zjechałam do Borkowic.

Życie wiejskie, ciche i przyjemnie jednostajne po wielkomiejskiéj gorączkowéj tułaczce z lekcyi na lekcyę, po ogłuszającym gwarze ulicznym i wreszcie po nieustanném, bezcelowém zastanawianiu się nad celem pracy, powinno było przecie zrównoważyć nie wiedzieć czemu rozhukane nerwy! Każde miarowe tętno pogodnéj wiejskiéj sielanki zdawało się pokonywać i naginać do swego cichego szmeru dziwne skargi rozdrażnionéj mieszczki na noce bezsenne. Dziwili się moi poczciwi gospodarze, że wieś nie tuczy i rumieńcem nie zabarwia mojéj bladéj twarzy, a mała okrągła Józia, przypatrując mi się badawczo, pytała: „dlaczego pani tak źle wygląda?" Raz nawet Stasia tajemniczo mi oświadczyła, że wyglądam bardzo „interesująco", chociaż niezawodnie mi coś dolega: „czyś ty, Wandziu, nie zakochana, wiész... w tym?"

Wszędzie miłość!

Nie dziwiła się tylko noc lipcowa, gorąca, nieznacznie zapadająca po upalnym dniu, i do czuwania zachęcała zalotném mruganiem oczek gwiazdzistych, a niekiedy żywszą iskierką, co, niby od niechcenia puszczona, ginęła szybko, czy tuż, nad rzeką, w ponuro zwartych zaroślach ostu, czy tam na kępce, wśród sterczącéj leszczyny, czy téż daléj, gdzie zarysowywał się ogromem bezkształtnym młyn biały — próżny zuchwalec, co huczał swojém niezdarném kołem, dumny z tego, że siła żwawéj wartkiéj rzeczki napotkała go po drodze, a potém, ścieśniona na chwilę zaporą, obrzucała pianą złośliwą.

Czasem czarodziejski podmuch nocnego wietrzyka, jak gdyby ciche westchnienie o szczęściu dalekiém, muskał zlekka wspaniałą grzywę

staréj rozłożystéj topoli, która, przypatrując się ciekawie z po za parkanu dworowi, starczym szeptem ciągnęła swoją wieczną sagę o czasach odmiennych. Z sadzawki dochodził zgodny, bez przerwy skrzeczący chór żab, podobny do oddalonego krakania wron, a przyśpieszone sykanie koników polnych nakazywało przyrodzie całéj milczenie wobec spokoju nocy-królewny. O północy księżyc, co niedawno jeszcze wznosił się niebieskawym połyskiem nad czarną fantastyczną koronką, z wierzchołków drzew olbrzymich utkaną, nabiérał odcieni centkowych i ukrywał się tchórzliwie, błysnąwszy na dobranoc po przez gałęzie rozżarzoną miedzią...

A zmęczenie opanowywało mnie coraz natarczywiéj, głowa ciężyła i podtrzymywałam ją oburącz, udając przed sobą pogrążoną we śnie. Na dole wszyscy spali. Zapaliłam świécę i położyłam się do łóżka z nową sensacyjną powieścią w ręku, pochłaniałam ją chciwie od kilku dni. Była to „Kartka z walki duchowéj naszego stulecia" i chociaż raziła bajeczném powikłaniem sytuacyi, jednak myśl wielka, myśl o wzrastającém niezadowoleniu z życia, o próżni duchowéj, któréj niepodobna zasypać całą górą materyalistycznéj wiedzy i o rodzącéj się stąd mistycznéj tęsknicy — krew tętniącą wléwała w każdą na pozór martwą, sztucznie upiększoną tkankę.

Na pomoc zmysłom zjawiał się usłużnie styl, już to wysubtelniony, uginający się za lada smętnym powiewem wykształconéj wyobraźni, już syczący bolesnym sarkazmem samopalenia.

Zamknęłam książkę i stawali przedemną ci ludzie, co wzięli cały dobytek ludzkości,—cały kruszec wiekami nagromadzony, próbowali go w ogniu szlachetnych namiętności, a odrzuciwszy rdzę krwawą i narosty zbrodniczego żelaza, gdy oczom ich ukazało się roztopione faliste złoto,—ręce załamywali i biegli przed siebie, złudzeni ognikiem świętojańskiego robaczka, który na ich ręku światła nie wydzielał, lub próchnem święcącém, drzazgą zbutwiałą! Duchów chcieli na ziemię sprowadzić i marom bezkrwistym kazali zburzyć jedyne ludzkie schronie, gwiazd sięgające, niewykończoną dachówką. Szaleńcy! Nie chcieli już czasu—zwoływali umarłych, nie chcieli przestrzeni i zdala rozmowy toczyli z duchami. Dzieci! wierzyć pragnęli i uwierzyli... zboczyli wszak na krętą ścieżynę, myśląc, że wyprowadzi na nowy szeroki gościniec, który skrzyżuje ich utarte drogi. I cóż? Wyszli na te same tory, tylko stérani, z przekleństwem na ustach; niektórzy sił już nie mieli kroczyć stopą zmęczoną i padli przy słupach granicznych, a inni z okiem przygasłém wlekli się o kiju żebraczym...

Zgasiłam świécę i z rezygnacyą przygotowana byłam na męczeńskie czuwanie do świtu. W pokoju było zupełnie ciemno i oko natę-

żone siliło się daremnie przeszyć ciemnię nieprzejrzaną. Nic nie widzę, nic nie mam przed sobą i naciskam zlekka oko, by wywołać złudzenie światła. Zapominam, w jakim kierunku należy szukać okna — głowę w lewą stronę wychylam i... uderzam o ścianę! Takiéj drobnostki nie zachować w pamięci! Może oślepłam? Wstaję, podnoszę roletę i widzę czarną kędzierzawą lipę, stojącą przy drodze. Kładę się znowu. Mrok coraz gęstszy zaściela mi duszę i nic w niéj nie widzę. Jutro wstanę, zejdę na dół — śniadanie, lekcya, obiad, rozmowa przy stole, książka, ogród, podwieczorek, spacer do lasu, kolacya—i znowu, znowu noc! A gdybym nawet spała, czy z nowym sprzętem przybywa więcéj światła do celi? Wrócę do Warszawy, pochwyci mnie w swoje powolne obroty kółeczko żmudnéj szaréj pracy, codziennie zatapiać będzie głębiéj i głębiéj wyszczerbione zęby, dopóki nie zmiażdży i nie wyrzuci.

Te starania, zabiegi, zadowolenie z pracy i rozczarowania, upadek i wzlot energii—cały mój chléb powszedni, którym żyłam od czterech lat, wydawał mi się teraz zgorzkniałym, skamieniałym. Przebierałam w pamięci białe i czarne paciorki z méj skromnéj kanwy i im dłużéj je oglądałam, tém więcéj malały; gdy zaś i kanwę wyjęłam po włosku, pozostało płótno bez deseni, bez nitki — pozostałam wtedy ja, Wanda Stawiska, „jako taka", wyłączona z pod wszelkich warunków otoczenia, społeczeństwa, czasu, ludzi, pracy, bez wszelkich pragnień, bez żalu, lecz z jakimś balastem. Ileż to takich „w sobie" bez śladu ginie tych poczwarek, jakie się często widzi na strychu, lub w kącie cienistéj altany, uczepionych ledwie widzialną nitką pajęczą, ze wnętrzem, przez pająka wyssaném; forma pozostała doskonale zachowaną—dmuchnąć i w pył się zamieni. I dmuchnąć niekiedy jest trudno, i na to siły potrzeba.

Cisza dokoła. Zégar na dole wyjęczał drugą godzinę. Stróż nocny gwizdnął, pies warknął niedbale. W pokoju było gorąco, a dreszcz dziwny wstrząsnął mną całą.

I w tém — Boże! na krześle, obok łóżka spostrzegłam pochyloną białą postać kobiécą, z włosem rozwianym i z twarzą w białe dłonie ukrytą. Duch? ręką oczy przetarłam i po raz wtóry ujrzałam tę marę!

Krzyczéć chciałam, i głosu wydobyć nie mogłam. A ona spojrzała na mnie, uśmiechając się dobrotliwie i boleśnie. Poznałam ją, moją męczennicę Anię i wybuchnęłam płaczem szalonym.

— Aniu, biédna ty... skąd... czy żyjesz? — pytałam i niby odgłos z dzieciństwa w ostatniéj godzinie, bezwiednie zaszemrał a na moich ustach modlitwa „Ojcze nasz": „...i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas

zbaw od złego", a blade zaciśnięte usta mojéj Ani układały się do ironicznego śmiechu, żłobiąc na twarzy rys śmiertelnego cierpienia; ciemne jéj oczy patrzyły na mnie nieruchomie, niezależnie od drgających bólem mięśni.

— Wandziu — wyszeptała, nachylając się do mego ucha, tak cicho, żem oddechu jéj nie czuła — nie bój się, to ja... jeszcze żyję i mówić chcę z tobą; a gdy świtać zacznie, wrócę i umrę na ziemi... Wandziu, tak mi teraz ciężko, tak ciężko i czuję, że bliskiém jest moje wyzwolenie i tęskno mi za tobą i Władzią... szkoda mi matki mojéj i dzieci jéj biédnych, że płakać będą i żyć... i łez waszych szkoda, bo i was czeka to samo...

Umilkła i już jéj się nie bałam, lecz łkania mi gardło dusiły... A ona szeptem głośniejszym ciągnęła daléj:

— Nie płacz, Wandziu, bo... i po co? — Słuchaj mnie: już ciało wkrótce stygnąć zacznie i pójdę... nie wiem... daleko, a znaleść nie mogę spokoju i żal ostatni — ostatnia fala goryczy wstrząsa już chwiejném ogniwem, łączącém ducha z ciałem.

Ja żyć już nie mogę, wrócić nie mogę, modlitwy nie znajdę, pogodzenia nie pragnę. I z czém się pogodzę? czy z życiem, czy z śmiercią?

Śmierć o to nie prosi, już sama mnie bierze w tryby żelazne, już zaraz mnie zdusi, wydmuchnie ostatnią iskierkę. I przedtém mnie nieraz pieściła... więziła nocami w uścisku—czyż mogę kochanka oddalić, odmówić ostatniéj pieszczoty?

Tu mówiła całą pełnią swego śpiewnego głosu i wydawało mi się, że jesteśmy teraz w jéj małym pokoiku, że słyszę śmiechy i krzyki jéj drobnego rodzeństwa i gruby głos matki, hałaśliwie trzaskającéj drzwiami.

— Wandziu, znasz moje życie? rzadko się uskarżałam — czasu nie było. Na nic czasu nie miałam: gdy wiosny chciałam, usta małych piskląt otwierały się z głodu, a może... ze zdziwienia; gdy spokoju chciałam—wszyscy krzyk podnosili!

Dla nich... dla nich... dlaczego?

Za chwilę szalu ojca i matki, za chwilę miłości zmysłowéj, co może następowała po kłótni i obelgach, a nawet po bójce, zaprządz się miałam do niewolniczéj pracy bez wytchnienia, snu, pokarmu?

Słońce chciałam ujrzéć, a jarzmo głowę ku ziemi chyliło, a dzieci biegły za pługiem, deski mi kładły na kark ugięty, wołając: „ku ziemi!"

Życie mi matka dała? dziewięć miesięcy nosiła? Ja życie jéj dałam! krwią ją karmiłam!

Serce mi wyssali, mózg mi wyżarli!

. . . .

Oczy jéj drgały ognikiem niepewnym, rytm głosu stawał się niecierpliwym, cząstki dźwiękowe goniły jedna drugą, bezładnie się kojarząc i chwilami dzwoniąc, jak rój niezliczony komarów, lub rosnąc w potęgę urywanych akordów napinającéj się burzy.

— Wandziu, nie mów, nie wstrzymasz słów moich potoku ni cichém westchnieniem, ni łzą twoją czystą: westchnienie go daléj uniesie, a łza twoja w mętnéj strudze zaginie... Nie mów, nie sądź! Wandziu, niech nam dadzą dwa mózgi, dwa serca, dwie sukienki — jedną, szarą do kuchni... do prania, do obiadu; drugą do balu, do światła i wspólnéj wieczerzy! A jakże ja z jedną sobie poradzę? Już zmięta, przy ogniu spalona—ognisku domowém! Naprawić nie mogę, przerobić nie mogę—o, biédna ja, biédna!

Pamiętasz: „tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga, łam, czego rozum nie złamie?” Wandziu, czy to bogów szydercza zachęta dla bryły lodowéj, czy my, bezrozumne, wzroku nie mamy, ni siły?...

Wandziu, powiédz teraz — mów, dlaczego mi żyć kazałaś dla ludzi, żyć szerzéj, głębiéj oddychać, bo — mówiłaś — życie, to szczęście i nic nie masz nad życie?

Ja żyłam dla ludzi: dla matki żyłam, bo mnie zrodziła, dla dzieci żyłam, bo matka je zrodziła! Dlaczego, dla-cze-go?!

. . . .

I Władzi radziłaś, ty mądra westalko, nic nie masz nad życie, nad święty ten ogień—téj naszéj pięknéj Władki; całowałyśmy jéj malinowe usteczka, rączki maleńkie, jéj ciężkie warkocze. Słuchała cię dobrze, życia szukała, usteczka, oczy, warkocze oddała „jedynemu”. Naszych pieszczot nie chciała, szalona! A rączek nie wziął „jedyny i dobry”, zostawił dla innych... dla wielu.

Nic nie masz nad życie!

. . . .

— Odejdź — krzyczałam, przerażona jéj chichotem trupim — czego znęcasz się nademną? Hartu nie miałyście i teraz giniecie?

— Hartu? — zgrzytało mi w uchu — hartu? to daj mi hartu, ty wielka, śpiżowa pracownico, to daj mi na drogę krwi twojéj kropelkę, to pożycz mi—zwrócę, wszak wszystko zwróciłam i te trzy ruble—pamiętasz? Nie chcę! Sama sobie kupię: mojém jest królestwo niebieskie, bo i sprawiedliwości łaknęłam, i cierpliwą byłam, i duchem jestem

uboga! A ziemia jest twoją, posągu niezłomny, dziewico bez skazy! Żyj na niéj, bogata w swą czystość, rozum i spokój i z wiarą w porządek wszechświata. A ja, nim wejdzie to twoje jasne słonko, tocząc się od ziemi i krwią się nasycając, ja przeklinam zwodniczą matkę przyrodę, co żyć każe, a sama uśmierca! i matkę przeklinam rodzoną, co dała mi soki życiowe, a lichwą stokrotną wyssała! i dzieci téj matki przeklinam, bo skończą tém samém przekleństwem!

. . . .

. . . .

...Wandziu, droga ty moja, a co się z temi dziećmi stanie... one mnie tak kochały i płakać będą i zamrą bez chleba okruszyny, a co będzie z Helusią moją złotowłosą—oh, Wandziu, ona taka żywa, jak... Władzia nasza, a z Bolkiem moim — on taki pojętny, a z Marynią, a z maleńkim Michasiem?

Mama płakać będzie, a sił nie ma: Zamrę, wszyscy zamrą!

. . . .

I nic nie mówiła, tylko, ręce łamiąc, zanosiła się od płaczu przedśmiertnego. I widziałam, jak z każdą łzą postać jéj bladła i rozpływała się niepochwytnie; a gdy stała nademną słupem mglistym, i ręką ją chciałam zatrzymać, ręka opadła bezsilnie — krzyknęłam, i ducha nie było!

W pokoju już był półmrok i słyszałam szczebiot skowronków.

Chciałam wstać i... usnęłam.

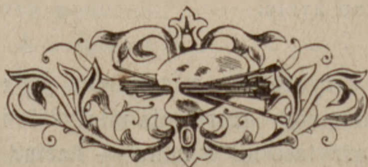
Niezadługo obudził mnie dzwonek, wzywający służbę folwarczną do pracy. Czwarta godzina—zaczyna się wiejski dzień roboczy.

Po raz tysiączny zadawałam sobie pytanie: duch, czy sen?

O, gdyby sen!

Stasia mi mówiła, że lepiéj wyglądam.

Jerzy Algos.



SPRAWY EKONOMICZNE.

II.

Złoto i srebro. Projekt nowego systemu monetarnego.

Kruszce szlachetne w starożytności. — Bogactwa Aleksandra Wielkiego. — Skarby w Rzymie. — Spadek nowym czasom. — Odkrycie Ameryki. — Statystyka wytwórczości kruszców podług Aleksandra Humboldt'a, A. Soetbeer'a i E. O. Leech'a. — Wytwórczy stosunek złota do srebra. — Cztery okresy produkcyi i kruszców. — Kalifornia. — Australia. — Krach srebrny. — Historyczny przegląd stosunku złota do srebra w różnych państwach. — „Bland bill." — „Sherman bill." — Stan wytwórczości złota w Rosyi. — Syberya. — Ogólny obieg monetarny w Rosyi. — Produkcya złota w Afryce. — Jaka jest obecna ilość monet złotych i srebrnych. — *Report of the Director of the Mint.* — Czy istnieje naturalny stosunek złota do srebra? — Konferencya monetarna w Paryżu 1867 r. — Mowa de Parieu. — Kłopot z 52 miliardami franków w srebrze. — Konferencya monetarna 1878 r. — Głos Goschen'a. — Konferencya 1881 i 1892 r. w Brukselli. — Oświadczenia: A. Rothschild'a, Sir Wiliama Riversa i delegatów niemieckich. — Projekty monetarne A. Rothschilda, Moritz-Lévy, C. F. Tietgena, W. Houldsworth'a, Montefiore-Lévy-Sainctellete'a.—Główne zasady proponowanego przez nas systemu monetarnego.— Monometalizm bimetalowy. — Bimetal i monety bimetaliczne. — Program przyszłego kongresu monetarnego.

Kruszce szlachetne: złoto i srebro znane były w najgłębszéj starożytności, dobywano je w różnych stronach, głównie zaś w Indyach wschodnich, nad brzegami Gangesu i w Chinach. Starożytni pisarze wspominają o niezliczonych bogactwach królów perskich, Krezusa, lecz podania ich prawdopodobnie są zbyt przesadzone. Podług Stra-

bona np. Aleksander Wielki miał zgromadzić w Ekbatanie 180,000 talentów, równających się 2,900,000 kilogramom kruszców, to jest ilość, z uwagi na ówczesny stan wiedzy i techniki, zupełnie nieprawdopodobną. Na większą wiarę zasługują źródła rzymskie, podług których w 597 r. miało się znajdować w *aerarium* 17,410 funtów rzymskich złota i 40,300 funtów srebra. Za Juliusza Cezara w skarbie rzymskim było 800 milionów sestercyi t. j. 171 milionów franków, a w czasach Tacyta aż dwa miliardy franków. Lecz nie zapominajmy, że legiony rzymskie plondrowały w trzech częściach świata, mogły więc zgromadzić tak olbrzymie bogactwa.

Naturalnie, że o statystyce wytwórczości kruszców w starożytności, a nawet i w wiekach średnich nie może być mowy. Sądząc jednak z faktów, że podczas wędrówek ludów większa część skarbów zaginęła, a także i z tego, że w wiekach średnich był ogólny i dotkliwy niedostatek monet, przypuszczać należy, że w chwili odkrycia Ameryki, złota i srebra było w obiegu co najwyżéj 1—2 miliardów franków.

Dopiéro od czasów odkrycia Ameryki posiadamy już pewne dane o wytwórczości szlachetnych kruszców, które następnie usystematyzował Aleksander Humboldt i ostatecznie obrobił Dr. Adolf Soëtbeer. Obecną powagą w dziedzinie statystyki wytwórczości kruszców szlachetnych jest E. O. Leech dyrektor mennicy Stanów Zjednoczonych.

Podług danych statystycznych zebranych, przez A. Humboldta i sprawdzonych przez A. Soëtbeer'a wytwórczość srebra i złota wynosiła średnio rocznie:

rok	złota kilogramów	srebra kilogramów	wartość ogólna roczna milionów franków
1493—1520	5,800	47,000	30,4
1521—1544	7,160	90,200	44,7
1545—1560	8,510	311,600	98,6
1561—1580	6.840	299,500	90,2
1581—1600	7,380	418,900	118,6
1601—1620	8,520	422,900	123,4
1621—1640	8,300	393,600	116,1
1641—1660	8,770	366,300	111.6
1661—1680	9,260	337,000	106,8
1681—1700	10,765	341,900	113,1
1701—1720	12,820	355,600	123,3
1721—1740	19,080	421,200	161,5
1741—1760	24,610	533,145	203,3
1761—1780	20,705	652,740	216,5
1781—1800	17,790	879,060	256,8
1801—1810	17,778	894,150	260,1
1811—1820	11,445	540,770	159,7

rok	złota	srebra	wartość ogólna roczna
	kilogramów		milionów franków
1821—1830	14,216	460,560	151,4
1831—1840	20,289	596,450	202,5
1841—1850	54,759	780,415	362,2
1851—1855	197,515	886,115	887,6
1856—1860	206,058	904,990	911,2
1861—1865	198,207	1,101,150	882,6
1866—1870	191,900	1,339,085	958,9
1871—1875	170,675	1,969,425	1,025,9

Wartość ogólna obliczoną została w ten sposób, że przyjmując stosunek złota do srebra jak 1 : 15½ liczono:

Kilogram czystego złota po 3,444 frank. 44 cent.
„ „ srebra „ 222 „ 22 „

Tym sposobem od r. 1493 do 1875 dobyto:

złota	9,453,345 kilogram.	wartości 32,573	milionów franków
srebra	180,511,485 „	„ 40,127	„
		razem 72,700	milionów franków

Jak wielką odgrywała rolę w tej wytwórczości Ameryka, przekonywają nas poniższe liczby, mianowicie z powyższej sumy 72,700 milionów franków dobyto:

	złota	srebra	razem
	miliardów franków		
w Ameryce południowej	10	16	26
„ Meksyku	1	17	18
„ Stanach Zjednoczonych	7	1	8
razem	18	34	52

zatém z ogólnéj wytwórczości szlachetnych kruszców od 1493—1875 roku przypada na Amerykę 71½%, a na pozostałe części świata tylko 28½%.

Od 1876 r. statystykę wytwórczości złota i srebra prowadzi daléj wspomniany już E. O. Leech. Podług niego dobyto:

rok	złota	srebra wartość w monetach	srebra wartość handlowa
	milionów franków		
1876	537,3	453,9	405,8
1877	590,7	419,7	389,8
1878	616,6	492,2	438,6
1879	564,8	497,4	432
1880	551,8	501	443,7
1881	533,7	528,5	465,2

rok	złota	srebra wartość w monetach	srebra wartość handlowa
	m i l i o n ó w	f r a n k ó w	
1882	528,5	611,4	509
1883	494,3	597,4	512,9
1884	526,9	546,6	470,6
1885	561,7	614	505,5
1886	549,2	624,9	480,7
1887	547,7	643,9	487,2
1888	570,5	729	530
1889	639,8	840,2	607,6
1890	587,1	892,4	727,7
1891	624,4	967,5	739,3
1892	677,8	1018,7	689,4
razem	9702,8	10978,7	8832

E. O. Leech liczy kilogram:

czystego złota po 664 dolary 60 cent.
„ srebra „ 41 „ 56 „

przyjmując stosunek złota do srebra jak 1 : 16, aby więc zrównać jego wyliczenia z obliczeniami A. Soëtbeera, należy powyższe liczby powiększyć o 3%. Tym sposobem ogólna wytwórczość szlachetnych kruszców od 1493—1892 r. wynosi:

	złota	srebra	razem
	m i l i o n ó w	f r a n k ó	w
1493—1875	35,573	40,127	72,700
1876—1892	9,703	11,308	21,011
ogółem	42,276	51,435	93,711

a ponieważ jeden kilogram:

czystego złota = 3,444 franków 44 cent.
„ srebra = 222 „ 22 „

więc obliczając z liczb powyższych wagę kruszców, okaże się, że w ciągu ostatnich czterech stuleci t. j. od 1493—1892 r. dobyto:

czystego złota 12,273,693 kilogram.
„ srebra 231,459,814 „

co równa się w y t w ó r c z e m u s t o s u n k o w i złota do srebra:

jak 1 : 18 $^{17}/_{20}$

Nie mamy dostatecznych danych statystycznych, jaką była wytwórczość szlachetnych metali każdego po szczególe państwa w ciągu

ostatnich czterech wieków, ograniczamy się przeto na statystyce czterech lat (1885—1888 r.), podanéj przez E. O. Leecha, mianowicie:

d o b y t o z ł o t a:

	1885 r.	1886 r.	1887 r.	1888 r.
	k i l o g r a m ó w			
w Stanach Zjednoczonych	47,848	52,663	49,654	49,917
„ Australii	41,287	39,761	41,119	41,119
„ Rosyi	36,864	30,872	30,232	32,052
„ Chinach	15,047	15,800	14,294	13,542
„ Afryce	2,083	2,163	2,888	6,771
„ Chili	500	500	2,395	2,295
„ Kolumbii	3,762	3,762	4,514	2,257
„ Kanadzie	1,679	2,002	2,061	2,061
„ Austro-Węgrzech	1,774	1,774	1,877	1,877
„ Niemczech	1,378	1,065	2,251	1,810
„ Meksyku	1,304	924	1,240	1,465
„ Wenezueli	7,033	5,020	5,020	1,424
„ Indyach-Wschodnik	203	634	481	1,008
„ Japonii	265	492	564	564
„ Brazylii	1,204	1,502	1,502	331
„ innych krajach	931	807	671	807
razem	163,162	159,741	160,763	159,400

d o b y t o s r e b r a:

w Stanach Zjednoczonych	1,426,326
„ Meksyku	995,500
„ Boliwii	264,000
„ Chili	205,000
„ Peru	75,000
„ Kolumbii	28,000
„ Kanadzie	10,826
„ Argentynie	10,226
„ Ameryce środkowéj	8,422
ogółem w Ameryce	3,023,300
w Australii	120,308
„ innych krajach	283,657
razem	3,427,265

Wytworczość srebra w 1892 r. obliczoną została na 152 miliony uncyj, z których dobyto:

w Niemczech	6,130,000	uncyi
„ Francyi	2,290,000	„
„ Austro-Węgrzech	1,670,000	„
„ Włoszech	1.650,000	„

w Hiszpanii	890,000	„
„ Rosyi	450,000	„

Historyę wytwórczości kruszców można podzielić na cztery peryody:

I	od	x do 1492 r.
II	„	1493—1850 „
III	„	1851—1875 „
IV	„	1876—obecnych czasów

Pierwszy peryod, którego początek gubi się w głębokiéj starożytności, dobiega kresu z chwilą odkrycia Ameryki. Okres to czasu bardzo ubogi w wytwórczość szlachetnych metali, których zresztą większa część bezpowrotnie zaginęła, pozostawiając w spadku drugiemu okresowi najwyższéj 1—2 miliardów franków w złocie i srebrze. Drugi peryod odznacza się powolnym, ale ciągłym wzrostem wytwórczości drogich metali. Średnia produkcya złota i srebra z 30 milionów franków wzrosła w końcu do 362 milionów rocznie. To téż w tym okresie równowaga pomiędzy kruszcami niewielkim podlegała wahaniom. Okres trzeci rozpoczęły dwa fakta niezmiernéj doniosłości, mianowicie, odkrycie kopalni złota w Kalifornii i prawie jednocześnie w Australii. Wytwórczość złota z 54,759 kilogramów raptownie wzmaga się; dosięgnąwszy w 1855—1860 r. 206,058 kilogramów rocznie. W tymże czasie wzrasta i produkcya srebra, ale już bardziéj równomiernie.

Okres obecny rozpoczyna się jawném i silném naruszeniem równowagi pomiędzy złotem i srebrem. Wytwórczość żółtego kruszcu jakby się zatrzymała a nawet i chwilowo obniżyła (w 1876 i 1883 r.), gdy tymczasem statystyka produkcyi srebra zaznacza gwałtowne skoki. I tak, menniczna wartość wytwórczości srebra z 435 milionów franków w 1876 r. podniosła się do 1018 milionów fr. w 1892 r., skutkiem odkrycia nowych bogatych kopalni na zachodzie Stanów Zjednoczonych i w Meksyku.

Tak gwałtowny wzrost produkcyi białego metalu, wobec jednoczesnego prześladowania tegoż na całym niemal kontynencie starego świata, nie mógł pozostać bez wielkiego wpływu na cenę srebra, co naturalnie wywołało obecny, tak ostry kryzys monetarny.

Główném targowiskiem dla kruszców jest Londyn. Notowania londyńskie srebra oznaczają się w pensach ($^1/_{240}$ Ł.) za uncyę *standard* t. j. za 31,1 gramów srebra algierowanego, w którym znajduje się $^{925}/_{1000}$ czystego srebra, co odpowiada francuskiemu *pari* (przy stosunku 1 : $15^1/_2$) $60,13^4/_{16}$ pensa za uncyę. To mając na uwadze, przyjrzyjmy się wahaniom cen srebra na giełdzie londyńskiéj, w ciągu ostatnich 23 lat I tak:

rok	średnia cena za uncyę *standard* srebra w Londynie pensów	co odpowiada stosunkowi złota do srebra jak:
1871	60,56	1 : 15,57
1872	60,25	1 : 15,65
1873	59,25	1 : 15,92
1874	58,31	1 : 16,17
1875	56,75	1 : 16,62
1876	53.05	1 : 17,78
1877	54,71	1 : 17.21
1878	52,55	1 : 17,92
1879	51.31	1 . 18,37
1880	52,21	1 : 18,06
1881	51,83	1 : 18,20
1882	51.72	1 : 18,25
1883	50,75	1 : 18,58
1884	50,63	1 : 18,62
1885	48,48	1 : 19,45
1886	45,34	1 : 20,80
1887	44,61	1 : 21,13
1888	42,71	1 : 22,08
1889	42,68	1 : 22,99
1890	47,68	1 : 19,79
1891	45.12	1 : 20,90
1892	39,87	1 : 23,62
1893 (31 grudn.)	31,75	1 : 29,70

Z powyższego widzimy, że w ciągu ostatnich 23 lat srebro względnie do złota, straciło na wartości $47^3/_5$%.

Taki jest obecny stosunek złota do srebra, przypatrzmy się z kolei, jakie było wzajemne na siebie oddziaływanie tych kruszców w ciągu minionych wieków.

W Babilonie bito monety złote i srebrne w stosunku $1:13^1/_3$ t. j. że jednostka wagi złota równała się pod względem wartości $13^1/_3$ takimże jednostkom wagi srebra.

W Grecyi, pierwotny stosunek złota do srebra wyrażał się jak 1 : 10, za Demostenesa wynosił już jak 1 : 14, w końcu jak $1:14^2/_5$, a nawet 1 : 18.

Rzym posiadał podwójną walutę: srebrną i miedzianą. W handlu zewnętrznym używano złota, wyrażając jego stosunek do srebra jak 1 : 11,91, złoto jednak miało obieg nie w formie monet, lecz w sztabkach. Przytém w zobowiązaniach handlowych powinno było być jasno wyrażoném, w jakim kruszcu miała być dopełniona wypłata. Dopiéro Juliusz Cezar wprowadził bicie monet złotych.

W średnich wiekach powrócono do stosunku złota i srebra jak 1 : 10. Stosunek ten w XVI wieku wyrażał się jak 1 : 11, a w XVII i XVIII stuleciu jak 1 : 14 i 1 : 15,41.

W Polsce, początkowo stosunek dwóch kruszców wyrażał się jak 1 : 12. W 1766 r. jak 1 : 14¼ i 1786 r. jak 1 : 15¼.

W ciągu dwóch ostatnich stuleci Francya zajmowała naczelne miejsce w ustawodawstwie monetarném. Od 1726 r. prawny stosunek złota do srebra wyrażał się jak 1 : 14⅝, lecz stosunek ten był niekorzystny dla złota, które zaczęło emigrować. Za sprawą Calonne'a wydano deklaracyę królewską z 30 października 1785 r., mocą której wycofano z obiegu stare Louisd'ory i przebito w stosunku 1 : 15½. Ustawą monetarną 1803 r. utrwalono ten stosunek dwóch kruszców.

Ustawa powyższa, ewentualnie zaś deklaracya królewska 1785 r. miała niezmierną doniosłość dla całego świata, albowiem francuski system monetarny w ciągu całego niemal stulecia był regulatorem wzajemnego stosunku dwóch kruszców. Główną zasadą tego systemu jest, że frank srebrny powinien ważyć 15½ razy więcéj, aniżeli frank w złocie, i że z jednego kilograma spławu zawierającegr $^{900}/_{1000}$ czystego złota ma się bić 3,100 franków w złocie, a z jednego kilograma spławu zawiérającego także $^{900}/_{1000}$ czystego srebra 200 franków monetą srebrną. Francya ze wszystkich państw w całym świecie ma najbogatszy obieg metaliczny, więc chociaż w różnych czasach silnie odpływało z niéj bądź srebro, bądź złoto, to jednak ubytek, przy rozsądnym i praktycznym kierunku banku francuskiego, nie nadwyrężał zbyt dotkliwie równowagi w obiegu metalicznym. Dopiéro nieszczęsne skutki wojny z Niemcami zwichnęły równowagę dwóch kruszców. Dodać należy, że na mocy ustawy 1803 r., każdy obywatel miał prawo przynieść do banku francuskiego bądź złoto bądź srebro i zażądać przebicia onego na odpowiednią monetę. Otóż Niemcy posiadając wielkie zapasy srebra z kontrybucyi francuskiéj, różnemi sposobami posyłali takowe do Francyi dla przebicia i zamiany na złoto. Tym sposobem bank francuski zagrożony zupełném wyczerpaniem zapasów złota, zmuszony był 6 września 1873 r. zawiesić prawo dozwalające osobom prywatnym żądać przebicia srebra na monetę.

W 1865 r. Włochy, Szwajcarya i Belgia zawarły konwencyę monetarną z Francyą, na mocy któréj przyjęły francuski system monetarny, warunkując wspólny obieg monet złotych, a także pięciofrankówek srebrnych, zastrzegając przytém, aby każde z państw związkowych biło najwyżéj po sześć franków monetą zdawkową, na każdego ze swoich mieszkańców. W 1868 r. do téj konwencyi przy-

stąpiła G r e c y a, ale bez praktycznych rezultatów, z powodu przymusowego kursu swojéj monety papierowéj.

H i s z p a n i a zaprowadziła u siebie w 1868 r. francuski system monetarny.

W P o r t u g a l i i od 1844 r. istnieje waluta złota.

W N i d e r l a n d a c h ustanowiono w 1816 r. podwójną walutę normując stosunek złota do srebra jak 1 : 15$^{7}/_{8}$, który w 1839 r. zmieniono na 1 : 15.$_{604}$. W 1850 r. zniesiono system bimetaliczny i przyjęto za podstawę walutę srebrną.

W i e l k a B r y t a n i a do 1816 r. hołdowała bimetalizmowi, przy zachowaniu stosunku złota do srebra jak 1 : 15.21. Pieniądze papierowe miały *disagio* dochodzące w 1815 r. do 26$^{1}/_{2}$%. W 1816 r. zaprowadziła wyłącznie walutę złotą.

A u s t r y a w końcu wojny siedmioletniéj, mianowicie w 1762 r. wprowadziła obieg powierczy, początkowo bez kursu przymusowego, gdy jednak ten obieg wzrósł do 1 miliarda floren., a szlachetne metale zniknęły, to w 1811 r. nastąpilo bankructwo i bilety zredukowano do $^{1}/_{5}$ wartości nominalnéj. Nowe bilety wypuszczono pod nazwą „waluty wiedeńskiéj" (*Wiener Währung*). W 1814 r. powstał bank narodowy, który emitował swoje bilety wymienialne na srebro i powoli wycofywał z obiegu papierki państwowe, przyjmując 250 fl. temiż za 100 fl. srebrem lub banknotami. W 1848 r. zawieszono wymianę biletów bankowych na srebro. I takie to szczęście monarchii austryackiéj, że kiedy już wszystko było przygotowane do wznowienia wymiany banknotów na srebro — następowała wojna. Tak było w 1859 i 1866 r., czyżby i obecna reforma monetarna w Austro-Węgrzech miała być zwiastunem wojny? Do téj reformy monetarnéj Austrya od dosyć dawna się przygotowuje, lubo w tych przygotowaniach ujawnia się wielkie wahanie, związana jednak trójprzymierzem i traktatem handlowym z Niemcami, naśladuje alianta w zaprowadzeniu waluty złotéj, ku czemu silnie ją téż popycha p. Plener, obecny minister skarbu.

W N i e m c z e c h od 1857 r. istniała waluta srebrna. Prawami z 14 grudnia 1871 i 9 lipca 1873 r. wprowadzono walutę złotą. Niemiecki Zollverein w 1857 r. zawarl z Austryą umowę monetarną celem wprowadzenia wspólnego obiegu na podstawie srebra. Talar niemiecki powinien zawierać takąż ilość czystego srebra co 1$^{1}/_{2}$ flor. austryackiego. Umowa powyższa ekspirowała w 1866 r. i kiedy Niemcy później wprowadziły u siebie walutę złotą, utrzymując dla srebra obieg obowiązkowy, to zapasy z Austryi emigrowały do Niemiec przyprawiając je o znaczne straty. W 1879 r. ks. Bismarck wstrzymał przedaż

srebra w Niemczech, z przyczyny, jak objaśnił Dechend, aby podnieść cenę srebra, jednak do tego czasu główna część reformy monetarnéj w Niemczech była już przeprowadzona.

W państwach skandynawskich w 1872—1875 r. wprowadzono walutę złotą.

W Indyach Wschodnich od 1835 r. istnieje waluta srebrna, ale bicie srebrnych monet obecnie zawieszono.

Stany Zjednoczone zaprowadziły w 1786 r. walutę bimetaliczną, zachowując stosunek złota do srebra jak 1 : $15^{1}/_{4}$, który w 1792 r. obniżono do 1 : 15 i w 1834 r. jak 1 : 16. Podczas wojny domowéj, mianowicie w 1862 r. emitowano monetę papierową pod nazwą *greenbacks*, która wyparła z obiegu złoto i srebro. Aktem kongresu z dnia 2 kwietnia 1873 r. powrócono do wypłat metalicznych, przyczém zawieszono bicie srebrnych dolarów, ograniczając moc obowiązkową dla srebra do 5 dolarów. W lutym 1878 r. *Bland-bill* ustanowił zakup srebra od 2—4 milionów dolarów miesięcznie, celem bicia srebrnych dolarów, lecz ponieważ publiczność stroniła od srebra, to uchwalony 14 lipca 1890 r. *Sherman-bill* uwolnił skarb od bicia onych, powiększając jednak obowiązkowe zakupy srebra do $4^{1}/_{2}$ milionów uncyi miesięcznie. Na zakupione srebro wydawano certyfikaty, które można było wymieniać bądź na złoto bądź na srebro, aby jednak uniknąć łażu na złoto, certyfikaty wymieniano wyłącznie na złoto, którego zapasy tym sposobem szybko wyczerpywały się, powodując w rezultacie zniesienie *Sherman-bill*'u.

Na podstawie *Bland-bill*'u nabyto srebra za	308,199,262	dolar.
i wskutek *Sherman-bill*'u do 1 czerwca 1893 r.	143,591,569	„
razem nabyto srebra za	451,790,831	dolar.

z tego wybito srebra od 1878—1 czerwca 1893 r. za 419,332,305 dolarów, gdy tymczasem od chwili otwarcia mennicy w Stanach Zjednoczonych do chwili zaprzestania bicia srebrnych dolarów t. j. od 1792—1873 r. wybito monet srebrnych tylko za 80,458,383 dolary, zatém w ciągu ostatnich trzynastu lat wybito przeszło pięć razy więcéj, aniżeli w ciągu poprzednich 80 lat. Zapasy złota w skarbie zeszły z 218 milionów dolarów w 1878 r. do 95 milionów dolarów w czerwcu 1893 r. W tymże czasie wywieziono ze Stanów Zjednoczonych złota za 328 milionów dolarów, a przywieziono tylko za 114 milionów dolarów.

Stan obiegu monet w Stanach Zjednoczonych obliczono w dniu 1 czerwca 1893 r.:

złotem	553	milion. dolar.
w certyfikatach na złoto	132	„ „
srebrem	380	„ „
w *greenbacks*'ach	336	„ „
banknotach	165	„ „
razem	1,596	milion. dolar.

co równa się 23 dolar. 88 cent. na jednego mieszkańca.

W Rosyi, *de jure*, jednostką monetarną jest rubel srebrny, ale faktycznie w państwie znajduje się w obiegu 20—25 milionów rubli srebrem (oprócz monety zdawkowéj), gdyż srebro w dawniejszych czasach wyemigrowało. Gdy więc monety srebrne znikły z kas i obiegu, a późniéj spadła cena srebra, — rozmaite postanowienia prawodawcze wprowadzały niejako monetę złotą. I tak, zaprzestano bicia monet srebrnych, zaprowadzono opłatę ceł złotem, również i pożyczki państwowe zagraniczne, wyrażone były w złotym kruszcu. Gdy przytém kurs biletów kredytowych w roku zeszłym był znacznie wyższy od rubla srebrnego, to aby uniknąć przypływu monety srebrnéj do Rosyi, w lipcu r. z. wydano zakaz przywozu tejże z zagranicy.

Co się tyczy złota, to kruszec ten dobywa się w Rosyi na Uralu i Syberyi, w ostatnich czasach czyniono poszukiwania na Kaukazie, lecz dotąd osiągnięto rezultaty małoznaczące. W 1892 r. dobyto złota:

na Uralu	754	pudów
w Syberyi	1.847	„
razem	2,601	pudów

Z ilości téj przypada:	na wytwórczość prywatną	$2,480^1/_2$	pudów
	„ „ gabinetu J. C. Mości	$120^1/_2$	„
	razem jak wyżéj	2,601	pudów

licząc pud czystego złota po 14,104 rubl. zł., wytwórczość żółtego metalu w Rosyi w 1892 r. równała się 36,684,504 rubl. złot. przy udziale 91,500 robotników.

W ostatnim dziesiątku lat dobyto w Rosyi złota, a mianowicie:

rok	pudów	rok	pudów
1883	2,181	1888	2,146
1884	2,178	1889	2,274
1885	2,015	1890	2,403
1886	2,041	1891	2,382
1887	2,128	1892	2.601

Wytwórczość kruszcu złotego w Rosyi, w niedalekiéj przyszłości zapowiada się nader świetnie i wydać może zupełnie nieoczekiwa-

ne przedtém rezultaty. Zdanie swoje opieramy na następujących danych:

w 1890 r. ze 100 pudów piasku, dobyto, złota:

		zołotników	doli
w gubernii	permskiéj		$41^1/_2$
„	oremburskiéj		$35^3/_4$
„	tomskiéj		36
„	irkuckiéj i jenisejskiéj		$28^3/_4$
„	jakuckiéj	2	$37^3/_4$
w okręgu	zabajkalskim		$53^1/_2$
„	amurskim	1	$60^1/_4$
„	nadmorskim		$49^3/_4$

W Rosyi złoto dobywa się głównie sposobem mechanicznym, za pomocą płuczki piasków złotonośnych, lub amalgamacyi, otrzymywanie złota z rud dotąd gra niewielką rolę, jako nader mozolne i kosztowne (w 1890 r. otrzymano na Uralu złota z rud 153 pudy). Dopiéro w 1891 r. inżynier Pałaszkowski i sukcesorowie Paklewskiego-Koziełło przyjęli sposób otrzymywania złota drogą chemiczną, głównie sposobem wynalezionym przez saskiego chemika Plattner'a. Najmniejsza ilość złota dobywanego z korzyścią na Uralu powinna wynosić najmniéj 20 doli w 100 pudach, gdy nad Amurem i w gub. jakuckiéj zarzucano roboty, jako nieopłacające się, jeżeli w 100 pudach piasku otrzymano nawet 1 zołotnik złota. Tymczasem w Ameryce północnéj dobywa się złoto przy zawartości 5—10 doli, rzadko więcéj, a nawet *minimum*, nie bez korzyści, zniża się tam do 2 doli w 100 pudach piasku. Liczby i porównania powyższe wskazują, jak bogate w żółty kruszec są złotonośne piaski Syberyi i jak, siłą okoliczności, niedbały wyzysk. Koszt utrzymania robotnika np. w gub. jakuckiéj wynoszący 700—800 rubli rocznie, koszt dostawy maszyn, narzędzi i artykułów żywności, które trzeba wieźć kilka tysięcy wiorst po bezdrożnéj i bezludnéj prawie przestrzeni, rozwiązuje nam zagadkę, dlaczego zarzucane są kopalnie z taką zawartością kruszcu, którą w Stanach Zjednoczonych zaliczanoby do olbrzymich bogactw. Gdy przytém weźmiemy na uwagę, że zbadane dotąd w Syberyi obszary złotonośne są kilka razy większe od kalifornijskich i australskich, to przypuszczenie nasze o świetnéj przyszłości wytwórczości złota w Syberyi, z ukończeniem budowy kolei syberyjskiéj, chyba nie będzie nieprawdopodobne.

Podług bilansu z d. 10/22 stycznia r. b., w Banku państwa znajdowało się:

złotem	577,004,910 r. 12 kop.
złotem i srebrem	30.490,538 „ 33 „
razem zapasy metaliczne wynosiły	607,495,448 r. 45 kop.

dodawszy do tego:		
monety srebrne w obiegu	23,000,000 —	
emisyę biletów kredytowych	1,196,281,634 —	
ogólny obieg w Rosyi wynosił	1,826,777,082 r.	45 kop.

oprócz monety złotéj, będącéj w obiegu w ilości niewiadoméj, oprócz monety zdawkowéj, biletów skarbu państwa (seryi) i znacznéj ilości kuponów, mających w państwie faktyczny charakter monety obiegowéj. Podług naszych obliczeń, obieg monetarny w Rosyi wynosi na jednego mieszkańca około 18 rubli, bądź w metalu, bądź w znakach powierczych.

W ostatnich latach wytwórczość złota w Afryce przybrała znaczne obszary. Podług Georga Heim (w dziele: *Ist eine Abnahme der Goldproduktion zu befürchten?* Berlin 1893 r.) w południowéj Afryce w Transwaalu produkcya złota wzrosła z 2,888 kilogram. w 1887 r. do 43,369 kilogram. w 1892 r. Przestrzeń złotodajna dotąd zbadana leży pomiędzy 18^0—30^0 szerokości południowéj i 26^0—33^0 długości wschodniéj podług południka w Greenvich. Złoto alluwialne spotyka się nader rzadko (około 6,000 uncyi w 1892 r.) wogóle zaś dobywa się z rud, podług najnowszych wyników nauki i przy pomocy udoskonalonych maszyn angielskich. Że zaś złoto w południowéj Afryce dobywa się prawie wyłącznie z rud złotodajnych, jest nadzieja, że wytwórczość przetrwa długie lata, tém więcéj, że i koszta produkcyi, skutkiem zbudowania całéj sieci dróg żelaznych, już w ostatnich latach znakomicie się obniżyły (z 60 shill. w 1890 r. do 22 shill. w 1892 r.).

Wyżéj przytoczyliśmy statystykę wytwórczości kruszców, która wskazuje, że w ciągu ostatnich czterystu lat dobyto:

złota	za	42,276	milionów	franków
srebra	„	51,435	„	„
razem	za	93,711	milionów	franków

ale z téj ilości znaczna część użytą została w przemyśle, część zatracono skutkiem starcia, zakopywania w ziemi, w murach i t. p.; jakąż więc ilością posługuje się obecny wszechświatowy obieg monetarny?

Na to pytanie statystyka nie daje dokładnéj odpowiedzi. Są jednak pewne wskazówki, na podstawie których można oznaczyć prawdopodobną ilość istniejących monet złotych i srebrnych. *Report of the Director of the Mint* Stanów Zjednoczonych za 1891 r. oblicza obieg monetarny:

	w złocie	w srebrze	razem
	milionów	franków	
w W. Brytanii	2.942	562	3.504
„ Francyi	4,815	3,745	8,560
„ Niemczech	2,889	1,177	4,066
„ Stanach Zjedoczonych	3,589	2,883	6.472
razem	14,235	8,367	22,602

To są główne zbiorniki monety, zwłaszcza złotéj (wielkie ilości srebra posiadają Indye Wschodnie i Chiny), przypuszczalną zatém ilość kruszców można oznaczyć: w monecie złotéj 20—22 miliardów i w monecie srebrnéj 25—28 miliardów, razem 45—50 miliardów.

Z powyższego przeglądu historyczno-statystycznego widzimy, że nie może być nawet mowy o jakimś naturalnym stosunku wartości złota do srebra. Różnice w wzajemnym stosunku tych dwóch metali były zawsze, nawet w najgłębszéj starożytności, bardzo znaczne i takiemi i nadal pozostaną wbrew wszelakim środkom prawodawczym, przy szerszém wznowieniu bimetalizmu. Lecz z drugiéj strony i monometalizm nie rozstrzyga kwestyi monetarnéj, raz z przyczyny, że złota jeszcze zbyt mało, aby mogło wystarczyć wszelakim potrzebom, a powtóre, że srebro zawsze będzie zbyt drogim towarem, aby mogło być użyte w przemyśle w całkowitéj wytwórczości i zbyt cennym metalem, aby mu można odjąć charakter znaku pieniężnego.

Pod wpływem raptownego zwiększenia się wytwórczości złota wskutek odkrycia kopalń w Kalifornii i Australii sądzono, że żółty kruszec sam jeden uczyni zadosyć potrzebom obiegowym. Teorya monometalizmu wszechwładnie zapanowała tak, że już konferencya monetarna w Paryżu 1867 r. prawie jednogłośnie postanowiła zalecić złoto jako jedyny metal godny i możliwy do bicia monet. Na ostatniém posiedzeniu konferencyi, de Parieu przedstawiciel Francyi powiedział: „*Par la plus remarquable des unanimités, alors qu'aucune condition préalable de conformité d'opinion n'avait été ni recherchée ni prévue, votre Conférence, ne comptant, sur vingt États dont vous êtes les délégués, que deux pays seulement, dans lesquels l'or soit la monnaie normale, a été cependant d'avis* de chercher dans l'étalon d'or, avec l'argent, au besoin comme son compagnon transitoire, la base des rapprochements monétaires de l'avenir. *La Conférence s'est ainsi prononcée en principe pour l'unité de l'étalon d'or comme pouvant avoir des raisons d'être temporaires dans la législation de certains Etats habitués à ce régime ou placés, jusqu'à présent, sous la loi de l'étalon d'argent exclusif.*"

Słowa powyższe są jaknajdokładniejszém streszczeniem całéj pracy konferencyi, ale téż i najzupełniejszym dowodem jak często pod wpływem zwodniczych teoryi traci się jasność poglądu na całość kwestyi, do rozwiązania któréj było się powołanym. Oponentami przeciw postanowieniom konferencyi były tylko Niderlandy i — Ludwik Wołowski, ale głos jego był wtedy głosem wołającego na puszczy.

I w saméj rzeczy, przypuśćmy nawet, że nietylko wówczas t. j. w 1867 r. ale i obecnie jest dostateczna ilość złota dla pokrycia zapotrzebowań, to cóż zrobić z tą olbrzymią masą białego kruszcu, wartości 52 miliardów franków, zgromadzonych w ciągu czterech stuleci. Konferencya paryska 1867 r. oświadczając się za złotem, nie wskazała dostatecznie roli, bo zresztą i wskazać nie mogła, jaką ma w przyszłości odgrywać srebro, i to właśnie było achillesową piętą rzeczonéj konferencyi.

Z postanowień téj konferencyi skorzystały pierwsze Niemcy, chociaż ten wynik, co prawda, sprowadziła kontrybucya francuska. Lecz już w kilka lat potém praktyka wykazała wartość doktrynerskich teoryi. Stany Zjednoczone wydały *Bland bill* na korzyść srebra powodując tém zwołanie konferencyi monetarnéj w 1878 r., któréj przedmiotem miało być według słów Fentona w zagajeniu konferencyi: „fixer un rapport commun entre l'or et l'argent, dans le but de rendre international l'usage de la monnaie bimétallique et d'assurer la fixité de la valeur relative des deux métaux."

Na téj konferencyi z całą siłą starły się dwa obozy: mono- i bimetalistów, ale już w samém starciu można było dostrzedz przejścia obu partyi od doktrynerstwa do praktyki. Na szczególniejszą uwagę zasługuje mowa Goschena, w któréj między innemi powiedział: „Si la démonétisation de l'argent était pratiquée partout à la fois, est-on bien sûr que la quantité d'or actuellement existante suffirait aux besoins de la circulation? N'y aurait il pas lieu de craindre, d'un côté la baisse de l'argent, et de l'autre une augmentation dans la valeur de l'or, et une baisse correspondante dans les prix de toutes les marchandises? Et puis, ne serait-il pas plus difficile aux pays de papier-monnaie de revenir à la circulation métallique si l'étalon d'or unique était adopté partout? Certes, il y a bien des conséquences à envisager avant de se lancer dans la voix de l'étalon d'or universel. La propositon américaine, *impliquant le double étalon universel, est impossible à réaliser, une véritable utopie; mais l'adoption de l'étalon d'or unique en serait une autre*, et celle-là tout à fait fausse. *L'intérêt du monde exige que les deux métaux conservent leur position d'agents monétaires.*"

Prześladowanie srebra, ujawniające się w przedażach tego metalu przez Niemcy i zaprzestanie bicia monety srebrnéj w mennicach związku łacińskiego, a stąd podrożenie złota, kryzys w przemyśle i rolnictwie, oraz wzrastanie nędzy w klasach pracujących, spowodowały zwołanie międzynarodowéj konferencyi monetarnéj w 1881 r., która również, jak i jéj poprzedniczki była bezpłodną.

Nakoniec za sprawą Stanów Zjednoczonych zebrała się w Brukselli w 1892 r. konferencya monetarna międzynarodowa, celem przywrócenia zwichniętéj równowagi pomiędzy dwoma kruszcami, przez wskazanie roli jaką ma srebro odgrywać w przyszłości. Na téj konferencyi delegaci Stanów Zjednoczonych złożyli deklaracyę:

1-o że przywrócenie stałego stosunku wartości dwóch metali, z nadaniem onym kruszcom cech surrogatów monety, będzie miało dobroczynny skutek dla wszystkich narodów.

2-o że te błogie skutki mogą być osiągnięte przez zniesienie ograniczeń bicia monety srebrnéj i ustanowienie stosunku wartości dwóch kruszców.

Na żadnéj jeszcze z poprzednich konferencyi delegaci mocarstw nie byli tak chętni do wynajdywania środków złagodzenia kryzysu monetarnego, ale téż i żadna z poprzednich konferencyi nie była tak bezpłodną. Artur Rothschild, delegat W. Brytanii zaznaczył: że: „Il ne m'est pas nécessaire, Messieurs, de vous rappeler que le stock d'argent du monde entier est éstimé à quelques milliards de livres sterling, et si le Congrès actuel se séparait sans arriver à un résultat définitif, ce métal subirait une dépréciation qui non seulement serait épouvantable à voir, *mais donnerait lieu à une panique monétaire dont il serait impossible de prevoir les conséquences funestes et disséminées.*" Drugi delegat W. Brytanii sir Rivers Wilson w imieniu swego rządu złożył deklaracyę w słowach: „Les instructions que nous avons reçues de notre gouvernement comportent qu'avant d'arriver à la conclusion, il y a lieu de s'en tenir au statu quo. Nous devons étudier avec le plus grand soin tout plan qui serait proposé, dans le but d'assurer une extension de la circulation de l'argent." Ważném jest także oświadczenie delegatów niemieckich w słowach: „Le gouvernement impérial ne méconnaît pasque les oscillations continuelles et la baisse considérable de l'argent sont fort regrettables au point de vue économique, et qu'il serait utile aux intérêts économiques de l'Europe s'il pouvait être remédié d'une manière durable à ses inconvénients."

Na téj konferencyi rozbiérano następujące projekty:

I. Alfreda Rothschilda, sformułowany przez delegata hiszpańskiego p. Osma zalecający: 1-o coroczne kupno przez państwa europejskie 30 milionów uncyi srebra, z warunkiem, aby i Stany Zjednoczone zakupywały dotychczasową ilość srebra i aby Indye Wschodnie i Meksyk biły daléj monety srebrne w ilości nieograniczonéj. 2-o Repartycya 30 milionów uncyi pomiędzy państwa ma być dopełnioną na zasadzie oddzielnéj umowy. 3-o Sposób nabycia umówionéj ilości srebra ma być pozostawiony każdemu z państw. 4-o Zakupione srebro może być przebite na monetę, lub téż być zabezpieczeniem obiegu biletów kredytowych. 5-o Umowa zawarta będzie na pięć lat i ma być obowiązującą do chwili podwyższenia się ceny srebra do wysokości umówionéj, wtedy zaś ma nastąpić nowa umowa. Projekt ten nie mógł zadowolnić nikogo, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, Meksyku i Indyj, dotyczył on zaledwie $^1/_5$ części ogólnéj wytwórczości srebra, zbyt silnie krępował Stany Zjednoczone, a co najważniejsza nie wskazywał podstawy na jakiéj repartycya 30 milionów uncyi srebra ma być dopełniona pomiędzy państwa Europy. Był jednak ważny z tego względu, że przedstawiał go delegat W. Brytanii, to jest reprezentant państwa najbardziéj wrogiego białemu kruszcowi.

II. Projekt p. Moritz-Lévy polegał: 1-o na wycofaniu z obiegu monety papierowéj wartości niższéj od 20 franków i 2-o na wycofaniu z obiegu monet złotych wartości niższéj od 20 franków, a to celem dania miejsca monecie srebrnéj, któréj ogólna ilość tym sposobem musiałaby być znacznie zwiększona. Podług p. Moritz-Lévy, należałoby zatém wycofać z obiegu:

w Niemczech				
bilety 5 markowe	na sumę	50	milion.	frank.
monety złote 5 i 10 markowe	„	250	„	„
w Austro-Węgrzech				
bilety 1 i 5 florenowe	„	430	„	„
w Rosyi				
bilety 1, 3 i 5 rublowe	„	1,000	„	„
we Włoszech				
bilety $^1/_2$ 1, 2, 5 i 10 lirowe	„	559	„	„
w Stanach Zjednoczonych				
bilety 1 i 2 dolarowe	„	230	„	„
monety złote 1, 2 i $2^1/_2$ dolarowe	„	250	„	„
we Francyi, Belgii i Szwajcaryi				
monety złote 5 i 10 frankowe	„	600	„	„
w Wielkiéj Brytanii				
monety złote 10 shillingowe	„	450	„	„
razem należałoby wycofać z obiegu biletów i monet złotych	na sumę	3,819	milion.	frank.

Z punktu praktycznego projekt ten był względnie zadawalniającym, na konferencyi brukselskiéj napotkał jednak na silny opór delegatów Anglii i Francyi. Sir Charles Fremantle nie zgadza się na ten projekt z powodu nierówności ofiar ponieść się mających przez różne państwa. Anglia np. na $22^1/_2$ miliony funt. szterl. monet złotych 10-o shillingowych, któreby musiała wycofać, gdy tymczasem Belgia nie poniosłaby prawie żadnéj ofiary. P. Tirard znów twierdził, że we Francyi trudnoby wycofać 10-o frankówki złote, gdyż publiczność do nich nawykła. Oświadczenia powyższe najlepiéj malują egoizm i antagonizm pojedyńczych państw, wskazując przytém trudność w dojściu do wspólnego porozumienia w kwestyi monetarnéj.

III. Delegat Danii C. F. Tietgen proponował utworzenie unii międzynarodowéj państw, którab na podstawie notowań londyńskich srebra w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, ustanowiła stosunek wartościowy dwóch kruszców. Podług ustanowionéj tym sposobem wartości srebra, państwa należące do unii biłyby monetę srebrną w ilości nieograniczonéj z obowiązującym obiegiem we wszystkich państwach unii. Jeżeli cena srebra obniży się na 5%, to winna się zebrać konferencya dla orzeczenia, czy wybite przez unię monety srebrne mają być wycofane dla przebicia według nowego stosunku. Projekt ten w zupełności nie zadowolnił nikogo.

IV. Sir Wiliam Houldsworth zalecał utworzenie unii bimetalicznéj państw. Srebro miało być deponowane w sztabach za które deponent otrzymałby bezterminowy certyfikat na okaziciela, w którym ilość czystego srebra miała być wyrażoną jedynie w uncyach z oznaczeniem, że ta ilość srebra odpowiada tylu a tylu uncyom czystego złota. Certyfikaty te miały mieć obieg narówni z monetą i mogły być wymieniane za okazaniem bądź na złoto bądź na srebro. Ta ostatnia właśnie cecha była główną przeszkodą w zaleceniu tego projektu.

V. W końcu konferencyi, delegaci Belgii pp. Montefiore-Lévy i Sainctellete wnieśli propozycyę emisyi międzynarodowych certyfikatów, z których każdy wystawiony byłby na pewną ilość złota łącznie z odpowiednią ilością srebra (według ustanowić się mającego stosunku). Certyfikaty powyższe nie miały mieć charakteru monety, ani też obowiązkowego obiegu, lecz winny służyć jedynie celom handlowym.

To były główne i prawie jedyne projekty rozbierane na konferencyi brukselskiéj 1892 r. Jeden tylko z nich, mianowicie projekt

p. Moritz-Lévy, naszém zdaniem, miał donioślejsze znaczenie, reszta zaś najdobitniéj wykazuje jałowość konferencyi.

Jak wykazaliśmy powyżéj, różnice w stosunku wartości dwóch kruszców były zawsze bardzo znaczne, sprowadzając zamęt w stosunkach finansowych i handlowych, zwłaszcza międzynarodowych. Powstała zatém kwestya monetarna, rozwiązaniem któréj zajmował się już przed wiekami Kopernik, a także Mikołaj Oresmius, Gaspard Scaruffi i inni. Nigdy jednak cena jednego z kruszców nie obniżyła się do tego stopnia, co obecnie srebro.

Powszechnie twierdzą, że przyczyną tego zjawiska jest raptowne zwiększenie wytwórczości białego metalu w ostatniém dziesięcioleciu. Bezwątpienia, zwiększenie produkcyi jest jedną z przyczyn upadku ceny srebra, ale przyczyną nie główną. Wszak były czasy, że i wytwórczość złota względnie do srebra wzrastała, i to w stosunku niepomiernie większym, nie wywołując tak ciężkiego przesilenia monetarnego jak obecne, o czém przekonywa poniższy wykaz. I tak, opiérając się na wyżéj przytoczonych obliczeniach A. Soëtbeer'a i E. O. Leech'a, widzimy, że:

z ogólnéj wytwórczości szlachetnych kruszców dobyto:

rok	złota %	srebra %
1801—1810	23,6	76,4
1831—1840	34,5	65,5
1841—1850	52,	48,
1851—1855	77,6	22,4
1856—1860	78,9	21.1
1861—1865	72,3	27,7
1866—1870	69.	31,
1871—1875	57,1	42,9
1876—1880	51.3	48,7
1881—1885	47.7	52,3
1886—1890	43,7	56,3
1891	38,6	61,4
1892	39,9	60,1

Wytwórczość złota wynosząca w 1801—1810 r. 23,6% ogólnéj produkcyi obu metali, w 1856—1860 r. wzrosła do 78,9%, a wytwórczość srebra w tychże okresach z 76,4% upadła do 21,1% i obecnie nawet nie dosięgła téj stosunkowéj ilości, co na początku bieżącego stulecia. Cóż więc jest główną przyczyną tak wielkiego upadku ceny srebra? Ogólne, prawie wszechświatowe prześladowanie białego metalu, ujawniające się w przejściu jednych państw do waluty złotéj, i zamknięciu mennic dla bicia monet srebrnych w wielu innych kra-

jach. W rezultacie okazało się, że kiedy jedne kraje cierpią na *„disette d'or,"* inne jak np. Anglia doznają *„appreciation of gold"* w obniżeniu się cen towarów. Podług Sauerbeck'a *„Index numbers,"* ceny wszystkich głównych towarów w ciągu ostatnich 25 lat obniżyły się o 32%, jako skutek *„depreciation of silver."*

Prawda, że chwiejność stosunku wartości dwóch kruszców sprowadzając zamęt w życiu ekonomicznéın, zmusiła niektóre państwa do przyjęcia monety złotéj za podstawę swego systemu monetarnego, ale z drugiéj strony 52 miliardy frank. bogactw w metalu białym — to potęga, z którą liczyć się trzeba. Naszém zdaniem, ani mono- ani bimetalizm nie mogą sprowadzić trwałego pokoju w życiu ekonomicznéın narodów. Dopóki będą istnieć dwa kruszce jako oddzielne surrogaty monety, lub dopóki jeden kruszec będzie prześladowany, a drugi surrogatem monety, dopóty nie ustanie odwieczna walka tych metali.

Dotąd teorya i praktyka zapatrywały się na złoto i srebro jako na dwa oddzielne surrogaty monety, t. j. że ze złota może być tylko moneta złota, a ze srebra — srebrna, nikomu jednak nie przyszło na myśl, że przecież z obu tych metali razem stopionych można bić jedną monetę, która tym sposobem może dać początek nowemu systemowi monometalizmu bimetalicznemu *(Monométallisme bimétallique).*

Jeżeli przygotujemy spław 1 kilograma złota z $15^1/_2$ kilogramami srebra, to wybite z niego monety, pod względem wielkości, będą dwa razy cenniejsze od dotychczasowych monet srebrnych np. moneta z proponowanego przez nas spławu wielkości pięciofrankówki srebrnéj, będzie warta 10 franków.

Nowe monety wybite z wyżéj wskazanego i stale przyjętego spławu, który nazwiemy Bimetalem *(Bimétal, monnaie bimétallique)* zawierać będą w sobie oba kruszce w stosunku zbliżonym do ogólnéj wytwórczości tych metali (od czasu odkrycia Ameryki). Tym sposobem zniknie odwieczna walka dwóch kruszców, gdyż nie będzie ani złotych ani srebrnych monet, lecz tylko monety bimetaliczne, bite ze spławu tych metali, w raz na zawsze ustanowionym stosunku.

Prawda, że nowe monety bimetaliczne w porównaniu do złotych będą znacznie większe, ale za to od srebrnych dwa razy mniejsze. Monety złote w drobnym podziale np. 5 i 10 franków są zbyt małe i zbyt cenne dla codziennego obiegu. Zresztą większe obroty pieniężne, rzadko dopełniają się za pośrednictwem metalu, posiłkując się dogodniej-

szą formą, czeków, przekazów, znakami powierczemi, oraz wzajemną kompensatą w *Clearing hous*'ach i t. p.

Proponowany przez nas system monetarny może mieć tylko wtety wielką wszechświatową doniosłość, gdy na zwołanym *ad hoc* kongresie monetarnym państw, nastąpi zgoda przynajmniéj wielkich mocarstw Europy i Stanów Zjednoczonych:

I. co do zaprzestania bicia monety złotéj i srebrnéj;

II. w kwestyi wycofania z obiegu istniejącéj monety złotéj i srebrnéj;

III. że odtąd będą bite wyłącznie monety bimetaliczne, ze spławu 1 kilogr. złota z $15^1/_2$ kilogramami srebra, lub téż w innym stosunku tych metali, jaki raz na zawsze będzie ustanowiony przez kongres.

Co się tyczy monety zdawkowéj (bilonu), to ta również winna być bitą z bimetalu, aż do podziałki $^1/_2$ franka, drobniejsze zaś monety należałoby bić z aluminium lub miedzi.

Nowy system monetarny sprowadzi obfitość metalicznych znaków obiegowych, wywołując przez to nadzwyczajny wzrost życia ekonomicznego narodów. Jednostajny system monetarny skruszy téż jeden z międzynarodowych chińskich murów, będących zaporą w rozwoju postępu.

Co do zapasów złota, Rosya znajduje się teraz w wyjątkowo zadawalniającém położeniu. Skarb państwa rozporządza obecnie przeszło 609 milionami rubli w złocie, nowy system monetarny wymagałby takiejże sumy w srebrze, tym sposobem państwowe kasy wymiany, przy proponowanym systemie mogłyby odrazu posiadać zapas metaliczny w ilości 4,872 milionów franków bimetalicznych t. j. po $40^1/_2$ frank. na każdego mieszkańca, oprócz corocznego przyrostu kruszców ze swoich kopalni.

Jeżeliby główne mocarstwa Europy i Stany Zjednoczone zgodziły się na proponowany przez nas system monetarny, jako na jedyny, mogący radykalnie rozstrzygnąć kwestyę monetarną, to nader pożytecznem byłoby, gdyby przyszły kongres międzynarodowy uchwalił:

IV. zbudowanie jednéj, ogólnéj mennicy dla wszystkich państw Europy np. w Saksonii, lub Sachsen-Coburg-Gotha i drugiéj dla innych części świata w Meksyku, i w takim razie:

V. terytorya mennic międzynarodowych winny być zneutralizowane — i

VI. rzeczone mennice powinny być zarządzane przez międzynarodowe komisye monetarne.

Oto są główne zasady proponowanego przez nas systemu monetarnego, na podstawie których sporządziliśmy odpowiedni projekt i przesłaliśmy go dla rozpatrzenia właściwym sferom, komunikując jednocześnie niektórym członkom ostatniéj konferencyi monetarnéj w Brukselli.

17 Stycznia 1894 r. *Leon Iwanicki.*

Post-scriptum. W otrzymanym w téj chwili ostatnim „*Report of the Director of the Mint*" (Stan. Zjednocz.) znajdujemy najnowsze dane statystyczne, dotyczące wytwórczości złota i srebra w różnych krajach w 1890—2 r., a także i statystykę wybitych monet, które dla całości obrazu podajemy, mianowicie:

I. dobyto złota:

	w 1890 r.	w 1891 r.	w 1892 r.
	kilogramów		
w Australii	44,851	47,245	50,964
„ Stanach Zjednoczonych	49,421	49.917	49,654
„ Rosyi	35,296	36,356	37,325
„ Południowéj Afryce	15,432	21,294	35,670
„ Chinach	8,020	7,908	7,523
„ Kolumbii	5,416	5.224	5,224
„ Indyach Wschodnich	3,009	3,754	4.993
„ Guyanie	1,693	2.708	2.708
„ Austro-Węgrzech	2.104	2,106	2,262
„ Chili	2,162	2,162	2,162
„ Meksyku	1,154	1,505	1,699
„ Kanadzie	2,506	1,392	1,392
„ Wenezueli	2,512	1,505	1.213
„ Korei	1,128	1,128	1,128
„ innych krajach	4,119	5,658	4.982
razem	178,823	189,862	208,99

II. dobyto srebra:

	w 1890 r.	w 1891 r.	w 1892 r.
	kilogramów		
w Stanach Zjednoczonych	1.695,500	1,814,642	1,801,377
„ Meksyku	1,211,646	1,275,265	1,419.634
„ Australii	258,212	311,100	418,087
„ Boliwii	301.112	372,666	372,666
„ Niemczech	182,066	186,636	184,818
„ Francyi	71,117	71,117	103,000
„ Peru	65.791	74,879	73.879
„ Chili	73,700	70,794	70.794

	w 1890 r.	w 1891 r.	w 1892 r.
	kilogramów		
w Środkowéj Ameryce	48,123	48,123	48,123
„ Japonii	42,468	43,282	54,986
„ Hiszpanii	51,502	51,502	40,556
„ Włoszech	10,110	27,584	39,853
„ Kolumbii	19,971	31,232	31,232
„ Austro-Węgrzech	50,613	52,019	18,460
„ Argentynie	14,680	14,918	14,918
„ innych krajach	47,602	41,975	30,736
razem	4,144,233	4,486,216	4,727,119

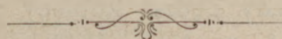
III. wybito monet złotych:

	w 1890 r.	w 1891 r.	w 1892 r.
	dolarów		
w W. Brytanii	37,575,479	32,720,633	67,682,503
„ Stanach Zjednoczonych	20,467,182	29,222,005	34,787,233
„ Australii	25,702,600	26,389,044	30,784,262
„ Austro-Węgrzech	2,818,750	2,885,561	9,482,927
„ Niemczech	23,835,512	14,081,800	8,863,874
„ Rosyi	21,726,239	2,110,981	505,909
„ Hiszpanii	9,049,569	—	9,381,002
„ Francyi	3,976,340	3,362,450	871,225
„ innych krajach	4,293,294	8,761,648	5,558,402
razem	149,244,965	119,534,122	167,917,337

IV. wybito monet srebrnych.

	w 1890 r.	w 1891 r.	w 1892 r.
	dolarów		
w Indyach Wschodnich	57,931,323	32,670,498	52,258,747
„ Meksyku	24,081,192	24,493,071	26,782,721
„ Stanach Zjednoczonych	39,202,908	27,518,857	12,641,078
„ Japonii	7,296,645	8,523,904	12,307,062
„ Hiszpanii	1,479,152	12,242,000	8,917,860
„ Chinach	—	2,854,137	3,500,000
„ W. Brytanii	8,332,232	5,141,954	3,790,673
„ Portugalii	540,000	7,277,040	3,075,840
„ innych krajach	11,429,692	17,573,266	19,822,258
razem	152,293,144	138,294,367	143,096,239

L. Iw.



Andriolli i Matejko.

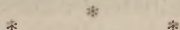
SYLWETKI.

Powinienbym tytuł rozciągnąć tak, ażeby objął jeszcze dwa głośne imiona. Do świeżych mogił malarskich należą przecież także Malinowski i Bilińska, których zgon zostawił szczerbę niepowetowaną. Lecz ich obrazów widziałem zbyt mało, bym mógł określić naturę talentu. Pamiętam jeno krajobraz Malinowskiego, wystawiony parę lat temu w salonie Krywulta: była to burza morska, miotająca okrętem niby łupiną orzecha. Artysta namalował parę tylko olbrzymich bałwanów, między którymi rozwarła się czeluść— lecz po mistrzowsku. Wyborne w swym kolorze, zielono-butelkowym, siecią białych smug piany oplecione, leniwe swém potwornem cielskiem robiły one wrażenie potężne i nieposzlakowanie prawdziwe.

Bilińskiéj, wykształconéj w Paryżu, widzieliśmy parę płócien. Własny portret, za który dostała mnóstwo medali, był może trochę przeceniony i kto wie czy, nie jednał sobie znawców raczéj dowodem niezwykłéj skromności autorskiéj, tkwiącym w śmiałem odtworzeniu rysów nieszczególnie urodziwych. Ale i po za tém była to praca żywa, pewna siebie, brawurowa i kazała domyślać się, że ją poprzedzało znakomite wykształcenie pod wpływem najlepszych wzorów. Rzadko kiedy pędzel kobiecy posiada tyle siły, którą przywykło się nazywać „męską.“ Widzieliśmy późniéj portret damy nieco podżyłéj i przyznajemy, że nas wprost zachwycił ogromnym swym wyrazem i energią realizmu, umiejącego w rysach, zmarszczkach, odcieniach cery opowiedzieć długie i ciekawe dzieje

kobiety. Była to istna epopea bogatego serca i rozrzutnych zmysłów, godna stanowić ilustracyę tematów Balzakowskich.

Szereg krajobrazów morskich Bilińskiéj nic wprawdzie nowego nie przynosił, ale sprawiał przyjemność znamieniem wielkiéj wprawy, jędrności i zwięzłości, na którą malarzom widoków tak trudno bywa się zdobyć. Biedny rybak, z koszem w ręku czekający na brzegu morskim, to znów poemat w stylu nowel Konopnickiéj, potulny, skromny, wzruszająco naiwny i w dodatku znakomity w postawie, ruchu i ogólnym typie. . Choćby nawet artystka ta żadnéj już innéj nie zostawiła po sobie spuścizny, wystarczy i tego, co można było oglądać u nas, dla nabrania pewności, że sztuka straciła w niéj wybitny talent i pilną, wytrwałą, niezłomną w dążeniu do celu pracownicę.



Bilińska i Andriolli to wielkości prawie niewspółmierne, pomimo, że oboje są kłosami z jednego zagonu. Ona—artystka w najświeższem, najmodniejszem znaczeniu słowa, on—twórca z doby gasnącéj, kiedy sztuka bywała swobodnym upustem energii. Ona—prawie paryżanka, wyszkolona w karbach dobrego smaku, ważąca każdy ruch pędzla, on zamaszysty i często naiwny, długi czas nie składa nawet dowodu, że wié, co to kunszt wyrachowany, rządzony przez wolę, i jak bywają *natursängerzy*, śpiewający wybornie i z uczuciem, ale bez znajomości nut, tak on bywał *naturmalerem*—nie miał trwałych zasad, nie zdawał się pojmować, że każdy artysta dzisiejszy jest w gruncie rzeczy ścisłym wykonawcą zasad pewnéj estetyki.

Andriolli—to niby Kraszewski w sztuce rysunku. I nie tylko dla tego, że posiada płynność i niepowstrzymaną swadę, że jest niewyczerpaném źródłem zapału i dobrych chęci, że nie zawsze należycie pogłębia i skupia swój przedmiot, rozwadniając go jakoby w cienkusz—lecz, że jak ów wiecznie młody starzec przebywa długie pasmo rozwoju. — W swym galopie, z ołówkiem w ręku, przez życie, na żadnym posterunku nie zatrzymuje się długo. Niezmordowany pnie się wciąż na wyżyny, przerabia w duchu, doskonali, filtruje. I oto pod koniec życia, niestety, będący chwilą w owéj wędrówce talentu najświetniejszą — zaszedł wysoko, na szczyt, gdzie króluje już prawdziwa sztuka, świadoma celów i środków, zbudowana na rozumieniu własnéj duszy.

Przypomina on owego młodzieńca, którego wyrysował jeszcze w czasach dawniejszych, dla użytku jednego z pism i opatrzył nagłówkiem: „O, ten zajdzie!“ Rysunek ten różni się wielce od setki

sąsiadujących z nim w „Salonie artystycznym,“ a mniéj więcéj jednoczesnych. Jest oryginalny i śmiały w pomyśle; pośpiech idącego, szybkość ruchu i pogarda dla przeszkód szczera, po prostu znakomicie a zwięźle oddane są w postawie, szerokim, gorączkowym chodzie i tłomoczku na plecach.

Z pewnością powstał ten drobiazg w jednéj z chwil rozpamiętywania siebie.

Droga, którą przebył, jest bardzo długą, a przecież prowadzi tak prosto, że ją łatwo wyśledzić można całą, spacerując między jego rysunkami. Niepotrzeba wskazówek ani objaśnień, dzieła mówią za siebie, jak pamiętnik, jak raptularz, w którym w dodatku wszystkie karty szczelnie są zapełnione.

To nie była pierwotnie „indywidualność“ — chybaby upatrywać ją w niepospolitéj ruchliwości ołówka. Była to dobrze nasmarowana maszyna, obsługująca dziesiątki pism swojskich i zagranicznych i tyleż rozmaitych wydawnictw. Czasami znów robi ona wrażenie, jakgdyby ją odbiegł dozorujący robotnik, a ona przez ten czas wyrzuca ziarno i wyrzuca, aż wreszcie sama w powodzi zaczyna tonąć. Że nie zginęła z kretesem, to prawdziwy cud i szczęście. Boć to właściwie nie ziarno było, jeno sieczka lub otręby, a ich wytwórcą nie martwy przyrząd, lecz żywa dusza ludzka, mogąca taką robotą wyjałowić się i przytępić.

Andriolli nie tylko zastanawia tem, że wciąż postępował, ale że potrafił wydobyć się z mielizny, na któréj osiadł i popłynąć na otwarte morze twórczości. Zdawałoby się, że powinien był paść ofiarą tygodników, jak niekiedy talenta pisarskie powszednieją w usługach dzienników. Powinna go była zabić, bo zwykle śmiercionośną bywa—banalność naszych czasopism. Wreszcie te same temata, święta, nowe roki, zaduszki, pożary, procesye, sceny zacisznego życia domowego, starzy kawalerowie z psami, pamiątkami, butelkami, wszelakie uciechy rodzinne.—A wszystko na urząd, wedle żądania i wymagania redakcyi, bo ona zna dobrze gust swoich czytelników i wreszcie zagrożona jest listami, pretensyami i zażaleniami, jeśli w obrazku znajdzie się coś obrażającego pojęcia najprzeciętniejsze, „najpoczciwsze,“ najpospolitsze.

Jest coś komicznego w téj pokorze duszy, bądźcobądź rogatéj, i w tém rugowaniu z swego wnętrza pierwiastku siły i samodzielności, na korzyść potrzeb kalendarzowych i informacyjnych. Literatura *familienblattów* bywa nieraz szkołą dla skromnéj gromady, ale jednostkę może unicestwić, a cóż dopiero jednostkę, nad wyżywieniem tych rzesz pracującą. Że się z Andriollim smutny ten wypa-

dek nie powtórzył, mamy do zawdzięczenia kameleonowéj jego naturze i niespożytemu zapałowi. Toć one umiały przedrzéć się nawet przez tę skorupę narzuconych upodobań i sprawiają, że tu i owdzie, w marnym okolicznościowym szkicu, uderza nas temperament, podniecenie i ożywienie scen zbiorowych, albo jędrność postaci; to znów błysk strzelistéj fantazyi, jak w jednym z „Nowych roków“ występującym w malowniczym, przyjemnie powiewnym kwefie, albo świetnie podpatrzony szczegół charakterystyczny, jak w „Moim sąsiedzie z przeciwka,“ stelmachu, który z pyszną zadowoloną miną majstra prowincyonalnego maluje obręcz koła. Jakże znakomitą jest owa stara babula w okularach, wysokiéj fryzurze z rezolutną postawą i czepkiem matrony, witająca i badająca rozumnym wzrokiem gościa! To prawdziwie czasy Korzeniowskiego lub Klementyny z Tańskich—coś poczciwie staromodnego z tych figur wyziera. A jaki animusz bije od starych szlagonów lub emerytów, wyprawiających sobie wilię w samotnéj izdebce! Czy to nie prawdziwy Żółkowski w S t a r y m j e g o m o ś c i u?

Niekiedy znów obrazki te zadziwiają dramatycznem zacięciem, wre w nich namiętność i siła, zgoła nie licująca z błahością przedmiotu lub nikłością duchową samego pisma. Weźmy naprzykład „Pożar“ – przedstawia on kilka kobiet, wstrząśniętych widokiem płomieni, które już zaglądają w okno. Gwałt, rozpacz, załamywanie rąk, rozdzierające krzyki, przewracanie w popłochu sprzętów. Mają one w sobie coś może przesadzonego, bo każda osoba wykonywa ruch nadzwyczajny i przybiera postawę niezgodną z prawem ciężkości; ale ten nadmiar patosu nie śmieszy, bo widocznie płynie ze szczeréj egzaltacyi artysty; jeśli stanowi manierę, to raczéj dodatnią, boć łatwiéj w rysunku o niedobór ruchu i wyrazu, niż o ich wezbranie.

Słowem, błądząc po téj nieprzebranéj galeryi scen alegorycznych, rodzajowych i typowych, oko doznaje często wrażenia niespodzianki i jak gdyby zgaduje, że ręka, która je stworzyła, zdolna byłaby do pracy dojrzalszéj i mniéj przelotnéj. Czuje się, patrząc osobliwie na niespokojny rysunek, zbyt fałdziste ubiory i poorane twarze, zbyt energiczny światłocień, że w nich coś niewyrównanego, jakaś bujność i obfitość, nie ujęte w karby ani namysłem, ani wiedzą zasad sztuki.—Wreszcie ów dobrze wszystkim znany podpis autora, gruby, jakby na kamieniu rylcem wyżłobiony, dopełniał wrażenia czy téż przeczucia mocy i żywotności.

W rzeczy téż saméj usposobienie to było żywe, niespokojne i wrażliwe. Andriollemu ciasno było u nas. Wędrował to na Wschód,

to znów na Zachód, gdzie brał polot do szerszych pomysłów i rozwijał fantazyę. Niesłychana łatwość komponowania zjednywała mu poklask i obstalunki wydawców paryskich i angielskich. Nie było już przecie Gustawa Doré'go, wielkiego bądźcobądź ilustratora „Biblii", „Komedyi Boskiéj", wojny z królem abissyńskim Teodorosem i wielu innych sławnych dzieł i historyi.

Doré miał swój styl, romantyczny, pomieszany z retoryką klasycyzmu. Złączyły się nań niewątpliwie wpływy Dawida, Horacego Verneta, malarzów pierwszego cesarstwa, może i scenicznego tragizmu Delacroix. Nie brak w sztuce francuskiéj takich okazów złożonych z Wiktora Hugo, Walter Scotta i Chenier'a, lub im pokrewnych. Stylu tego Doré nie przekazał nikomu, ale zostawił w spuściznie r o d z a j — rysowane symfonie, oraz nałogowe ich łaknienie po swéj śmierci. Ręczyć można, że laury jego nie dawały spać Andriollemu. Gdybyśmy pisali życiorys artysty, zamiast szkicować sylwetę jego talentu, nie zbrakłoby pewnie wyznań i opowieści, stwierdzających ten wpływ.

Są na to dowody wymowne, że próbował dogodzić zagranicy całkowitém zarzuceniem swéj węzłowatéj maniery, ale my w nich nie widzimy bynajmniéj najlepszych jego utworów. Weźmy np. „Romea i Julię" — jest to cykl rozległy i dla widza nader przyjemny, a przecież nie sprawi zupełnego zadowolenia temu, kto szuka nie tylko ładnego obrazka, ale i duszy znanego sobie artysty. To jak gdyby zupełnie kto inny rysował. Postacie Romea, Julii, mamki, Ojca Laurentego spokojne i pełne wdzięku, układ scen wszędzie malowniczy i efektowny, otoczenie martwe—prawdziwie stylowe i po wenecku lekkie a bogate, motywy światła zręczne. Słowem są to prace, nacechowane harmonią i gracyą, któréj wogóle Andriolli posiadał dar niewielki. A jednak w tej harmonii czuć przemoc i odstępstwo od własnego usposobienia, które wyższego probierza sztuki nigdy zadowolnić nie może. Czyli, że jako ilustracyom, nic im zarzucić nie można, ale jako pewnéj chwili w łańcuchu bujnéj i owocnéj działalności, trzeba przypisać zagadkowość i coś w rodzaju braku indywidualności. Możnaby uważać tę ciekawą bądź co bądź seryę za zapowiedź nowego, może i doskonalszego okresu, ale przecie wiemy, że ostatnie dzieła nieboszczyka znamionują powrót modły dawniejszéj, że wprawdzie przyszedł postęp i rozwój, ale na zasadzie właściwości poprzednich. Zmieniła się i wypiękniała melodya—tonacya została ta sama.

Dlatego też wolimy jego wadliwą, lecz tak niepodejrzaną szlachetczyznę. Ale znowu pod warunkiem, że temat będzie dla wrzącego

temperamentu Andriolliego odpowiedni. Liryka zbyt łzawa, zbyt czułostkowa, nie leży w naturze jego zdolności. Przerzućmy karty „Maryi" Malczewskiego; któż nie zna tych wybuchów egzaltowanego ołówka, prześcigających o wiele elegijność samego poety? Byłyby one znakomitéj ceny, ale coś im odbiera smak, prawdę i szczerość — co? Doré, albo fałszywy, robiony romantyzm. W scenie „Czy Marya ciebie kocha?" Wacław jest samém żelaztwem zbroi, pod którą z trudnością domyśléć się można człowieka. Cześnik stary, pod staremi dumający lipami, ma wąsy jak sznury konopiane, a postać niemożliwie długą i wązką. Wzrost jego dochodzi—śmieszności. I z takiém téż, pożałowania godném wrażeniem, łączy się smutek i litość, jakich doznajemy na widok nieszczęsnego starca, wyciągniętego na mogile swéj córki. Jest to domieszka nieuniknioна; nawet postać prawdziwa, a nie z mgieł fantazyi poetyckiej uwita, gdyby miała taki wygląd fizyczny, w niejednym, najbardziéj żałosnym momencie, psułaby nam rozrzewnienie. Znaczy to, iż Andriolli źle pojął to, co miał interpretować, wytłumaczyć kształtem i barwą. Jakże natomiast pięknym jest i szczerze, dodatnio romantycznym ów rycerz, mknący jak widmo z baśni, na pysznym rumaku w blaskach nocy księżycowéj! To—rzeczywiście poezya, orla, polotna, młodzieńcza, jasna jak tarcza miesiąca i rozhukana jak wicher, goniący po stepie. Jest to w swoim rodzaju motyw okazowy, doskonały i wzorowy, jak w innym, acz pokrewnym rodzaju, upiór porywający narzeczoną w balladzie Buerger'a.

Niejeden taki szczęśliwy pomysł przyszedł Andriollemu, gdy wczytywał się w „Margiera" Syrokomli, lub „Starą baśn" i „Witoloraudę" J. I. Kraszewskiego. Jak z rogu obfitości sypały się pod ich legendowo-czarodziejskiém tchnieniem kympozycye krzepkie, dramatycznie zgiełkliwe i wojownicze, to znów fantastyczne jak klechdy. Ta lub owa czarownica, ta lub owa dziewoja, mają nazbyt wiedźmowskie twarze, lub nazbyt długie i piękne sploty włosów, ale ich wady nie zdolne są umniejszyć naszego podziwu dla téj bajecznéj zdolności tworzenia.

Skrzydła tego talentu były nieraz więcéj śmiałe, niż potężne. Zakreślał sobie cele wysokie i stwarzał zadania ogromne. Dzisiaj, w dobie niewiary w siebie, każdy artysta, jak gąsienica, sto razy bada i próbuje każdy krok, zanim się o cal posunie naprzód; mierzą się zamiary na siły. Andriolli postępował odwrotnie. Rzucał się nieopatrznie, nierozważnie i prawie że lekkomyślnie na temata, z któremi nie miał zupełnego pokrewieństwa duchowego. Sądził,

że uwielbienie dla arcydzieł poezyi, równa się ich wszechstronnemu zrozumieniu. Sam entuzyasta — wyczuwał właśnie entuzyazm tam, gdzie bywał iście homeryczny spokój, gdzie mnóstwo czynników poetyckich grało na raz, składając się na doskonały akord, epiczną wielostronność, wyższą nieskończenie od egzaltowanego młodzieńczego animuszu.

Pod wpływem właśnie tego zapału zrodziła się myśl zailustrowania „Pana Tadeusza". Wcieloną została w liczny szereg kartonów, które znamy wszyscy dobrze. Andriolli przystąpił do dzieła bez nowoczesnego odczucia i przeniknięcia wszystkich jego piękności i cech znamiennych. Zgrzeszył już tém, że przedsięwziął za dużo rysunków wielkiéj téj epopei. Gdy w niéj Mickiewicz daje same kryształy, będące wytworem długotrwałego osadzania i klarowania myśli i uczuć, nasz rysownik nie przetrawił ich w sobie należycie, nie wydzielił im w swym umyśle osobnéj świątnicy, nie odgrodził od całego labiryntu innych, pospolitszych planów, lecz je z niemi pomieszał i traktował niby dalszy ciąg „Pamiętników Kwestarza".

Możnaby określić w ten sposób różnicę pomiędzy fakturą „Pana Tadeusza" a robotą tych jego uzmysłowień. Tam wszędzie łagodna forma kryje w sobie siłę treści, tu forma rozkrzyczana, sumiasta, hałaśliwa, treści zawiera bardzo mało. Równa się to jawnemu kontrastowi. Mickiewicz z mistrzostwem artysty-logika, przedziwnie podkreśla to, co istotne i indywidualne. Andriolli zaś jakimś szczegółem nieudatnym, rozwianą połą kontusza, zbyt dużym wąsem, komedyancką postawą Gerwazego lub Wojskiego, odrazu odrywa uwagę widza od saméj postaci. Nim dostaniemy się do saméj osoby, czy będzie nią Soplica czy Horeszko, musimy błądzić wprzód po fantastycznych zaiste liniach ich ramion, po dziwacznych zarysach ubioru, spotkać po drodze mnóstwo zgrubień i wklęsłości. Tu za człowieka mówi jego suknia, czupryna, a gdyby to było możebne to i paznogcie; w arcydziele zaś naszego poety, każda figura wraża się odrazu w pamięć, jest kreślona szeroko, monumentalnie, w najlepszém znaczeniu tego wyrazu.

Własne piórko, lub własny ołówek były największym wrogiem Andriollego, który, jak to widać wszędzie, wybornie odczuwał piękno, przejmował się niém do głębi, wiedział doskonale, jaką chwilę wybrać na ilustracyę, lecz gdy siadał do roboty, pajęczyna improwizowanych linii przesłaniała mu rdzeń przedmiotu. Przy takiéj manierze popsuły się najszlachetniejsze motywy. Liryzm lub tragizm stawały się zimnemi, komizm przechodził w karykaturę, nie-

zdolną wcale do wzbudzenia śmiechu. Ksiądz Robak na śmiertelném łożu, zawzięty aż do grozy klucznik i zbolały sędzia, to prawdziwa tragedya w Szyllerowskim stylu, szczera, łzami i bólem nabrzmiała—a jakże blado i jałowo wypadła ona u naszego rysownika! Spory o Kusego i Sokoła, albo ciotka Telimena, upozowana malowniczo na krwawnikowym szalu podczas grzybobrania, niby „gąsiennica", to bezdeń dyskretnego, ciepłego humoru—u Andriollego to tylko w jednym wypadku ostre linie pochylonych grzbietów i zgiętych pleców, a w drugim okropne fioki: komizmu żadnego.

Nie ma w ogóle bardziej żałosnego na świecie widoku, jak silenie się na dowcip—ludzi, którzy go z natury nie posiadają. Trzeba mieć do niego „żyłkę": bez téj żyłki wrodzonéj będzie sadzenie się, sztuczność, karykatura — wszystko, tylko nie dowcip. Na odwrót, ona sama starczyć może za mnóstwo innych warunków i zakryć wiele pierwotnych nawet braków. Dowodem Kostrzewski — rysuje kiepsko i niedbale, ma w całym swym repertuarze jakie pięć — dziesięć typów, i tyleż układów grup — a przecież nie śmiać się z jego konceptów potrafi chyba tylko ostateczny śledziennik.

Andriolli z początku miewał dar tego *genre*'u, który z humorem graniczy i gdy rysował od ręki, bezpretensyonalnie, mógł prawie zabawić. Ale to umysł przeważnie patetyczny, i rozwijał się téż w kierunku coraz większéj powagi. Szczęśliwe natchnienie dało mu poznać, że sił jego starczy i na kompozycye wielkie, pojęte rozlegle, byleby się pozbył chęci obrazkowania wszystkiego.

Za mało, sądzę, widziałem najpóźniejszych utworów Andriollego, bym mógł z całą pewnością kreślić drogę jego doskonalenia się. Lecz to wydaje się niewątpliwém, iż w nim z czasem zagościło bardzo wysokie pojmowanie celu sztuki. Myślał i czuł szlachetnie i wzniośle i chociaż te skarby zapałów zakrywała nieraz powódź słów, przechwałek, wymowy — piękne, czarne, błyszczące ogniem młodzieńczym źrenice, wiernie odbijały bujność i bogactwo jego duszy. Zerwał z rynkiem literackim i artystycznym, co zmusza przetapiać talent na groszaki, a zagłębił się w siebie, i utkwił wzrok we wzorach poezyi i w sztuce o stylu wielkim. Wówczas także słyszało się o nim, jeno zrzadka, ale słyszało się o pracach dużych, w pismach i wydawnictwach książkowych spotykałeś go bardzo rzadko.

Ilustrator stał się rysownikiem-artystą, rysownikiem-poetą. Wszelkie niezdrowe ambicye wygasły. Długi czas łudził się przecież także, że jest kolorystą i jego kartony do „Pana Tadeusza"

świadczą o tém dobitnie, a zarazem niepochlebnie. Widzieliśmy dużo takich nieszczęsnych prób, na które nieboszczyk sam pewnie patrzył z politowaniem, wtedy, gdy zrozumiał siebie dobrze i właściwy klucz do sławy znalazł.

W „Salonie artystycznym" można było oglądać osobną główkę żyda, podarowaną jakiemuś literatowi. Niepodobna było nie wzruszać wobec niéj ramionami, tak była oderwana od wszelkiéj rzeczywistości, tak pozbawiona charakteru, znajomych rysów. Broda i włosy, rozumie się, prześliczne, ale mogłyby chyba licować z Shylokiem, bogatym żydem włoskim, którego nie sprawdzalibyśmy pewnie miarą miejscową, albo „Żydem z Malty" Marlowe'a, tworem cudacznym, fantastycznym.

A więc i w téj późniejszéj przemianie swojéj Andriolli musiał jeszcze pokutować za dawne grzechy. Snadź były nie do wykorzenienia. Jeśli zaś mimo to niektóre jego dzieła są godne nazwy klejnotów, zawdzięczać mamy chyba temu, iż między niemi a twórcą większa panuje harmonia, czyli, że są bardziéj jednorodne. Można było prawie napewno wywróżyć artyście, że najmniéj razić będzie, gdy sobie obierze tematy litewskie i gdy, w dodatku, cofną się one wstecz, w historyę, gdy przywdzieją zbroję rycerską i średniowieczny rynsztunek bojowy. Byłoby to epos, zbliżone do Walter-Scottowskiego. Tak dobrze został przezeń wyzyskany już „Margier" ze swém dzikiém bohaterstwem, że podobna przewodnia nie byłaby wyssaną z palca.

Jakoż ów żywioł znalazł Andriolli w „Konradzie Wallenrodzie". Słyszałem téż, że i w cyklu świetnych bajań Sienkiewicza, alem się o tém naocznie przekonać nie mógł [1]).

Trzy kartony wrażą się każdemu w pamięć, one téż były wystawione na widok publiczny, z pomiędzy liczby znacznie pono większéj, rozproszonéj po świecie. Jeden przedstawia „Ucztę", kiedy to:

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli bracia; a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Kompozycyę miał Andriolli zawsze łatwą i dobrą — tu jest ona znakomitą, a każdy szczegół obrazu—pełen niespodzianek. Za-

---

1) Obszar twórczości Andriollego jest tak wielki, prace tak porozrzucane, że bez pomocy osób prywatnych, posiadających bądź bliższe o nich wiadomości, bądź same dzieła — niepodobna stworzyć sobie pełnego obrazu téj bogatéj działalności. i to powinno mię w oczach czytelnika usprawiedliwić.

ledwie własnym oczom chce się wierzyć, iż to robota głośnego i również zmanierowanego rysownika. Twarze wyraziste, indywidualne, epicznie spokojne, a jednak o tyle ożywione, o ile tego biesiada wymaga. Nie brak głów wspaniałych, godnych Matejki; oświetlenie rozumne i efektowne z wiszących u stropu lamp, wprowadza ład w cały tłum i roztacza atmosferę prawdziwie uroczystą. Nic zarzucić nie można wyrazom, z jakiemi różni ci ludzie słuchają pieśni Wajdeloty, zwróceni ku niemu twarzami; są tam wszelakie uczucia i odcienie uczuć, dusza gromady znakomicie się zogniskowała, zachowując jednak ślad rozstrzelenia uwagi na jadło i napoje, i pyszne zastawy — oraz hulaszcze niedbalstwo. Szkoda tylko, że sam Wajdelota już nazbyt ma „czoło i oczy zakryte zasłoną". Jest on raczéj cały schowany w mrok, nie licujący z jego główną, centralną rolą, i pod piérwszy rzut oka wcale nie podpada, trzeba go dopiéro wyśledzać. Nie powiem téż, żeby istotny, choć w danéj chwili niemy bohater, sam mistrz zakonu, tchnął tą bezdenną, tragiczną melancholią, jaką go napełnił wieszcz. Ma on rysy dosyć pospolite i nic szczególnego nie mówiące, jest poprostu mężem zamyślonym, dosyć — darujcie słowo — dosyć bezmyślnie, i troszeczkę tylko ponuro. Ale w rzeczy saméj trudno téż sobie wyobrazić, czy wogóle jaki malarz zdołałby sprostać téj naturze złożonéj, rozdartéj, poetycznéj, któréj każdy wyraz, każda mina, każdy ruch rzuca nieskończony cień tajemnicy, nieszczęścia, miłości i heroizmu. Wielkiemu poecie mogło się udać takie śmiałe, niezrównane połączenie kilku silnych dusz w jednę, ale dla rysownika jest to wprost niemożebne. Trzeba być sprawiedliwym — my widzowie, pragnęlibyśmy odnaleść na tém skołataném obliczu ślady wszystkich burz, namiętności i męczarni, ale gdzież się znajdzie artysta, któryby te niezliczone a potężne akcenty zmateryalizował w kształty, linie i barwy?

Takim samym jest Konrad i na drugim kartonie, ilustrującym widocznie straszne zakończenie: [1]).

Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:
„Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść swą duszę i umrzyj przykładnie!"
Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania...

---

[1]) Wszystkie te trzy kartony wystawił swego czasu, zawsze ruchliwy i zabiegliwy salon Spółki artystów na Nowym Świecie.

I w tym motywie Andriolli główny położył nacisk na kompozycyę, świetnie przedstawił tłuszczę wdzierających się mścicieli, choć może zapomniał, że to powinni być rycerze i dał im wygląd całkiem barbarzyński, ogromnie srogi. Scena jednak zyskała na sile i grozie, co straciła na romantyczności.

Najwyżéj przecież postawiłbym utwór trzeci; chyba bez obawy pomyłki można w nim doczytać się słynnego sześciomiaru, rozpoczynającego „Powieść Wajdeloty":

Skąd Litwini wracali? Z nocnéj wracali wycieczki:
Wieźli łupy bogate w zamkach i siołach zdobyte,
Tłumy brańców niemieckich z powiązanémi rękami
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięzców.

Tu dopiéro Andriolli znalazł się w żywiole swoim, u siebie w domu, puścił więc wodze fantazyi i przeniósł na papier wielką, dziką naturę puszczy i ciżbę krzepkich pogan, ciągnącą pod konarami dębów i buków odwiecznych. Piękny to wizerunek masy, długich a bezładnych szeregów, malowniczo odzianych i rozproszonych po kniei i polanach. Patrząc na nie, czujemy, że są hartowni, jak te powyginane nad nimi gałęzie, że jest w nich coś równie żywiołowego i chropowatego, jak w tych powietrznych klatkach, utworzonych przez sturamienne, sękate olbrzymy lasu.

We wszystkich tych kartonach Andriolli stoi prawie zupełnie na wysokości zadania, wszędzie znać pracę skupioną i namaszczoną, i kto wié, jakiegobyśmy dalszego ich ciągu się doczekali, gdyby ten potok, z początku mętny i pienisty, a potem szeroki, czysty choć wartki i zawsze wezbrany, nie wpadł prawie nagle, w najpiękniejszém swém miejscu, w podziemną otchłań—śmierci.

* *

Historyczność Matejki nie wiele ma wspólnego ze sztuką innych malarzów dziejowych. Postawmy obok niego artystę, który go bezpośrednio poprzedzał w paryskiéj Akademii sztuk pięknych, a ujrzymy całą różnicę. Wilhelm Kaulbach podobny jest do stu innych swoich kolegów i rodaków; nadziany szerokiemi ideami Niemiec Schillera i Goethego, maluje wielkie sceny przeszłości, wybierając poprostu te, które mu się wydają najwięcéj polotnemi i tragicznemi. Wszystko mu jedno, z jakiéj przebrzmiałéj epoki je zaczerpnie i w jakim narodzie się rozgrywały. Może to więc być zarówno „Bitwa pod Salaminą" jak „Zburzenie Jerozolimy". Tylko że niemiec to nawskroś nowożytny; tradycyi

nie słucha i nawet z nią walczy. Wspaniałe jego freski na murach zewnętrznych nowéj Pinakoteki w Monachium dosadnie i dowcipnie ilustrują wojnę z peruką. Lecz chociaż w tym cyklu, jak i w mnóstwie pomysłów humorystycznych, zdradza swawolę romantyka, artystę wyzwolonego, chociaż w „Lisie Reinecke" zwiastuje wymownie realizm, — malowidła jego historyczne nie wiele skorzystały z reformy, którą nosił w sercu dla muzy swego kraju. Zostaje w nich teatralnym deklamatorem, ruchliwszym niewątpliwie i cieplejszym od Corneliusza, ale zawsze frazeologiem. Jego żydzi i jego grecy, są szablonami téj saméj daty i rodzaju, co wzniośli, ale podobni do siebie bohaterowie Wielanda, Lessinga, lub innych poetów odrodzenia niemieckiego.

Z Matejką dzieje się wprost przeciwnie, a przeciwieństwo jest wyraźne i niepotrzeba naciągać faktów, żeby je widzieć. On bowiem żadnego nowatorstwa wprowadzać nie chciał, a właśnie erę stworzył. Oto dla czego tak był mimo swą niezwykłość przystępnym dla ogółu. Z wybitnemi zaletami malarskiemi, szła u niego w parze silna poezya, którą zawsze zrozumieć łatwiéj, bo jest gruntem, wspólnym wszystkim bardziéj wyrazistym sztukom. Malował wedle dawnych pojęć, które kazały wybierać chwile i motywy możliwie szerokie i wzruszające lub wstrząsające. Na podobieństwo jakiegoś Rembrandta kochał się w archeologii i był, jak mistrze włoscy, wielkim znawcą sztuki ozdobniczéj, budownictwa i tego wszystkiego, co ma styl.

Lecz prześcignął zarazem wszystkich w poczuciu tego, co się z minionych czasów osobliwie przed pędzel naprasza i o farbę woła. To go uczyniło w całéj twórczości europejskiéj żywym paradoksem, był mimo całą łączność z dawnemi nawyknieniami malarstwa istną niespodzianką. Zresztą każdy prawdziwy geniusz nią bywa. Ani heroldowie, ani paziowie nie szli przed jego majestatem artystycznym. Wpadł na widownię sam, gniewny, zapalczywy i rozkazujący, jak król Lear, i dopiéro za nim ciągnie się sznur dworzan i dworaków. Nie brak między nimi nawet i trefnisiów, co wyzyskują chwile jego rozdrażnienia, ani służalców, co łechcą dumę i uspasabiają do wybryków dziwacznych, ani takich mimowolnych komików, co ucząc się na nim, krytykują tonem nieomylnéj wyższości nazajutrz po jego śmierci... Nikt nie może się pochwalić, że był mu mistrzem lub przewodnikiem, chyba całe wieki historyi. To jego właściwa kolebka i szkoła; ona ukształtowała jego wzrok, którym patrząc na dobę dzisiejszą, widział figurki drobne, samych homunkulusów. Téj teraźniejszości wprost boi się i przed nią ucieka—upaja

się i oszałamia tak samo wizyami, wypiękniającémi przeszłość, jak Paolo Veronese odurzał się świetnością legendowych uczt, i przepychem barw, a Delacroix grozą burzy morskiéj lub rzezi na Chios, dokąd wraz z Wiktorem Hugo uciekał wyobraźnią od szaréj, prozaicznéj rzeczywistości.

Jeśli nie człowiek pewien, to za to pewne miasto ma prawo chlubić się, że swą pieczęć na nim wycisnęło i poniekąd fantazyę jego urobiło. — Jest niém „Gród podwawelski". Oczywiście, stało się to drogą samego powinowactwa duchowego, a nie za sprawą jednostek. Te bowiem, swego czasu, gdy artysta zawód swój poczynał, stanowiły mu takie wróżby, jak gdyby koniecznie pragnęły stwierdzić na sobie słuszność przysłowia niemieckiego o prorokach. W Krakowie takie rzeczy się zdarzają i przeto dziwném jest, że Matejko malując „Nadanie przywilejów" akademii nie policzył między nie i powyższego daru przepowiedni.

Ale gmachy i ulice bywają lepszymi wychowawcami niż ludzie. Starożytna fizyognomia Krakowa zrobiła swoje. Jego kościoły gotyckie i obfitość baroku w domach prywatnych, jego perspektywy, typy, zakątki i niewyczerpany skarbiec wspomnień, powaga średniowiecznego skupienia dokoła rynku i mnóstwo innych cech podobnych tworzą środowisko, w którém historyczny romantyk nie zazna pustki, lecz owszem czuje się raczéj przytłoczonym łnawałem kształtów, widm—i postaci żywych.

Matejko urodził się na Skargę. Najwłaściwszym dlań żywiołem i miejscem pobytu byłby dwór królewski. Nawet niepodobna o nim twierdzić, że m a r z y ł o przeszłości, lub miewał jéj wizye. Nie, on ją sobie stworzył na nowo i żył w promieniach królewskiego blasku. Pragnienie i tęsknota stały się niemal rzeczywistością. Ma się sam za olbrzyma i przebywa tylko z ludźmi dawnymi, których piersi trzymają miarę Fidyasza, nie krawca. Jak na niektórych płótnach swych wprowadza siebie samego w orszak monarszy, tak i w życiu radby zdobić jaki majestat, i w zamian przy nim podnieść majestat własny. Krążyły swego czasu pogłoski, że bolał nad swém skromném, mieszczańskiém pochodzeniem i usilnie pragnął być uszlachconym. Mówiono nawet, iż chciał cesarzowi Franciszkowi Józefowi d a r o w a ć swego Batorego. Nie była to oczywiście ani próżność pospolita ani służalstwo Trembeckiego, ale raczéj głęboka, ogarniająca całą istność, chęć wcielenia się w historyę i zerwania z teraźniejszością.

Gdy patrzymy na jego obrazy, zdaje się nam, że słyszymy „Głos umarłych" Naruszewicza. Jeno że tamten wzdryga się przed

„herbowną hołotą", która zrobiła „ojca, wodza, sędzię" stekiem pustych nazw, a ten gardzi hołotą pieniężną; nie bije pokłonów złotemu cielcowi i każdym krokiem swym w życiu praktyczném dowodzi, że grosza nie szanuje i obchodzić się z nim nie umie. Zresztą wystarcza mu zorza dawnéj chwały ulubieńców i to pewnie miał na myśli, gdy bawił w naszém mieście i na toasty powitalne odpowiedział słowami poety:

Płaszcz mego ducha nie jest wyżebrany
Lecz świetnościami przodków moich świetny.

Cóż tedy dziwnego, że był bardzo prawowiernym i w przekonaniach swych wstecznikiem? Ten jego nastrój pochodził przecie z idealizmu, którego doba dzisiejsza nakarmić nie mogła, a który w Europie minionéj strawę znajdował obfitą i pożywną.

Powiedziałem: w Europie — z rozmysłu. Nie można przypisywać Matejce gustów, zamkniętych pewnemi terytoryalnemi granicami. Bujał on wyobraźnią nad wszystkiém, co było świetne, i bardzo często w ramy obrazów swojskich wstawiał postaci obce. Za to jasném jest, że nie cała przeszłość jednakowo sobie jego miłość zdobyła. Przekonywają o tem daty, z których brał swoje wielkie sceny i wielkie głowy pojedyńcze. Przeważa śród nich koniec wieku piętnastego, cały szesnasty i początek siedmnastego — słowem czasy Odrodzenia. Sławna ta epoka najlepiéj odpowiedzieć może wygórowanym pragnieniom marzyciela, zwłaszcza, gdy ten jest plastykiem! Daje mu ona nie tylko pokolenie o potężnym duchu, ale i najbardziéj, że tak powiem, mięsiste, herkulicznie muskularne. Nie dziwić się Taine'owi, że tak samo pokochał to plemię, obdarzone równie subtelną wrażliwością, jak i mocą cielesną, lotnością wyobrażeń, jak i ogromną skalą żądz i namiętności. Wtedy to umiano tworzyć, olbrzymio pracować, dużo żyć. Stąd ta obfitość wielkich artystów, rzemieślników, pisarzów. Z nimi to lubił obcować nasz malarz; jego towarzysze to Lutry, Dürery, Wit Stwosze, królowie jak Henryk IV, lub całe rodziny książąt włoskich, zajmujących się wydawaniem książek i rewidowaniem manuskryptów, humaniści jak Ulryk von Hutten lub Erazm z Rotterdamu, drukarze jak Aldo Manuciusz, alchemicy jak Michał Sędziwój, genialni księża jak Rabelais, lub poeci jak Kochanowski. To nic nie znaczy, że nie wszyscy oni na płótnach się znajdują — dosyć, że duchem swym je owiewają. Po całém średniowieczu robót zbiorowych, powszechnych, tworzą oni przypływ indywidualizmu i wracają do natury

i portretują siebie samych, bo nabrali samowiedzy swoich praw do szerokiego, kipiącego, wezbranego życia i użycia. W tym to odmęcie zasmakował Matejko, w nim pławił się, bo prawdopodobnie był mu krewnym, powinowatym z natury swego ustroju.

Gdyby był tylko człekiem pobożnym, tylko tym, co wedle własnego jego wyznania, każdy dzień zaczyna od modlitwy na klęczkach i Bogu pierwsze swe słowa poświęca, możeby cofnął się aż do epoki gotyckiéj. Ale, że posiadał w gruncie rzeczy wzorowe warunki malarza, buntownicze, heretyckie poczucie mięśni i siły fizycznéj, bogatéj okazałości, przepychu i koloru, więc archaiczność jego zmniejszyła się o parę stuleci. Zadowolnił się tém, że setkom dostojników kościoła, których malował, dawał jeno tło i akcessorya gotyckie, lecz nie umiał ich nacechować miękkością, naiwnym ascetyzmem, potulnym wdziękiem Giotta. Jest zanadto twardy, dosadny, energiczny, lapidarny. To oczywiście kamienna formacya rzeźby renesansowéj, a nie drewniana—gotyckich ołtarzów i presbyteryów. Podobnież i owa polichromia, którą ozdobił wnętrze kościoła Maryackiego, jest zbyt pyszna, żywotna jak na właściwy gotyk, a głowy i główki zbyt ładne i harmonijne.

Było to więc drzewo, którego tęgie korzenie szeroko rozściełały się pod ziemią i wdzierały w zagony sąsiednie. To, co w jego stylu, królewsko-dostojnym, potężnie renesansowym, jest polskie, wyszlachetniło się wprzód cywilizacyą całéj Europy. W wątek wydarzeń z historyi swojskiéj, wplatał różne narody: niemców, rossyan, prusaków, włochów, francuzów i nie powiem nawet, żeby zachowywał należyte różnice typu: góruje nad niémi piętno epoki. Przyjrzyjmy się tylko „Joannie d'Arc", „Hołdowi Pruskiemu", „Grunwaldowi", „Królowéj Bonie", „Kazaniu Skargi".

Gdyby nie ten daleki promień pomysłów, z pewnością byłby zupełnie niezrozumiałym dla zagranicy. A wiemy przecie, że choć go nie doceniano, jednak stawiano bardzo wysoko.

Lecz musimy zrobić tutaj ważne zastrzeżenie. Przewaga uczuć chrześciańskich złagodziła, starła częściowo stempel Odrodzenia w Matejce. Jego gromka swada i wystawne krasomówstwo, jego retoryka barw, są znakomicie uduchowione.

Nieraz roztapiają się one w momenty skupionéj, już nie dworskiéj, ale domowéj zacisznéj liryki, choć i ta otoczoną jest zawsze wspaniałem tłem. Do tego szeregu należą takie arcydzieła rzewności, jak Zygmunt i Barbara, jak Kochanowski nad zwłokami Urszulki, jak smutny, zadumany Stańczyk lub Wit Stwosz z córeczką. Nie są to wątki wyszukane: ża-

łoba ojca, nędza ociemniałego przez podłość ludzi rzeźbiarza, przecudna miłość pary monarszéj, która dla świata ma powagę władców, a dla siebie uścisk, pieszczotę tkliwą, co dwie istności w jednę jakoby zlewa. Tu widać całą oryginalność artysty i całą męską jego siłę, bo w jego poematach lirycznych nie ma czułostkowości; dobry smak hamuje poryw płaczu i natomiast nadaje im posągowość, piękny jakiś ruch, niepowszedni układ figur, treściwie charakterystyczne, wymowne spojrzenie. I one téż, tak zwięzłe i mało zaludnione, najdobitniéj głoszą, że Matejko umié się zdobyć na wdzięk i elegancyę, na wytworność prawdziwego dworzanina, medycejskiego pupila, malującego pod bokiem swego łaskawcy wyniosłych królów, pięknych bohaterów, blask korony i geniuszu. Ma on téż sam swoich ulubieńców, którym każe promieniować szlachetnością naokół i całe obrazy podnosić w dostojeństwie. Mają oni zwykle głowy piękne, dumne, polotne i myślące. Czoła wysokie z wielkiemi, jak lwia grzywa, czuprynami, długie brody i pociągłe, jak zaduma, twarze jego prześcigają urodą typy Czarnieckich i Kochanowskich. Nawet dzieciom, pacholętom dworskim i ulicznym każe przyczyniać się do spotęgowania blasku i wytłacza na nich rasę ogromną, szlachetną, chyba urodzoną z wyjątkowych osobników słowiańszczyzny. Tak samo postępuje z własną swą rodziną, lub osobami całkiem spółczesnemi: daje im na portretach moc i polot, jakiś rzymsko-słowiański arystokratyzm, rysuje ich profil z zuchwałą improwizacyą, jakgdyby wszyscy oni mieli jakiś sławny, długą dynastyą utrwalony rys nosa, warg lub podbródka i nie wymagali wcale dokładności w szczegółach. Obdzielając tak wszystkich wspaniałością, nie zapomniał i o zwierzętach—jego konie to rumaki z Apokolipsy, tak piękne, że godne byłyby dźwigać na swym grzbiecie anioła zbawienia lub bóstwo śmierci.

Ta przewaga stylu odbiła się nawet niekorzystnie na wyrazie jednostkowym i nie rozumiem, dla czego tak go u nas bezkrytycznie zachwalono. Skarga, Rejtan, Unia lubelska świadczą, że wiele fizyognomii łączy wielkie podobieństwo; są one wydatne i wybitne, ale za mało się między sobą różnią. Pieczęć, rasa zbliża je, jeśli nie sprowadza do wspólnego mianownika. Nad realizmem portretu góruje u Matejki ekspresya zbiorowa, gromadna. Twarze są wprawdzie niezmiernie poetyczne i dostojne, głęboko poorane zmarszczkami, gdy należą do starców lub mężów wybitnych, ale pochodzą z jednéj rodziny. Można by wziąć stąd pochop do twierdzenia, że dla niego jednostka nie była modelem najwyższym, jak świat wewnętrzny—uczucia miękkie—nie były struną,

najsilniéj wstrząsającą włóknami jego nerwów. Ogarniając umysłem całe pokolenia i całe epoki, chciał téż stwarzać wielkie owe tłumy, co zaważały na szali dziejów i rodziły wiekopomne zdarzenia, lub przynajmiéj ich świadkami były.

A zatém w dramacie, w tragedyi wyzwalał dopiero całą swą energię i cześć dla dni minionych. One właściwie są jego państwem udzielném. „Genialny barbarzyniec" nie rozumiał spokoju i harmonii. Cały na łasce dziko-artystycznego fanatyzmu, nie umiał albo nie chciał skrajności swoich powściągać. W swéj nadduchowości cierpkiéj i zgryźliwéj robi wrażenie średniowiecznego mnicha, który w ponuréj komnacie klasztoru wysiaduje wielkie, brzemienne przewrotem odkrycia i rozmawia tylko z głosem natchnienia oraz widmami swéj wyobraźni.

W pośród jasnych, trzeźwych umysłów, z których się składa dzisiejszy ogół, Matejko wygląda tak, jak wyglądałby kościół Marjacki ze zczerniałemi swemi murami i oknami, gdyby go przenieść i postawić w kole kształtnych lecz prozaicznych budynków naszéj doby, nie odebrawszy mu ani jégo bezkształtu ponurego i ciężkiego, ani jego starożytności bogatéj iście po królewsku i zarazem posępnéj. Gdy pomyśléć o tym drobnym, słabym człowieczku, jak zawieszony śród rusztowań świątyni, rzuca na jéj ściany z płomiennéj swéj palety jaskrawe desenie i bystro patrzące twarze, przypomina się Michał Anioł, jak zawieszony w hamaku u stropu kaplicy Sykstyńskiéj malował S ą d o s t a t e c z n y. Bo zaliż S k a r g a to nie S y b i l l e i P r o r o c y, pełni myśli ukrytych a znaczących, które tak nie do smaku przypadły Juliuszowi II? Czyż Matejko nie pochodzi tak samo, jak Buonarotti, jeśli nie z rodziny, to z rodzaju surowych, gromiących milczkiem sędziów? Jest między nimi widoczne podobieństwo, nie tylko idei, w duchu piastowanéj, lecz i ustroju. Wielki włoch chciał gwałtem tchnąć w bryłę kamienia pomysły tak gigantyczne, że się one ze słabości dłuta wprost śmiały, a zuchwalec krakowski pragnął gwałtem przeprzéć materyał malarski, wlać weń choćby całą wspaniałość dziejów, całe narody i wojska, piękno wszystkich muz, przepych złotogłowiów i purpur, wiwatujące okrzyki tryumfów i hołdy całych mocarstw. To téż obadwaj ponoszę karę za swe nieposkromione zapędy i jeden nieraz rąbnął w twórczéj werwie młotem za silnie i psuł pyszne dzieło; drugi, niecierpliwy, zawzięty, gniewny, malował ostre kontury, twarde cienie, zatracał poczucie wzajemnych odległości i powietrza, stłaczał figury w jedno kłębowisko.

Lecz wróćmy do tragiczności. Trudno po prostu nie zdumiewać się, że taka dusza potężna, tytanicznym swym ciężarem nie

zgniotła już dawniéj nikłego, wątłego organizmu. Widocznie w ciele Dawida tkwiła siła Goliata.

Dwie to różne rzeczy: czuć tragicznie, a tragicznie malować. Matejko obie te zdolności łączył w sobie i krocie swych szerokich i potężnych dziejową doniosłością pomysłów, wyrywał z łona i rzucał na płótno. A straszna musiała być ich moc i wielkiem—kapłaństwo, skoro umiały przetrwać w całéj swéj nawałności aż do skończenia obrazu, zajmującego nieraz parę lat. Mocy téj nie potrzeba zbyt wiele w zwykłych momentach zbiorowych, jak np. w Otruciu Bony lub Smierci Wapowskiego. Tu chwila główna, środkowa dramatu nastąpiła już, albo ma dopiero nastąpić, lecz widz świadkiem jéj nie był i nie będzie. I tu oczywiście dużo było trudności pierwszorzędnych do pokonania, należało zestroić mnóstwo twarzy w jeden akord, tak, żeby zgodność gry, tonów i półtonów, była również uderzającą, jak indywidualne różnice osób. Bo gdyby moment nie tłómaczył się łatwo, szybko, odrazu nawet, gdyby potrzebował objaśnień lub łamania głowy — jużby cios sztuki był chybionym.

Atoli względnie spokojny, umiarkowany podziw dla takiego obrazu przechodzi w zadowolenie silniejsze, we wzruszenie gwałtowne wobec pewnych dzieł Matejki, bodaj czy nie najbardziéj znamiennych i typowych. Tam bowiem czynnik psychologiczny ma siłę, łoskot i grozę piorunu. Takich dzieł artyści zwykle nie wytrzymują; udaje im się co najwyżéj napomknąć tragedyę tą lub ową postacią, albo téż zacząć dobrze i skończyć bez wrażenia, natężeniu odebrać jednostajność. Najczęściéj dają nam w podobnych wypadkach melodramat lub rozmachanie fizyczne bez głębokiego wtóru duchowego. Matejki zaś Rejtan i Skarga wyziewają istotnie tę siłę gromową, która kontuzyonuje, rzekłbyś, umysł, osłupia i przeraża widza. A musiał ją artysta nosić w swém sercu bajecznie długo, gdyż prace to tłumne, olbrzymie i aż do drobiazgów wykończone.

Innemi słowy pomysły odważne, napastujące widza z drapieżnością i szerokim lotem sępa, wypuszczał on z swéj pracowni świeże, niezmęczone, nieporonione w połowie bolesnéj ciąży i nie skazane na rychły zgon. Weźmy jeszcze taką Bitwę pod Grunwaldem. Dla wad, jak brak perspektywy, można od niéj odejść wzruszając ramionami, ale niepodobna nie przyznać, że tu ścierają się wielkie potęgi, wcielone w pół-bogów i bohaterów. Nie jest to sposób pojmowania rzeczy nowy. Bataliści dzisiejsi malują inaczéj, ułatwiają oni sobie zadanie tak, jak karabiny i działa upraszczają walkę, rzucając ją na wielkie obszary, śród których gdzieniegdzie

czernią się zbite i jednakowe szeregi żołnierza. Nasz mistrz splata ze sobą wodzów, książąt i królów, jak się splatają rogami walczące jelenie, zwiera ich w sturamiennego potwora, w którym jednak więcéj od rąk działają oczy, płomienne, groźne, poważne, jak u Władysława Jagiełły lub wielkiego mistrza krzyżackiego, żagwie wytężonego ducha.

I pod tym jeszcze względem dochowuje on wiary tradycyi, że upiększa wszystko, dekoruje. Ów potwór Grunwaldu jest nad wyraz świetny, jaskrawy i malowniczy; ugina się on pod brzemieniem szkarłatów, purpury i złota; nawet dzikie skoki lub srogie wejrzenia teutonów opromienione są blaskiem zbytkownéj odzieży i rynsztunków. To, co powinno być w naturze odrażającém, szpetném, wypięknia się, stylizuje. Tak właśnie pojmowali sztukę mistrze Odrodzenia. Judasz Leonarda da Vinci w ogólnym koncercie Wieczerzy Pańskiéj traci część swéj ohydy, ażeby nie ćmić podniosłego uroku całości. Można być pewnym, że Matejko potrafiłby, gdyby chciał, mrozić krew w żyłach, jak bezwzględny naturalista bitew i pobojowisk Wereszczagin, lub znakomity twórca Zaporożców, rossyanin Riepin, ale mu pobożne biblijne pojmowanie historyi na to nie pozwalało.

Nieszczęśliwy to był koncept, który się u nas ciągle powtarza, nazwania „realizmem“ téj szlachetnéj manii zdobienia wszystkiego. Gdzież jest rzeczywistość, któraby tyle ducha i tragedyi zawierała? Jaki dwór królewski, choćby papieżów lub Karola Wielkiego, którym nie jedno płótno zgasłego artysty tak dziwnie odbrzmiewa,— był takim stosem skarbów, szat i klejnotów, miał tylu dworzan pięknych, dumnych, głębokich i wybitnych rysami twarzy i układał się tak pomnikowo?

Matejko był realistą, ale w tém znaczeniu, że skupiał mnóstwo ducha, uczucia, myśli, a duch jest zawsze znamieniem wielkiéj prawdziwości i tętniącego życia. Powiedziałbym też, że ostatnie prace, wymalowane po Joannie D'Arc, mają go coraz mniéj, coraz są więcéj dekoracyjne, albowiem w nich zaczyna przeważać epos nad dramatem; patos wprawdzie zostaje, ale nie jest już wiecznie gorejącym kotłem, lecz szumnym, uroczystym rapsodem.

Lecz pasya jego nigdy nie zmalała do tyla, żeby mógł uprawiać temata rodzajowe lub choćby pejzaże. Mógł jeno i umiał być wielkim portrecistą. Z saméj natury jego i usposobienia wypływała owa stanowczość i jednolitość, na którą zwykle tak silą się ludzie, malujący twarze i głowy. Bywają wprawdzie pięknemi i portrety, celujące wdziękiem układu lub pozy, albo też delikatną smakowitą

robotą. Lecz Matejko wyobraża kierunek siły i męskości, umie on przedewszystkiém „ścisnąć, wytężyć i razem wyświecić“ czyjąś indywidualność, albo typ czyjś, chwyciwszy je w momencie najbardziéj zdradzieckim, znamiennym, ekspresyjnym. Wyszło więc z pod jego pędzla niejedno arcydzieło szorstkiéj lecz przenikliwéj psychologii. Tu i owdzie nawet on, parafianin schowany, jak Jan Chrzciciel, dla oka ludzkiego, zawadza bezwiednie o ów piękny, zachodni impresyonizm, co to podkréśla grubo jeden jakiś rys osobliwszy, albo jedno spojrzenie charakterystyczne, jeden wreszcie ruch okazowy. Nawet malarz paryski z końca wieku, z całą swą finezyą, nie powstydziłby się téj szerokiéj i dorywczéj maniery, jaka widnieje z wizerunku królowéj Bony, malowanego oddzielnie, z chytréj twarzy Fulkona, arcybiskupa gnieźnieńskiego, z krogulczego profilu Jana Olbrachta, albo stu innych portretów. Tylko, że dosadnością swą prześcigają one głowy świeższéj roboty, a przypominają natomiast żywo marmurowe popiersia cezarów rzymskich, jak Nervy lub Karakalli. Nie dziw, wszędzie tam została cząstka duszy samego twórcy. Stwarzał on przecie bezlik królów, dworzan, biskupów z wizerunków nic nie mówiących. Jego postacie, nawet gdy wyrastały z zadów końskich jak w Dziewicy Orleańskiéj, lub przedziurawiały się wzajem, niby święci na odpustowych malowankach, tchnęły tak potężną rasą i stylem, jak gdyby przeznaczone były dla jakiéj książki z zakresu dziejowéj fizyognomiki. W tym względzie był on na całéj niwie nowoczesnego malarstwa jedynym. A choć ta energia graniczyła nieraz z manierą, świadczyła przecież o patosie, pochłaniającym całą istotę.

Jak gdyby w przeczuciu śmierci, rychłéj i nieco przedwczesnéj—urodził się bowiem w r. 1838 — pokazał niedawno własny swój portret [1]. Kiedyśmy go oglądali u nas, w salonie towarzystwa zachęty, akurat rok temu, czuliśmy, że wiele naszych domysłów potwierdza i o wielu nowych rzeczach poucza. W każdym razie odsłaniał przed widzem wraźliwszym wewnętrzną tajemnicę tego człowieka i artysty, starczył za całą autobiografię. Wobec niego zapominało się odrazu o całym szeregu płócien z okresu, który można by nazwać dla braku bryłowatości gobelinowym, kiedy to płótna ogromne, stłoczone, stawały się jakimś chaotycznym barokko, pełnym nieraz nakręcań, przesady i gwałtów nad postaciami dwu — i czworonożnemi.

---

[1] Malowany dla głośnego i umiejętnego zbieracza hr. Milewskiego z Wilna.

Było wprost niepodobieństwem zachować przed takim Matejką—równowagę i umiarkowanie. Egzaltacya ogarniała człowieka i podszeptywała mu, że po za Rejtanem, Skargą i Unią Lubelską była to może kreacya najlepsza. Budziła ona myśli i uczucia—naturalnie, szczerze, samorzutnie, nawet w najnaiwniejszych profanach i tworzyła jeden powszechny nastrój i skupienie, które nie pozwalało oderwać oczów, nie dawało zejść z miejsca i skłaniało do nowych i coraz to nowych odwiedzin. Na szarej pustyni codziennéj, zwykłéj twórczości obraz ten wystrzelał nagle, niby świeży a potężny krzew, wabiący zdaleka i wabiący na długo.

Z dawien dawna malarze robili własne swe wizerunki, czego dowodem są tacy, jak Rafael, Rembrant, Leonardo da Vinci i mnóstwo innych. Jest to zwyczajem prawie, który jednak dla nieportrecisty bywa często orzechem trudnym do zgryzienia, no a już rzadko kiedy przyczynia się do ukoronowania zawodu. Dość rozejrzéć się po smutnie nieudolnych najczęściéj podobiznach, których cały poczet oddano w Towarzystwie Zachęty na łup much i pająkom, gnieżdżącym się u sufitu. Z Matejką dzieje się wprost przeciwnie—portretem swym skrzywdził własne swoje, choć nie wszystkie obrazy. Jednak, powtarzamy, uzupełnił je zarazem i objaśnił. Tu bowiem spotęgował jeszcze, a więc urzędownie poniekąd zatwierdził ów typ atletyczny dawniejszych swych figur. Jego siła napięta i na poły tylko w ostatnich pracach wyzwolona, tutaj znalazła jakoby upust. Starzec, który siedzi oto przed nami na starym fotelu, obitym pluszem, to niebywale trafny i bystry samorozbiór poety, który tak samo traktuje malarstwo, jak, dajmy na to, Wagner—muzykę. Ma je za pachołka w usługach idei, przekonywającéj czy nie, ale zawsze idei, śmiałéj, proroczéj i trochę cudacznéj. Widać odrazu, że nie jest to artysta nowomodny, w rodzaju Corota lub Courbeta, którzy cierpieli na jawny pismowstręt i na widok kalamarza lub książki, wpadali w prawdziwą, nie udaną wściekłość. Mozoli się on potroszę i dla chwały Bożéj, wzorem jakiegoś Wita Stwosza.

Matejko przedstawił siebie—bo pewnie tak siebie rozumiał—pod postacią mędrca lub wieszcza, któremu żywiołem jest, jak pięknie mówi Goethe, „ból po błędnéj jak labirynt drodze,“ (przypisanie Fausta), borykanie się ze światem lub szamotanie z własnemi myślami. Kto by go nie znał, wziął był to na pierwszy rzut oka raczéj za portret uczonego dziejopisa lub myśliciela, bo jedyném ostrzeżeniem są pewne symbole malarskie, całkiem zewnętrzne i umówione.

Nie masz tu zwykłéj maski artystycznéj, na którą składają się

fantazya, rozrzucenie, udana młodość. Za całą swobodę mamy tu strój z rozmysłu niewykwintny, i trochę bezładu w siwych kosmykach brody i czupryny, trochę wytartych fałdów fotelu. Poznasz po nich, że to nie jegomość, należący do porządnych całą gębą obywateli, ale ktoś, co jest samowładnym królem i ma swe udzielne państwo—w pracowni.

Tylko krwawy mozół może się wypiętnować na obliczu takiemi bruzdami. Tylko żar wewnętrzny jest w stanie takie płomienne odblaski rzucać na czarne źrenice, tylko herkulesowa praca może tak wysuszyć tkankę tłuszczową, zabrać całą okrągłość ciała i zostawić same mięśnie i żyły. W tej głowie wyczytujemy całą epopeę o burzach i miotaniach się wplecionego w koło Iksyona. Lecz ten jéj bohater nie ma w sobie nic klasycznego—jest suchy, cierpki; wejrzeniem prawie gromi. W wenach jego nie ma—widać to odrazu—krwi błękitnéj, bo w rysach i samym odcieniu siwizny ukrywa się jakgdyby ślad gminnego lub tylko mieszczańskiego rodu. Nie trudno odgadnąć, że wyrósł z nizin własną zasługą, dziwacznym talentem, zawziętym uporem, a kto wié, może nawet i nieżyczliwą innym ambicyą. W tym oschłym zrzędzie, od twardych kości twardszym jest wzrok. Lubi on pewnie rozkazywać, wszystkich za uczniów uważać lub w potrzebie mścić się, jak popędliwy ojciec Kordelii. Najpewniéj jednak zamyka się w sobie, jak żółw w skorupie, zżyma się, podnieca i zaciska pięści.

Może się kiedyś ta analiza sprawdzi, gdy poznamy bliżéj prywatne losy i życie tego artysty, ale chyba nie wiele w niéj pomyłek, bo w portrecie mało jest szczegółów, tłómaczących się dwuznacznie lub niepewnie. I właśnie cała jego niezmierna wartość i urok polegają na téj bezdennéj wyrazistości, na sile wewnętrznego skrystalizowania się i bogactwie charakterystyki.

Lecz tę musimy jeszcze uzupełnić. Mistrz tedy robił swój wizerunek z przejęciem — to aż nadto jasne. Ma się on za pół boga, takim się chciał ludziom objawić i pewnie w tym celu trochę się upiększył. Śmiesznego w tem niema nic, bo taka próżność czy zarozumiałość chodzi zwykle w parze z wyjątkowym indywidualizmem i płynie jeno na falach ducha, co się już za brzegi wylewa. Inaczéj owa chęć zostałaby tylko chęcią, gdy w rzeczy saméj stała się ciałem. Ten pan musi istotnie być w jakimś związku z bogami, bo przyciąga nas dziwną, magnetyczną siłą. Wniósł on do galeryi obrazów pewien niepokój: gdzie się obrócisz, goni cię spojrzeniem, nakazuje cześć, zmusza wpatrywać się w siebie i wielbić zarówno swój wyraz, jak i samą technikę i układ płótna.

Bo też śmiało nazwać je można wyjątkowemi. Artysta miał snadź dla nich sentyment osobny. Przedstawił siebie w pozycyi pewnéj, naturalnéj i wygodnéj, jak na takiego modela przystało. Robi on wrażenie, jakgdyby wpatrywał się w siebie przenikliwie i pilnie. Samo téż malowanie wypadło po mistrzowsku, osobliwie niektórych części, jak tużurka, którego miąższość jest doskonała, cieniów padających od jego poły i nadewszystko fotelu. Można się wielu rzeczy nauczyć na tém marném, spłowiałém i wypełzłém obiciu zwykłego sprzętu. W ogólnym kolorycie przeważają tony brunatne i rdzawe, coraz częstsze u Matejki, lecz tony lokalne, jak np. obu rąk i twarzy mają siłę i jędrność i czynią skórę umyślnie twardą i nie gładką. Zresztą, jeśli gdzie, to tu najmniéj miało się ochoty i zasady do ocen drobiazgowych; pedanterya milkła wobec skończonego obrazu; nie raziły lapsusy—bez których przecie Matejko nie byłby sobą, jak np. niepomierna długość środkowego palca prawéj dłoni, dwa razy dłuższego niż wskazujący. Każdy, kto umiał patrzéć i czuć, choćby przybył z drugiego końca świata, stawał skamieniały przed tém wcieleniem twórczego ducha, bliskiém prawie bolesnego dramatu.

* * *

Umrzéć, nie dobiegłszy nawet szóstego krzyżyka, jest to przejść metę nie długą, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że Matejko portretami ostatniemi i w ogóle stroną wyrazową swych dzieł, należał jeszcze do okresu rozkwitu i pełni swego geniuszu. Lecz, jeśli porachować ten niezliczony prawie tłum utworów, wyszłych z jego pracowni, lub choćby tylko znanych szerszemu ogółowi, wypadnie, iż wędrówkę przebył bardzo długą. A przytém nie lubił się on powtarzać, wzorem tylu innych malarzów, nie wyzyskiwał własnych pomysłów, duchowość jego była stale jednego natężenia i nie zapowiadała nigdy wyczerpania.

Byłoby niemożliwém objąć jednym rzutem oka tę nieskończoną galeryę, gdyby nie łączyła jéj dokładnie wspólna, a tak odrębna indywidualność. I choć, jak widzieliśmy, są tam motywy przeróżne, od wrzących bojów i wspaniałych obchodów, do zimnych studyów architektonicznych i królewskich precyozów, szat i zbroi i różne rozmiary, od olbrzymich do całkiem małych — to jednak tchnienie wspólne, niczem nie zatarte, owiewa je wszystkie. Wyliczając obok wspomnianych już, Pożar Krakowa, Wjazd Henryka Walezyusza do Krakowa, Hołd Pruski, Kopernika, Śmierć Borkowicza, Zamojskiego pod Byczyną, mo-

żna z czystém sumieniem nie dbać o porządek i starszeństwo wieku. Trudnoby nawet przyjąć jakąś ogólną formułę jego rozwoju, albowiem przed samym skonem miewał rzuty perspektywiczne, znacznie lepsze od niektórych dawnych. I kto wié, czy nie pod wpływem tego rodziły się domniemania, że artyście nie sama tylko myopia bruździła, témbardziéj, że nie pociąga ona za sobą podobnych i tak rażących braków. W ogóle pole do domysłów otwarte, choć ustalić prawdę byłoby i rzeczą ciekawą wielce i ważną dla zrozumienia téj niepospolitéj organizacyi. Jedni np. zapewniali, że Matejko nie widział późniejszych swych płócien w całości, lecz tylko skrawkami; inni, że umyślnie zacierał przedziały między figurami, malował części matowo lub kazał aniołowi unosić się tak nisko nad głowami ludzkiemi, że im zagrażał. Miała niby w tém być intencya lekceważenia wymagań trzeźwéj jasności i pietyzm dla naiwnych, starodawnych—chyba romańskich—malowideł i kronik. Hypoteza ta nie trafia nam szczególnie do przekonania. Po pierwsze, jest mglista; powtóre nie zgadza się z dawną metodą artysty, któréj przecież zawdzięczamy jego arcydzieła, i chybaby się chciało dopatrywać pewnego związku między tą dziwną, naciąganą symboliką a późniejszą słabością dla znaków pobożnych na obrazach. Lecz tak czy owak, część winy przypada niechybnie na dysproporcyę jego władz twórczych. Nadmiar planu zmuszał do zaniedbywania czynników materyalnych, skala pomysłów przewyższała zdolność saméj sztuki.

Mówi się pospolicie, że artysta żaden z własnéj skóry nie wylezie i że wszystko w nim dzieje się mocą takiego a nie innego ukształtowania zdolności. Może to i słuszne, ale trudno nie ubolewać, bo nic w danym wypadku nie zmieni faktu, że obraz bez wgłębienia i powietrza przestaje być właściwie obrazem. Patrzymy na te Grunwaldy i Dziewice Orleańskie, jak na wielkie odłamy rzeźb pergamejskich, wykopane przez Schliemana i wołamy: Co to za cuda byłyby, gdyby je uzupełnić. Tyle pracy i tyle lat genialnego życia spełzało nieraz na tem, by zostawić ciekawy zabytek, osobliwość, pamiątkę po dziwnym malarzu, dającą się pociąć na pyszne, wzniosłe głowy.

Wierzymy, że kolorytu nauczyć się nie można. Nie mogło być na to rady, że u Matejki siła nie szła w parze z harmonią barw. Pojedyńcze, miejscowe są potężne i nieraz idealnie czyste, ale nie stroiły się w całość. Olśniewały, lub jak drwili francuzi, oślepiały, lecz nie zachwycały, tworząc niekiedy, naprawdę, barbarzyński zamęt. I to téż wątpliwości nie ulega, że bez żarliwstwa w pewnych kierunkach, stanowiącego rodzaj dźwigni, nie byłby wielkością. Mo-

żna by mu więc łatwo wybaczyć różne grzechy, jak ten, że sterując szkołą krakowską sztuk pięknych, bywał ograniczony, ciasny, zawzięty, znęcał się nad niektórymi uczniami i, błotem bryzgając na realizm, nurzał w niém Gierymskiego. Ale tu dużo złego zrobiła i głupota ludzka, owa pobożna korność przed „najwyższém objawieniem sztuki,“ ów płaszcz gronostajowy, który kładziono na plecy artyście, dziś już łachman wytarty. Łaska galicyjskich panków i nieuków zarozumiałych otaczała go *odore sanctitatis*.

Gdy zaś poczęto krytykować, znowu zwykłą koleją rzeczy — zatracono wszelką miarę. Matejko opędzał się muchom i komarom wspaniale, jak tygrys królewski, choć prawie bezskutecznie. Był to czas, kiedy gwiazda jego zbladła, przyćmiły ją głównie zorze wschodzącego realizmu i *plein airu* i owa wielka ich wybujałość, któréj świadkami byliśmy aż do naszych dni. W powietrzu grzmiało od rac sekciarzy, wypowiadających wojnę malarstwu „idealistycznemu“ i historycznemu. Powołani i dzicy mówili o niém — bez rumieńców na twarzy, że powstało z... chęci schlebienia możnym rodom. Apetyt jednak, nienasycony, zdawało się, na mieszczańskie smakołyki, osłabł. Lepsze jednostki zrozumiały wnet, że siła, namiętność, szczerość, dramat, mogą sobie znaleść dogodną formę wszędzie i wcielać się w różne rodzaje sztuki; pojęto, lub przeczuto, że nie one zależne są od sztuki, lecz, odwrotnie, sztuka byt swój i wartość z nich właśnie czerpie. Wtedy oceniono Matejkę sprawiedliwiéj i oddano mu hold należny — doba to bardzo świeża. Zresztą prawdziwi artyści i znawcy nigdy dlań czci nie tracili, nawet, gdy należeli do „obozu“ przeciwnego. Tylko ułatwiali sobie wyjście z kłopotu w ten sposób, że nazywali go „realistą“ i to w dodatku największym. Mniejsza o to: malarze dobrze się znają na różnicach kolorów, ale nie na różnicach słów i pojęć... W Niemczech pisano o nim szeroko i z respektem, w Austryi i Wiedniu z uwielbieniem.

Bo téż w sztuce wszechświatowéj stanowi on cyfrę bardzo dużą. Tylko, że ciż sami malarze znowu ją fałszywie oznaczają, mówią o nim, że był ostatnim malarzem historycznym, bo swym stylem uratował dla siebie rodzaj, nie mający przyszłości dla innych. Oto co się nazywa odwrócić kota ogonem. Matejko właśnie stworzył nowy rodzaj, zostawił wiekopomną naukę, jak należy malować historyę i dowiódł gwałtowną wymową swego pędzla, że ją malować można — byleby brać z niéj nie manekiny, lecz prawdziwą sławę i co ważniejsza, prawdziwy dramat i tragedyę, prawdziwych bohaterów, a nie „paradierów i grenadierów,“ jak mówi Mickiewicz. Te

czynniki będą, jak były zawsze, ideałem sztuki, równouprawnionym z innémi. Tylko, że mało kto potrafi upodobnić się takiemu mocarzowi zapału, kapłaństwa i pracy, bo ducha kupić nie można nawet najdowcipniejszą reklamą...

Wznosił się jak chropawa skała śród mielizn. Jedną potężną swą osobą przeciwważał nawałę drobnych gustów, przelotnych celów i nikłych ambicyjek. Malarstwo nasze wydałoby się bez niego dziwnie ułamkowém i ze względu na olbrzymi jego wpływ niezrozumiałém. Całkiem osobne miejsce w tym panteonie należy się utalentowanemu Redlichowi, który wpatrzony miłośnie w oblicze swego bóstwa, brał zeń natchnienie, roznosił je w świetnych stalorytach po świecie, nie uroniwszy nic po drodze, i z jego sławą sprzągł na zawsze swoją. Do takiego samego wpływu nie przyznał by się pewnie nie jeden. Ale wpływ ten mimo to istnieje: i w Gersonie i w Andriollim i w Gotlibie i we wszystkich krakowiakach i w Buchbinderze [1]), który go jednak połączył ze stylem holenderskim i w portrecistach, jak Pochwalski. Domieszka to często niepochwytna, nieraz też szkodliwa, gdy nie było warunków wewnętrznego pokrewieństwa. Ale zjawisko nie staje się przez to mniéj epokowém, a jego chwała—mniéj wiekuistą.

Cezary Jellenta.



[1]) Monachijskim, bo jest dwóch.

TRAKTATY HANDLOWE Z NIEMCAMI.

Jeszcze nie przebrzmiały echa gorących sporów w parlamencie niemieckim o korzyściach i szkodach, mających wypłynąć z traktatu handlowego z Rossyą, jeszcze nie wiadomy jest rezultat ostatecznego głosowania, zapewnić mającego 10-cio-letni rozejm, zamykający wojnę celną, a już ogół interesowanych, z małemi wyjątkami, radby zakosztować owoców handlowego pokoju.

Wojna celna przypadła dla Rossyi na epokę niesłychanie niskiego poziomu cen produktów rolnych, w chwili, gdy spodziewano się realizować płody pierwszego pomyślnego żniwa po głodowym 1891 r. i po roku 1892, wcale nie obfitującym w dobre plony.

Dosyć powszechne, acz niesłuszne, od jesieni roku zeszłego trwa mniemanie, jakoby w Niemczech życzono sobie skorzystać z klęski niskich cen, by wytargować jak największe dla siebie ustępstwa w warunkach ugody, jak niemniéj niesłuszne jest mniemanie, że jedynie wojna celna klęskę niskich cen sprowadziła, że po zawarciu traktatu, jak za dotknięciem różczki czarnoksięskiéj, wszystko się na lepsze odmieni.

Oprócz względów politycznych, których tu wcale dotykać nie będziemy, dla najtreściwszego zobrazowania stosunków handlowych Rossyi i Niemiec w ostatnich latach, ograniczymy się na przytoczeniu, że gdy wartość niemieckiego importu do Rossyi w r. 1880 wynosiła 215 milionów marek, w r. 1887 przywóz ten wyniósł tylko 124 miliony, w 1891 i 1892 dosiągł jeno 145 i 128 milionów. Eksport zbożowy Rossyi do Niemiec wynosił cetnarów metrycznych:

w r.	1891 —	16,315,000
„	1892 —	5,925,000
„	1893 —	3,878,000

Wtedy, gdy ogólny import zboża do Niemiec wynosił:

	1891	1892	1893
	cetnarów metrycznych:		
pszenicy	9,053,317	12,962,126	7,034,520
żyta	8,426,541	5,485,991	2,275,779
jęczmienia	7,255,193	5,832,965	8,517,404
kukurydzy	3,083,266	7,173,102	7,610,763
owsa	1,198.835	878,368	2,429,460
	30,017,152	32,332,553	27,867,966

W ciągu ostatnich lat na 100 cetnarów metrycznych dowiezionego do Niemiec zboża wzrósł dowóz żyta np. z Rumunii z 1,02 na 23,17 cetnara, z Turcyi z 3,9 w 1891 na 16,8 w r. 1893, a ze Stanów Zjednoczonych np. w r. 1892 wynosił 24,8.

Zanim zastanowimy się nad skutkami obecnego traktatu, należy przypomnieć, że w ciągu ostatnich lat 30 Rossya nie wstępowała wcale w umowy handlowe, że dotąd posiadała czysto autonomiczną taryfę celną, którą świéżo, bo w r. 1891, podwyższono znacznie.

Wprawdzie w r. 1893 zawarta została jednoroczna umowa o udogodnienia handlowe z Francyą, lecz krok ten dotyczył prawie wyłącznie produktów naftowych, a nie dotykał tak żywotnych interesów, jakie mamy z sąsiedniemi Niemcami. Jeśli taryfa russka wywołała wstrząśnienie w stosunkach handlowych, to zakaz wywozu w 1891 r. dokonał reszty, bo przyśpieszył spisanie traktatów handlowych (6 grudnia 1891 r.) między Niemcami a Austro-Węgrami, Włochami, Belgią i Holandyą. Zawarcie traktatu z Rumunią jest w świéżéj jeszcze pamięci.

Gdy przedtém już porozumienie handlowe między Stanami Zjednoczonemi i Niemcami przyszło do skutku, stało się niepodobieństwem prawie dla Rossyi nie wejść również w porozumienie. Jak wielkie na razie były różnice w zapatrywaniach stron, jak poważne interesa w grę wchodziły, świadczyły wymownie owe dla obu stron bolesne przejścia, zerwanie rokowań, długotrwała wojna celna i mozolnie prowadzone układy. Nie wtajemniczeni w zakulisowe szczegóły danéj sprawy nie mogą nawet w przybliżeniu zrobić sobie wyobrażenia o tym ogromie gabinetowéj gracy, jaką z jednéj i drugiéj strony włożono dla zgromadzenia i opracowania materyałów — ilu i jakich ludzi brało w tém udział, by dojść do zgodnych wniosków.

W treściwych przemówieniach p. ministra Marschalla czuć, że wszystkie cyfry i argumenty, jakie tylko mogły być za i przeciw przytoczone, zużyto na posiedzeniach komisyi — żałować tylko należy, że

może dopiéro nierychło protokuły, owych tajemnicą stanu pokrytych posiedzeń, dojdą do wiadomości publicznéj.

Dla Rossyi, któréj większość tytułów długu publicznego znajduje się zagranicą, sprawa pomyślnego bilansu handlowego jest zupełnie innego znaczenia, jak dla Anglii lub Francyi. Dlatego russki minister skarbu z szczególną gorliwością baczył, by wywóz za granicę szedł nieprzerwanie, by wzmagał się nawet.

Między przedmiotami eksportu pierwsze miejsce dotąd zajmują płody rolnictwa; nic dziwnego, że na ułatwienie odbytu w Niemczech na te płody szczególny przy zawiéraniu traktatu położony został nacisk.

Zrozumiała to dobrze partya agrarna w parlamencie niemieckim i sytuacyę na swą korzyść wyzyskać pragnie, pomimo uderzającéj prawdy wywodów p. Marschalla, który dowiódł, że zamknięcie granicy od strony wschodniéj, przy jednoczesnem zniżeniu ceł na reszcie granic, dla niemieckiéj produkcyi zboża żadnéj nie przyniesie korzyści.

Powiedzieliśmy wyżéj, że niesłuszne jest mniemanie, jakoby ceny zboża mogły się natychmiast podnieść wskutek zawarcia traktatu. mniemanie takie było dotąd dosyć rozpowszechnione i zapewne stąd powstało, że fakt zakazu wywozu zboża z r. 1891 i fakt lichego żniwa 1892 r. odwrócił uwagę producentów zboża w Rossyi od śledzenia za kształtowaniem się cen zboża na rynku światowym.

Z małemi przerwami, maskowanemi dla nas wahaniem się kursu naszéj waluty, od długiego szeregu lat kształtowanie się owego światowego rynku jest wciąż zniżkowém i takiém być przestaje bez względu na to, czy na pograniczu choćby tak wielkich państw jak Rossya i Niemcy, istnieje lub nie wojna celna.

Na dowód tego twierdzenia zamieszczamy tablicę zapożyczoną z rocznika za rok 1893, wydaną przez p. Broosnhall w Londynie, przeciętnych cen pszenicy, jęczmienia i owsa od r. 1872.

Autor za przedmiot obserwacyi wziął te trzy rodzaje ziarna i objaśnia, że dążność zniżkowa w ciągu lat dwudziestu trzech przerwana została, raz wojną wschodnią z r. 1877, drugi raz zakazem wywozu z Rossyi w r. 1891, dlatego zaś wykreślił i dyagramy ruchu ceny jęczmienia owsa, aby mu ktoś jednostronności nie zarzucił, przypuszczając, że zniżka cen pszenicy niczego nie dowodzi, bo wielki wzrost produkcyi w Ameryce północnéj i południowéj, w Australii i Indyach w połączeniu z obniżeniem kosztów przewozu i skróceniem czasu, potrzebnego na przewóz właśnie tylko na cenie tego zboża wyjątkowo się odbiły. Gdy tymczasem zestawienie graficzne ruchu ceny w in-

nych gatunkach zbóż, w związku bezpośrednim z pszenicą nie będących, prąd ogólny zniżkowy doskonale uzmysławia [1]).

Spadek cen po dobrém żniwie w r. 1893 i w Niemczech i w Rossyi był nieunikniony, a wojna celna przyczyniła się tylko do pewnego upadku otuchy w sferach rolnych z téj strony granicy. Że dla złagodzenia przesilenia władze państwowe starały się uczynić jaknajwięcéj, jużto przez kupowanie żyta, jużto przez wydawanie milionów pod zastaw zboża, jużto przez ustanowienie wyjątkowo zniżonych opłat na kolejach w stronę Austryi i przez Austryę, zaznaczamy, skwapliwie jednak usiłowania te nie są zdolne na dłuższy okres czasu ochronić od klęski koniecznego spadania ceny głównych, decydujących gatunków zboża.

Nie tu jest miejsce dla dociekania, dlaczego cena zboża się obniża, ani jakie byłyby środki skutecznego przeciwdziałania, pragniemy tylko zaznaczyć, że zawarcie traktatu nie wywoła eksportu żyta dajmy na to przez Aleksandrowo dlatego, że np. 27 zeszłego lutego notowano w Toruniu żyto wagi 124 f. hol. 109 marek za tonnę. Potrącając z téj ceny cło przyszłe 35 marek, wypada, przy kursie 46 kopiejek za markę, około 55 kop. pud czyli rs. 3,30 korzec, to jest cena płacona obecnie w Warszawie na stacyi kolei.

A jednak, pomimo, że nie można oczekiwać eksportu żyta do Niemiec, cieszyć się należy, że traktat może przyjść do skutku, bo konjunktury handlowe zmienić się mogą, bo przez ostatnie 3 lata przerwane nitki stosunków dadzą się znów nawiązać przy lada pomyślniejszéj sposobności, bo konkurenci nasi, którzy pod naszą nieobecność na rynkach naszych się rozgościli, będą zmuszeni także w odpowiedniéj chwili z tych rynków ustąpić.

Może jednak donioślejszém w błogich dla nas skutkach okaże się rozporządzenie niemieckiego urzędu kanclerskiego, znoszące tak zwany dowód tożsamości dla zboża eksportowanego z Niemiec.

Dotąd od chwili zaprowadzenia ceł zbożowych, przy eksporcie zboża z Niemiec, zwracano cło jedynie od identycznie tych samych ilości, które były cłem opłacone przy wwozie do Niemiec. Mocą tego przepisu ustał w Niemczech handel wywozowy zboża z własnéj produkcyi, po usunięciu zaś krępującego prawa niewątpliwie sprowadzą sporo zboża z Rossyi dla mieszania z własném, albo też dla zastępowania

---

[1]) Tablicę z dyagramami cen trzech wskazanych rodzajów zboża dołączymy do następnéj pracy, tegoż przedmiotu dotyczącéj, która w bliskiéj przyszłości pomieszczona w „Ateneum" będzie.

własnego, o ile takowe korzystniejszy rynek zbytu znajdzie gdziekolwiek po za granicami Niemiec.

Jakie spustoszenie w handlu zbożowym niemieckim sprowadziły cła w połączeniu z t. zw. dowodem tożsamości wystarczy rzut oka na następującą tabelkę:

Wywóz z Niemiec	1880 r.	1892 r.
	tonny po 1000 K⁰=61 pudów.	
pszenica	178,170	244
żyto	26,587	891
owies	43,564	472
strączkowe	40,352	1.929
jęczmień	144,409	9,567

Samego jęczmienia eksportowały Niemcy w r. 1880 więcéj, aniżeli w r. 1892 o 8,835,362 pudów, a pszenicy przeszło o 10,000,000 pud. Zatrzymujemy się szczególniéj na jęczmieniu, bo wiemy, jak pożądanym jest w Anglii jęczmień *chevalier*, uprawiany w okolicach Magdeburga i Halli nad Salą.

Jęczmień ten podąży Elbą do Hamburga i zastąpić go wypadnie jęczmieniem austryackim lub tutejszym, jeśli uprawie i omłotowi jęczmienia należytą uwagę nasi rolnicy poświęcić zechcą.

W związku z przyjęciem traktatu handlowego przez parlament niemiecki, obok zniesienia dowodu tożsamości przy wywozie zboża, jest jeszcze jedna sprawa wewnętrzna niemiecka, która ma dla nas szczególne znaczenie.

Ministeryum pruskie skłonne jest skasować taryfy kolejowe różniczkowe, które stosowano do przewozu mąki i zboża ze wschodnich prowincyi państwa na Zachód i Południe, przyznając, iż rolnictwo i młynarstwo owych prowincyi, pokrzywdzone zostało owemi taryfami. Otóż, mamy śmiałość twierdzić, że dla rolnictwa tutejszego kraju, istniejące od r. 1889 (mało zmienione przez przegląd w 1893) taryfy różniczkowe, jednostajne dla zboża i mąki, mają może większą wagę w normowaniu się cen na rynkach wewnętrznych odbytu, niż kształtowanie się stosunków celnych na pograniczu. Zawieszenie taryf różniczkowych na zboże i mąkę w Niemczech należałoby użyć jako argument dla przekonania odnośnéj władzy o konieczności ustanowienia różnéj a nie równéj opłaty za przewóz zboża i mąki w ruchu wewnętrznym.

Zwracając się teraz w stronę pozostałych artykułów handlu, których wymiana może się ożywić, wolno zrobić ogólną uwagę, że zmiany w cłach, tak po stronie russkiéj jak i niemieckiéj wielkich wstrząśnień nie wywołają.

Traktat obecny, jak każda umowa, jest wynikiem wzajemnych

ustępstw dwóch stron i tylko cieszyć się należy, że ustępstwa tak daleko się posunęły i dotknęły wielu nader ważnych momentów w stosunkach sąsiedzkich, nadając im stałość na lat 10.

Otworzenie nowych komor granicznych, rozszerzenie prerogatyw komór istniejących, uproszczenie formalności, zredukowanie kar za uchybienia w deklaracyach, dozwolenie właściwym organom konsularnym bezpośredniego komunikowania się z centralnemi biurami celnemi, jedném słowem, usunięcie drażliwości z sąsiedzkich stosunków, na czém cierpieli nieustannie zainteresowani obywatele po téj i tamtéj stronie granicy, to są zdobycze, które należało wzajemnemi ustępstwami okupić, a które wyjdą nietylko na dobre niektórym grupom rolnym czy przemysłowym, lecz przedewszystkiém na dobre ogółowi konsumentów, o których, przy podwyżkach celnych, zwykle najmniéj chodziło.

Żelazo np. będzie nieco tańszém, a to wyjdzie na korzyść i rolnictwa i przemysłu, bo w ostatnich czasach metalurgiczny przemysł krajowy nie mógł podołać zamówieniom, pomimo cen więcéj niż wygórowanych. Warto pamiętać, że cło na surowiec ustanowione zostało w takiéj wysokości, aby surowiec, produkowany na Uralu na węglu drzewnym, mógł konkurować z surowcem szkockim na rynku petersburskim.

Jak słyszeliśmy, ceny surowca u nas nie dochodziły nigdy do takiéj wysokości, aby dowóz tego produktu stał się możliwym. Z powodu zniżki cła na surowcu o 5 kop. w złocie na pudzie, z pewnością nie będą powstrzymywane budowy wielkich pieców ani na Krzywym Rogu ani w Zagłębiu Donieckiém.

Obniżenie cła na koksie może wpłynąć dodatnio na rozwój hutnictwa krajowego.

Zmniejszenie cła na węglu kamiennym dałoby się łatwo przeboléć w kopalniach około Dąbrowy, gdyby koszta dobywania węgla nie były się znacznie podniosły ostatniemi czasy. Spodziéwać się wolno, iż nowy centralny organ przemysłu górniczego, w Petersburgu siedzibę mający, nie opuści sposobności dla wystarania się o zaoszczędzenie tych kosztów, aby przez to samo zapewnić kapitalom zajętym w górnictwie—stosowne oprocentowanie.

Znaczna obniżka cła od chmielu wstrzyma zapewne w kraju rozszerzanie plantacyi chmielowych, lecz jednocześnie wstrzyma nadprodukcyę, którąby niewątpliwie wkrótce zjawić się musiała.

	Dowóz chmielu	Wywóz chmielu
w r. 1891	— 25,466 pud.	52,473
„ 1892	— 18,463 „	35,008
„ 1893	— 6,750 „	116,711

Zniżka cła od wełny dowożonéj z Niemiec (surowéj i mytéj z 3 rubli na 2 ruble od puda w złocie) jest pewnie bardzo znaczna, lecz wątpimy, by mieć mogła groźną doniosłość obecnie dla owczarstwa krajowego. Ceny bowiem krajowéj wełny zależą nie tyle od zaofiarowania wełny zamorskiéj, ile od łatwości odbytu na wschodnich rynkach wyrobów tkactwa krajowego.

Daleko mniéj obawiać się może konkurencyi zagranicznéj wełna krótka sukiennicza z owiec uszlachetnionych, przy teraźniejszym zwrocie ku materyom gładkim, aniżeli wełna długa i gruba.

Ustępstwa w cle od przędzy wełnianéj wszelkiego rodzaju są także od pokaźne, lecz jak słusznie jeden z największych wytwórców powiedział, „mniejszy zysk z fabrykacyi okupuje spokój na lat 10, w ciągu których żadna dalsza zmiana wydarzyć się nie może”.

Taryfę celną z r. 1891 pisano pod przeważnym wpływem uczonych, jak np. prof. Mendelejewa, którego teorya ulubiona głosi, że główne dążenie gospodarstwa narodowego winno być skierowane do jaknajrychlejszego stworzenia tak potężnego ruchu przemysłowego wewnątrz kraju, aby cały rezultat żniwa mógł być przez ludność krajową spożyty.

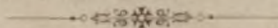
Do eksportu szanowny profesor przeznaczał produkty kopalniane, jak węgiel, żelazo, dystylaty naftowe, wreszcie produkty zwierzęce, jak np. skóry garbowane.

Pod takiém hasłem ułożona taryfa otoczyła krajowy przemysł murem nader wysokim, teraz bez obawy szwanku dla przemysłu można tu i owdzie kilka głównych warstw cegieł z tego muru usunąć.

Jeżeli nam będzie lepiéj po zawarciu traktatu, trudno mieć za złe niemieckim mężom stanu, jeśli w obronie traktatu przytoczyli frazes: „gdy w r. 1891 i następnych Niemcy zawiérały traktaty handlowe z Austryą, Węgrami, Włochami (daléj Belgią, Holandyą, Rumunią) miały na uwadze wzmocnienie sił aliantów, obecnie przez traktat handlowy z Rossyą pragną się wzmocnić same.

W sferach przemysłowych Niemiec dzieje się źle, obiecują sobie poprawę po traktacie; w sferach rolnych Rossyi dzieje się źle, tą samą obietnicą się cieszą. Omyłki w zasadzie nie będzie, lecz dla jednéj i drugiéj strony nie mogą się ziścić wszystkie nadzieje.

B. Werner.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Daniel Zgliński. „Jakób Warka.“ Dramat w 4-ch aktach nagrodzony „pierwszém zaszczytném odznaczeniem“ przez komisyę konkursową „Kuryera Warszawskiego.“ Warszawa, 1893.

Współczesnéj naszéj literaturze dramatycznéj nie wiele znaleśćby się dało dzieł wyłamujących się z szablonu przestarzałéj techniki i zrywających z tradycyą mniéj lub więcéj skomplikowanych intryg scenicznych;—z pośród zaś tych, które w téj mierze mogłyby poniekąd zadośćuczynić wymaganiom nowoczesnéj krytyki, zaledwie kilka zasługiwałoby na nazwę „dramatów współczesnych" w takiém rozumieniu, jakie nazwie téj nadaje obecnie krytyka zagraniczna. Znaczna część nowszych utworów naszych na polu dramatyczném, ulepiona i sklejona na modłę mniéj lub więcéj udatnych wzorów przeszłości, nie zadawalnia nawet najskromniejszych wymagań inteligentnego widza i czytelnika, szukającego w dziele dramatyczném po za bajką i techniką jakiéjś szerszéj perspektywy na widnokrąg społeczny, jakiegoś rozleglejszego widoku na arenę życia społecznego, jakiéjś głębokiéj myśli filozoficznéj, wysnutéj z obserwacyi bytu i walki codziennego żywota. Obserwacya płytka i powierzchowna, zasadzająca się najczęściéj na niewolniczém kopiowaniu drobnych, czysto przypadkowych rysów charakterystycznych i zamknięta w ciasnych granicach jednéj sfery szlachecko-burżuazyjnéj, od któréj ani oderwać ani się wznieść ponad nią nie potrafi, stwarza obrazy nieraz prawdziwe, nieraz wzruszające, lub rozśmieszające; ale wiecznie te same, drobne, śmiesznie drobne i małostkowe.

Walki uczuć jednostki z wolą potężnego ogółu, zaostrzające się

przeciwieństwo powstającego dnia do niknącego mroku—idee, wstrząsające światem współczesnym, których wyrazem w literaturze dramatycznéj są arcydzieła poezyi współczesnéj jak utwory Ibsena, Hauptmana i innych — nie obchodzą wcale naszych pisarzów, którym wystarcza utarta formuła, nicowana i przerabiana z cierpliwością lub zapałem, godnym lepszéj sprawy.

Do nielicznego szeregu dzieł, wynurzających się ze scharakteryzowanego powyżéj szablonu, przybywa w dramacie p. Daniela Zglińskiego utwór poważny i godny bliższéj uwagi. Wobec popularnego u nas gatunku twórczości dramatycznéj—przedstawia „Jakób Warka" pod pewnym względem niezwykłe zjawisko. Czytając go, przeczuwamy w autorze poetę-odludka, oddalonego od wiru i zamętu „literackiego" (czytaj: małostkowego) życia i patrzącego na objawy życia społecznego oczyma spokojnego przedmiotowego obserwatora, o którego interesa nie zaczepia to lub owo kółko machinacyi spekulacyjnéj i który własnych ambicyi i potrzeb nie sprząga z powodzeniem lub upadkiem tych lub owych dążności lokalnych. W tym względzie upatrujemy w autorze „Warki" pewne podobieństwo do Gerharta Hauptmanna, autora „Samotnych", który do niedawna nieznany i ukryty w swoim zakątku Gór Olbrzymich, nagle i niespodziewanie stawił przed oczy burżuazyi niemieckiéj wstrząsające obrazy jéj upadku. Utworom obu poetów wspólny jest pierwiastek prawdy społecznéj, bijącéj z każdego ich tętna; pierwiastek widoczny i zrozumiały dla wszystkich, których los i życie nie ukarały ślepotą lub daltonizmem moralnym, jako oznaką przynależności do pewnéj sfery społecznéj. Pierwiastek to w gruncie rzeczy kosmopolitycznego zakroju, a przeto zarówno stosować go można do najbliższego, jak i do dalszego otoczenia poety, a nawet do kół, których zbliska nigdy nie widział. Kosmopolityzm jego polega na uogólnieniu głównych cech charakterystycznych pewnéj sfery i pewnych jednostek, tworzących wybitny i znany typ społeczny, którego główną racyą bytu jest — kosmopolityzm. Czy więc Hauptmann w genialnych rysach maluje stan duszy burżuazyi współczesnéj i wyjaśnia psychologicznie upadek jéj przedstawicieli; czy Zgliński jędrną charakterystyką oświetla jéj stosunki rodzinne; obaj, jakkolwiek z różnych otoczeń wysnuli swoje spostrzeżenia, do równych dochodzą rezultatów i — jeden świadomie, drugi bezwiednie — ten sam, choć w innych słowach, wypowiadają sąd o malowanych przez siebie stosunkach.

Po za tém podobieństwem analogia między dramatem p. Zglińskiego, a utworami Hauptmanna ustaje zupełnie. Autor „Samotnych" jest przedewszystkiém subtelnym znawcą ducha ludzkiego, którego

najtajniejsze odruchy poddaje surowéj, ale serdecznéj analizie. U p. Zglińskiego wybitnych śladów podobnéj analizy nie ma. „Jakób Warka” nie wykazuje ich bynajmniéj. Jestto obraz malowany ręką pewną, ale uwidoczniający przedewszystkiém zewnętrzne cechy przedstawianych w nim osób i stosunków. Kolorystyka świetna; tu i owdzie szwankująca, ale niepospolita; po za tém wiele miejsca do domysłów: tło, zapełnione szkicami i smugami barw, nie tłómaczącemi się jasno. (Z poprzednich prac dramatycznych p. Zglińskiego znamy jego komedyę „U wspólnego stołu”; ale w niéj zaprzeczenia powyższych uwag — ani zresztą ich dosadnego potwierdzenia — nie znajdujemy).

Przypatrzywszy się zaś bliżéj dramatowi p. Zglińskiego, spostrzeżemy, że zaludnił go on szeregiem postaci (na pozór) zbytecznych, którym włożył w usta wiele zdań mądrych i charakterystycznych, ale nie mających żadnéj (przynajmniéj na pozór) styczności z treścią dramatu i czyniących wrażenie maksym uzbieranych starannie przez autora podczas długoletnich rozmyślań i obserwacyi i przeniesionych potém żywcem z notatnika w usta takiego doktora Leo, Czarnowskiego, Macie, rzanki i Schmidta. Przypatrzywszy się wzmiankowanym postaciom, spostrzeżemy, że w miłosnym dramacie młodego Warki grają one rolę zupełnie zbędną, a w stosunku jego do ojca są raczéj przeszkodą do dokładnego zrozumienia wszystkich jego objawów, niżli ich objaśnieniem. A przecież z całego przeprowadzenia treści dramatu widoczném jest usiłowanie autora wysunięcia tych dwu momentów na plan pierwszy, uczynienia z nich osi, około któréj się ma kręcić całość wprowadzonych figur i sytuacyi. Zaznaczamy zaraz, że usiłowanie to autora nie spełniło się po jego myśli i dodajemy: na korzyść jego dramatu. Romans Józefa Warki z Zuzanną Piotrowską, upiększony zapożyczonym od Szekspira (którym cały dramat mocno pachnie) efektem nienawiści obu rodzin kochanków, wyszedł blado i nie zajmuje ani czytelnika, ani widza; stosunek młodego Warki do ojca nabrał w sztuce znaczenia zupełnie odmiennego od (domyślnych) intencyi autora i stał się wyborném objaśnieniem dla głównéj akcyi dramatu: dla walki starego Warki-kapitalisty z podcinającym mu nogi konkurentem, Witoldem Schmidtem. Jakób Warka, jako ojciec, tracący miłość własnego syna, budzi tylko politowanie—ale ten sam Warka, niski w walce ze słabszym od siebie biédakiem, ordynarny w obejściu się ze swoją latoroślą: nabiéra tragizmu w chwili, gdy pada ofiarą własnych działań, gdy przekleństwo złego czynu dosięga go właśnie w chwili, w któréj z pod stóp jego usuwa się cały fundament z trudem *per fas et nefas* zbudowanéj potęgi. Padając na gruzach swego bogactwa pociąga za

sobą ten cały gmach moralności przewrotnéj, zbudowany kunsztownie, a sztucznie, w którym znajdował schronienie dla najbrudniejszych swoich spekulacyi i w chwilach rozpaczy obnaża bezwstyd swojéj sfery, w któréj atmosferze dojrzał umysłowo i wzniósł się moralnie, sam hodując bezwiednie nikczemne wytwory burżuazyjnéj zgnilizny w postaciach Schmidta i zapowiadającego go Macierzanki.

W tém zbiorowisku zbrodniarzy i padalców człowiek, choćby pełen wad i słabości, byle wolen od drżączki złota, wyrasta w oczach widza czasem na bohatéra. Rozumiał to widocznie autor „Warki" i celu tego chciał dopiąć, stawiając przed oczyma widzów w otoczeniu takiém Józefa Warkę. Istotnie na razie sympatya widza jest po stronie tego młodzieńca, zrywającego dla miłości bezinteresownéj wszelkie bliższe stosunki z ojcem; współczujemy z jego boleścią w chwili, gdy niecny spekulant dla osiągnięcia własnych celów nie waha się na uczciwą kobiétę rzucić plamy najniższych podejrzeń; ale sympatya nasza zamienia się w litość, gdy spostrzegamy, że wpływ otoczenia i tu zrobił swoje, a Józef Warka pod wpływem sprzecznych uczuć i nadmiernego użycia popada w obłęd, zakończony samobójstwem. Nie wiemy, czy wrażenia te odpowiadają intencyom autora; ale środki, któremi je wywołano, dobrane są tak znakomicie; proces ich tworzenia się jest tak logiczny i naturalny, że musimy w nich uznać największą zaletę utworu p. Zglińskiego i najlepszą jego część przypisać scenom rozmowy Józefa z ojcem i jego obłąkania. Pojęcie „bohatéra" dramatycznego zmieniło się w ostatnich czasach zupełnie i dzisiaj nikt chyba nie zgodzi się na to, aby bohatér poważnego dramatu przedstawiał zbiorowisko cnót wszelkich. Jan Vockerat w „Samotnych" Hauptmanna nie posiada żadnéj prawie z cech, charakteryzujących dawniejsze pojęcie „bohatéra" scenicznego; a mimo to daje on jedną z najtragiczniejszych postaci, jakie kiedykolwiek wprowadzono na scenę nowożytną. Józefowi Warce atoli co innego zaciemnia aureolę „bohatérstwa", a tém „czémś" jest nietylko sama słabość jego charakteru i umysłu, ale i silny kontrast, zachodzący między jego indywidualnością, a osobą starego Warki. Józef gnie się, jak giętka latorośl i więdnie pod ostrym podmuchem nieprzyjaznych okoliczności; Jakób Warka łamie się jak dąb stuletni, a jego upadek wstrząsa podwalinami budynku, o który uderzają jego konary. Podobne wrażenie czyni upadek bohatéra ostatniéj sztuki Ibsena, budowniczego Solnessa, gdy spada ze szczytu wieży własnego pałacu i rozbija sobie czaszkę u stóp podziwiającéj go i nienawidzącéj w podziwie gawiedzi. Obaj padając, przygniatają swoim ciężarem najpiękniejsze rośliny burżuazyjnéj cieplarni: tryumf wyzysku i zwycięstwo samolubstwa. Padają bowiem sami jako ofiary

molocha, któremu z innych w ciągu swéj karyery bez skrupułu tysiące zgotowali ofiar. I gdyby idąc za modą dzisiejszą, chciano na wzór ostatniego dramatu Ibsena w utworze Zglińskiego dopatrywać się symbolu, możnaby postać starego Warki określić jako personifikacyę tych warstw społecznych, które przesiąknięte kłamliwą moralnością i samolubstwem wydają latorośle pozbawione sił do życia i z rozwojem stosunków społecznych schodzą na plan drugi. *Ign. Suesser.*

Włodzimierz Zagórski (Chochlik). „Nowele". Serya I-sza. (Wenus w podróży. — We śnie i na jawie.—Jak w bajce.—Wilga.—Moja przygoda.—Homo novus. — Odmieniec). Kraków, 1894.

Sposób pisania p. Zagórskiego ma pewną tak wybitną odrębność, że ktoś, śledzący uważniéj dzieje jego twórczości literackiéj, rozpoznałby nawet bez podpisu autora tych obrazków barwnych, jędrnych, o formie lekkiéj a myśli poważnéj, w których spotyka się naprzemian to ostrze dobrze wymierzonéj ironii, to nutę serdecznego smutku i tęsknoty, to wreszcie przebłysk tak szczeréj wesołości, że i czytelnika usta do pustego składają się uśmiechu.

Przedewszystkiém można powinszować p. Zagórskiemu szczęśliwych pomysłów, na których tle rozsnuwa swe nowelki, pomysłów nowych, zajmujących o jasnym po większéj części, a jednak zupełnie prawdziwym podkładzie. Stanowią one wybitny, a szczerze mówiąc nadzwyczaj miły kontrast z całą plejadą współczesnych powieści, a zwłaszcza nowel, które niezmiennie opłakują ludzką nędzę i głupotę, nie chcąc widzieć nigdzie jaśniejszych stron życia i dodatnich cech duszy ludzkiéj. Nie mówimy tego w formie zarzutu dla kogokolwiekbądź z tych, komu dzisiejsze istotnie niewesołe stosunki same szare, lub nawet całkiem czarne obrazy nasuwają pod oczy i pióro; niemniéj jednak przyznać trzeba, że umysł z przyjemnóścią odpoczywa przy takiéj atmosferze słonecznego blasku i jasnych uśmiechów, jakiemi przesiąknięty jest drobny np. urywek czterech listów, zatytułowany „Wilga". Jak wiadomo, Wilga jest jedyną przedstawicielką ptasiego świata, w którym nie samiec lecz samiczka jest stroną zaczepną, kuszącą. Otóż taką żartobliwą nazwą obdarza autor młodziutką pensyonarkę, Halkę, która pomimo lat 15-tu i krótkiéj sukienki doprowadza czterdziestoletniego p. Alfreda do wyznania jéj swojéj miłości. Takie rzeczy zdarzają się zresztą dość często, ale cała oryginalność powiastki polega na przedstawieniu tego samego epizodu w dwóch seryach listów i zamianie normalnych ról obojga: naiwnym bowiem jest *on*, łysiejący kawaler

podbity wdziękiem tego rozkosznego podlotka i szczere robiący sobie wyrzuty, że zmącił spokój dziecięcego serduszka.

Gdyby jednak przeczytał listy *jéj* pisane do przyjaciółki, uspokoiłby się zapewne, ale może i ochłódł znacznie, przekonawszy się z jaką zimną krwią i zupełną świadomością działa ta piętnastoletnia kokietka, która używa go jedynie jako przedmiotu zadowolenia miłości własnéj, wprawy i zabicia wiejskich nudów. Te listy, to pyszny w swoim rodzaju dokument, w którym z dziwną wiernością udało się złośliwemu Chochlikowi pochwycić zadatki wiele na przyszłość obiecującéj kokieteryi w połączeniu z krańcową naiwnością i nieznajomością życia. Niezmiernie trafnie jest też tu pochwycona gwara pensyonarska, jaką się Halka posługuje. Nienaturalną tylko nutą brzmi frazes ostatni o książkach, które jéj mówią o miłości użycia—użyty już tak, chyba gwoli tradycyi, któréj pozbyć się trudno.

Świetną satyrę niskiego poziomu estetycznego wykształcenia ogółu, biegnącego nakształt stada owiec Panurga za głosem urobionéj opinii stanowi pierwsza w zbiorku powiastka p. t. „Wenus w podróży". Wenus Milońska, znudzona pochwałami wygłaszanemi przez zwiedzających ją w Luwrze filistrów, zamienia się w żyjącą istotę, schodzi ze swego marmurowego piedestału i postanawia dowiedzieć się, czy ludzie równie zachwycać się będą jéj doskonałą pięknością, gdy nie będą wiedzieli kogo mają przed sobą. Po pierwszéj, nawiasem mówiąc ze świetną brawurą i iskrzącym się dowcipem nakreślonéj przeprawie z prefektem policyi, który nie domyślając się kogo ma przed sobą, stara się nakłonić boginię do przybrania w szaty swéj klasycznéj nagości, wędruje biédna Wenus od kraju do kraju, nie pomijając nawet Chińczyków i Hotentotów i wszędzie widzi ze zdumieniem, że wdzięki jéj tak czczone i opiewane wtedy, gdy wieńczyła ją aureola ustalonéj sławy i fachowéj krytyki, podlegają rozmaitym zarzutom ludzi, którzy, nie domyślając się jéj *incognita*, wielbią nie ideał klasycznego piękna, lecz to co chwilowe upodobanie lub moda chwalić im nakazuje. Po końcowym złośliwym zwrocie, w którym i Warszawa dobrą dostaje nauczkę, wraca Wenus na swój piedestał, gdzie napowrót staje się przedmiotem bałwochwalczego kultu. Naturalnie, po za stroną żartobliwą téj ramotki chce autor wykazać, że ogół nie posiada właściwie żadnéj samowiedzy estetycznéj i żadnego indywidualnego a uzasadnionego kryteryum dla oceniania dzieł sztuki, gusta zaś jego są jedynie echem tych, co dzierżą w swéj dłoni berło krytyki.

Znajdujemy tu również szereg aforyzmów, z których parę jako niesmaczne paradoksy, bez szkody dla całości wyrzuciéby się dało —

wykazujących, że „teorya piękna nie ma racyi bytu, istnieje tylko krytyka wrażeń."

Nowelka p. t. „We śnie i na jawie" zawiera bardzo dobrze przeprowadzone opowiadanie romansu, jaki utytułowany, młody i bogaty p. Starosta z Kossowa prowadził z panią Femcią, żoną skromnego urzędniczka, który jednak hańbę swoją odczuł tak silnie, że padł rażony udarem sercowym. Mylną atoli zupełnie, niepotrzebnie wplecioną wydaje nam się teorya snu oddziaływającego na życie i czyny ludzkie, któréj autor poświęca pierwszy rozdział swéj powieści: zdaniem naszém nie sen, był dla p. starosty pobudką do zajęcia się niesympatyczną poprzednio kobiétą, lecz raczéj cały szereg czynników bardziéj realnych jako to nudy, samotność, brak towarzystwa kobiécego, wreszcie pewien stan fizyologiczny, w jakim mógł się znajdować człowiek, przyzwyczajony do innego trybu życia. Swoją drogą powiastka ta rzuca ciekawe światło na stosunki małomiasteczkowe w Galicyi. Całości tego udatnego zbiorku dopełnia jeszcze prócz paru mniéj wybitnych szkiców i powiastek, wśród których *Homo Novus* stanowi wyborny akt skruchy nawróconego hulaki, — powiastka pełna dziwnego ciepła, liryzmu czerpanego z bogatéj skarbnicy tych cichych a wielkich dusz kobiecych, których całą racyę bytu stanowi miłość i poświęcenie. Jakżeż prawdziwemi są typy téj babci, któréj żadne bóle i zawody rozgoryczyć nie są w stanie i wnuka jéj Janka, tak okrutnego w swym bezwiednym egoizmie artysty i pieszczonego dziecka. Istotnie, „Jak w bajce" — snują się te dwie egzystencye, z których jedna drugą pożera.

Zarzut, jakimbyśmy p. Zagórskiego obarczyć mogli jest styl cokolwiek w niektórych ustępach niedbały: znać tu nawał myśli i obrazów, jakie nawałnicą cisną się w umyśle utalentowanego autora, któremu nie chce się następnie swéj bujnéj twórczości poddać żmudnéj prasy korektorskiéj. Istotnie, dowcip jego, swada i ogromna łatwość, a zarazem lekkość pióra, nie pozwalają częstokroć nawet dopatrzyć różnych drobnych usterek. *Nit.*

Gabryelski Z. „Czém filozofia jest, a czém będzie". Kraków. Nakładem G. Gebethnera i S-ki. 1994. Wielka 8-a, str. 78.

Ażeby orzekać nietylko o teraźniejszych ale i o przyszłych torach jakiéjś nauki, potrzeba przedewszystkiém znać ją wszechstronnie i gruntownie. Czuł to snać autor powyższéj rozprawy. W szczupłych

bowiem jéj ramach nagromadził tyle materyału bibliograficznego, że niejeden czytelnik uchylić może czoła już przed zewnętrznemi temi dowodami uczoności autora. Kogo jednak uderzą rażące tu i owdzie zdania, a kto nadto wié, ile to zachodu potrzeba na skuteczne czytanie jednego tylko dzieła filozoficznego—temu wydać się musi odrazu ta zewnętrzna erudycya tak problematyczną, że nie będzie mógł się powstrzmać od dochodzenia właściwego jéj źródła.

Chociaż tedy sam autor zapewnia nas o „próbowaniu własnych sił" (str. 12 i 77), chociaż już w naczelnym „spisie rzeczy" (str. 9) uwydatnia swoją odpowiedź na pytanie: czém filozofia jest (rozdz. III) i swoją odpowiedź na pytanie: czém filozofia będzie (rozdz. V), nie miejmy przecież żadnych skrupułów, lecz weźmy najsamprzód do ręki niemiecki podręcznik: *Fr. Ueberwegs Grundriss der Geschichte der Philosophie. Sibente Auflage heraussg. von D-r M. Heinze* (Berlin 1886—1888) i zapytajmy się, w jakim stosunku do téj, niewspominanéj wcale przez naszego autora, książki, zostaje historyczno-filozoficzna jego erudycya? Oto odpowiedź na to pytanie:

Z. Gabryelski:

p. 18. Wyrazy: φιλόσοφος, φιλοσοφία, φιλοσοφεῖν nie znajdują się jeszcze ani u Homera ani u Hezyoda. Pierwszy raz napotykamy je w znaczeniach niestałych u Herodota. A mianowicie w przemowie Krezusa do Solona: „Słyszałem (I, 30), żeś φιλοσοφέων wiele krajów dla nauki przewędrował". Poniżéj (I, 50) używa Herodot wyrazu φιλοσοφία w znaczeniu znajomości gwiazd. U Tukidydesa znaczy φιλοσοφεῖν tyle co: dążyć do wykształcenia i wiedzy. A mianowicie w mowie Periklesa: φιλοκαλουμεν μετ' εὐταλείας καὶ φιλοσφουμεν (I(?), 40) ἄνεομαλακίας

p. 19: Dopiero pierwszy Pitagoras nadaje sobie przydomek filozofa. Podanie to pochodzi od Heraklidesa Pontejczyka. Za nim powtórzyli je inni, a mianowicie Cicero (*Tusculanae Quaestiones* V, 3). Diogenes Laërtius (...I, 12 i VIII, 8). Jedni utrzymują, że P. nazwał się filozofem dlatego, bo jego zdaniem Bóg tylko jest mądrym — człowiek może być jedynie dążącym do mądrości. O prawdzie tego tłómaczenia słusznie bardzo powątwają Meiners, Haym, Zeller i inni, zaufanie bowiem pitagoreizmu w potęgę na-

Ueberweg, Tom I·

p. 2: Die Worte: φιλόσοφος, φιλοσοφια φιλοσοφεῖν finden sich bei Homer und Hesiod noch nicht... lassen sich zu erst bei Herodot nachweisen. Herod. I, 30 sagt Kroesus zu Solon: ich habe gehört, dass du φιλοσοφέων viele Länder um der Betrachtung willen durchwandert hast. Ebend. I, 50, wird φιλοσοφία auf die Kenntniss der Gestirne bezogen. Thukididei lässt (II, 40) den Perikles in der Grabrede sagen: φιλοκαλουμεν μετ' εὐτελείας καὶ φιλοσοφοῦμεν etc. wo φιλοσοφεῖν das Streben nach Geistesbildung, zunächst nach wissenschaftlicher Bildung bezeichnet.

p. 2: Die Phil. als Wissenschaft soll zuerst Pythagoras mit d. φιλ. bezeichnet haben. Die Angabe... bei Cicero (Tusc. V, 3) Diogenes Laërtius (I, 12; VIII, 8)... stammt von Heraklides, dem Pontikus. her... Als Grund dieser Benennung wird bei Diog. Laërt. (I, 12) nach Heraklides beigefügt, weise sei Kein Mensch, sondern nur Gott. Dass die Erzählung historische Wahrheit habe, ist sehr unwahrscheinlich. Schon Meiners — Haym — und Andere haben daran gezweifelt... Zu dem Vertrauen des Pythagoreismus

uk nie licuje z ową sokratesową skromnością...	auf die Kraft wissenschaftlicher Forschung stimmt wol nicht die sokratische Bescheidenheit...

Cytaty dyalogów Platońskich, wymienione na tejże stronicy: Sophristes. 217. a. — Politicus. 257. ab. — Phaedrus. 278. d.—Symposion. 202. c. — Theaetet. 143. d. i t. d. pochodzą także w powyższy sposób z dolnéj połowy stronicy 3 tegoż samego kompedyum. A jeżeli „tym wszystkim, którzyby dokładniéj (!) wiedzieć chcieli, jak różnie pojmował Platon filozofię", poleca autor „piękną (!) pracę E. Albertiego: *Der Platonische Begriff d. Phil. nach Lysis, Gastmahl u d. Phaedon entwickelt (Zeitschrift für Phil. u. phil. Kritip N. F.* LX. 29—52 i 169—204) — to i wiadomości autora o téj monografii pochodzić może tylko z ostatnich trzech wierszy pierwszéj stronicy tegoż samego Ueberwega. Nie inaczéj ma się rzecz i daléj.

Że Arystoteles „używa wyrazu filozofia w dwojakiém znaczeniu" i t. d. (p. 20), wié o tém autor tylko z Ueberwega I, p. 3—4; toż samo o Stoikach, Epikurze, Cyceronie i t. d., a i niezręcznie oddane definicye filozofii Kanta, Herbarta, Hegla i Windelbanda powyjmowane są z tego samego tomu Ueberwega (p. 4—5). Dalsza zaś swe referaty o najnowszych myślicielach czerpie autor dosłownie już z trzeciego tomu tego podręcznika. Co na str. 21 mówi o Lotzem, to znajduje się w Ueberwegu: III, str. 487; co o Dühringu — tamże, st. 486; co o Froschhammerze — tamże str. 498; co o Baumannie i Bergmannie—tamże str. 500; o Harmsie—str. 439; o Riehlu — tamże str. 470 i t. d. O bezpośredniéj znajomości wszystkich tych myślicieli nie ma tu wcale mowy; autorowi chodziło widocznie tylko o ich nazwy i luźne zdania, podawane nieraz na chybi-trafi.

Jeżeli zaś spotykamy się i z pełnemi tytułami pism tego lub owego filozofa, to powiedzieć można śmiało, że na 100 nie było w ręku autora 99. Stwierdziwszy np. str. 21 na podstawie wspomnianego miejsca w Ueberwegu, że filozofia jest dla Riehla „nauką badającą źródła, warunki i granice poznawania", cytuje potém str. 33 tegoż pismo: *Ueber wissenschaftliche und nichtwissenschaftliche Phil.* Freiburg, 1883, ale cytuje go w gronie i takich pisarzy, którzy nie zgadzają się wcale z „bezmetafizyczném" Riehla stanowiskiem. Całe to towarzystwo jednak ma stanowić jakiś „t r z e c i oddział drugiéj grupy filozoficznych proroków i proroczych filozofów" i hołdować wspólnie powyższéj dążności Riehla, bo filozofowie ci (a zwłaszcza Zeller, Riehl i Baumann) uważają za zadanie téj filozofii (nb. przyszłości!): badanie źródeł, warunków i granic poznawania"! Tymczasem, kto tylko czytał sam przytoczone w uwadze dzieło Baumanna: *Phil. als Orientirung über*

die Welt (Leip. 1872), lub wymienionego tu także Volkelta: *Ueber die Möglichkeit einer Methaphysik* (1884), musi wiedzieć bardzo dobrze, że obaj są zwolennikami téj metafizyki, któréj Riehl nie uznaje wcale! Ale i głębsze studyum samego Ueberwega byłoby ochroniło autora od takich sprzeczności.

Jak jednak pobieżnie i powiérzchowcie splatał sobie autor z Ueberwega całe wiązanki erudycyi, dowodzi tego najlepiéj, biorąc raz jednego autora za drugiego! Składając mianowicie znów „pierwszy oddział" owéj „trzeciéj grupy" z tych, co „twierdzą, że przyszła filozofia będzie tém czémś, co nauki i religię połączy w jedną całość" (str. 32), sięgnął do Ueberwega aż po amerykańskich filozofów (zob. III, str. 526); wypisując wszakże stamtąd: „I. M. Cosh. *The final science or spiritual materialism. New-York and London* 1885, przeoczył całkiem, że nie Cosh jest autorem tego pisma, zaraz po nim w Ueberwegu wymienionego, lecz ktoś bezimienny: *Anonym!* (zob. str. 526, 9-ty wiersz od dołu).

Komu zamało jeszcze tych przykładów tego rodzaju kompilacyi, może raczy posłuchać jeszcze, w jaki sposób dochodzi autor do następującéj np. wskazówki dydaktycznéj na str. 59: „Tym wszystkim, którzy literatury wypełnionéj spekulacyami matematycznemi wcale nie znają, a poznać ją mają ochotę, polecamy jako w s t ę p n ą lekturę pięknie i przystępnie napisaną pracę O. Liebmanna: *Ueber die Phaenomenalität des Raumes (Zur Analysis der Wirklichkeit.* Strassburg, 1880)". Równoległe zaś miejsce w Ueberwegu opiewa: „*In di ganze Frage (der math. Speculationen) fürst gut ein Liebmann über die Phänomentalität des Raumes in dem Werke: „Zur Analysis der Wirklichkeit*". *2 Auflage.* Strassb., 1880" (l. c. III, 482).

Oprócz Ueberwega, służącego mu za podręczne źródło wiadomości historycznych z dziedziny filozofii, nie cytuje autor także nigdzie dzieła Wilhelma Wundta: *System der Philosophie.* Leipzig, 1889, skąd znów zaczerpnął wszystkie — za swoje podane, systematyczne poglądy filozoficzne. Zasadnicze zdanie autora, że wszystkie filozofie, jak się w historyi objawiły, „posiadają wspólny c e l", rozwija Wundt zaraz na drugiéj stronicy swego „Systemu", który się rozpoczyna od: *Allgemeiner Zweck der Philosophie.* Następne słowa autora: „Zespolenie wyników wiedzy w jedność zaspokojającą potrzeby umysłu i serca — oto cel, do którego dążą wszystkie filozofie" (str. 24) odpowiadają zupełnie zdaniu Wundta: „*Er (dieser Zweck) besteht überall in der Zusammenfassung der Einzelerkenntnisse zu einer die Forderungen des Verstandes und die Bedürfnisse des Gemuthes befriedigenden Welt- und Lebensanschauung*". Daléj pisze W.: „*Nun ist aber diePhil. nicht allein, welche jener Zweck zu erreichen strebt, und es würde daher nicht*

genugen, wenn man ihn zur Begriffsbestimmung desselben verwenden wollte. Zwei andere grosse Gebiete menschlicher Geistesthätigkait sind es, die sich hier mit ihr... in dem nämlichen Streben vereinigen. Das eine ist die Religion... Das andere sätzt sich aus den einzelnen Erkenntnissgebieten zusammen..." Nasz autor zaś wtóruje mu króćéj: „Niestety, fakt ten do określenia pojęcia nie wystarcza, bo oprócz filozofii zmierzały do tego samego celu i specyalne nauki i religia".

Idąc tak wprost za Wundtem, masi p. G. „rozważyć przedewszystkiém ten wzajemny stosunek między filozofią a religią, a powtóre między filozofią a naukami specyalnemi. Pomimo jednak, że pod pierwszym względem nie powiedział nic innego, tylko to, co Wundt w paragrafie drugim: (*Religion und Philosophie*, p. 3, sq.) obszernie wyłuszcza — powołuje się przecież w uwadze na sześć pism rozmaitych innych pisarzy (Lipsius, Gladisch, Fricke, Delff, Dallwig, Schwickert, zob. str. 25, uw.) tak, że czytelnik mniema w dobréj wierze, iż autor oparł swój króciuchny wywód na studyach tych właśnie autorów. Tymczasem figurują oni tu tylko dlatego, że tytuły ich prac mówią o religii i filozofii. A tak samo i pod drugim względem korzysta tylko z trzeciego paragrafu książki Wundta (str. 10: *Verhältniss der Phil. zu den Einzelwissenschaften)*, a na poparcie swego niby to wywodu cytuje znów sześciu innych autorów (zob. str. 26), których pisma mieszczą już w swych napisach coś o stosunku filozofii do nauk ścisłych.

Takim sposobem dociéra autor do „odpowiedzi na pytanie: co jest filozofia", przyczém jego „nauka ogólna" i t. d. (str. 26) jest tylko parafrazą Wundtowskiéj *allgemeine Wissenschaft* ze str. 21 „Systemu". Żeby jednal nikt nas nie posądził o przesadę i miał naoczny dowód tego posługiwania się Wundtem, pozwolimy jeszcze sobie zestawić najbardziéj stanowczy sąd pana G. z równoległém zdaniem uczonego niemieckiego:

Z. Gabryelski:	W. Wundt, Syst. d. Phil.:
p. 29: „Filozofia jako nauka ogólna ma za przedmiot całość wiedzy ludzkiéj w najogólniejszém znaczeniu; jéj badanie zatem musi się odbywać w dwóch kierunkach. Ona ma na celu wykazanie: albo w jaki sposób wiedza powstaje, albo w jaki sposób daje się w nierozerwalną całość zespolić. Filozofia badająca wiedzę tworzącą się nazywa się nauką o metodach (sic!) — filozofia badająca wiedzę wytworzoną jest nauką o zasadach.—Nauka o metodach roz-	p. 33: Die Phil. hat ihren Inhalt mit der Gesammtheit der Einzelwissenschaften gemein.. In diesem Sinne gliedert sie ihre allgemeine Aufgabe in zwei Hauptprobleme. Entweder kann der Inhalt des Wissens untersucht werden in Bezug auf seine Entstehung, oder... mit Rücksicht auf die systematische Vorbindung seiner principien... Das erste... bezieht sich auf das werdende, das zweite auf das gewordene Wissen. Ihnen entsprechen.. die Erkenntnisslehre

pada się na dwie części: formalną i realną...

und die Principienlehre, — Die Erkenntniss lehre scheidet sich in zwei Theile: in die formale und die reale. Er....sl.

Jaka karykatura poglądów Wundta z takiego samodzielnego przepisywania daléj (str. 29—30) wynikła w kwestyi poszczególnych działów filozofii — o tém nie warto nawet wspominać. Wogóle tylko stwierdzić należy, że przyswoiwszy sobie kilka zdań Wundta o zadaniu i znaczeniu filozofii, usiłował autor wytworzyć sobie z nich takie ramy, w którehy potém wtłoczyć było można także wszelkie o filozofii ogólne sentencye, stąd i zowąd pozbiérane. Dla ubarwienia téż swojéj rozprawy przytacza autor np. znane i ocenione już dzisiaj dostatecznie nawoływania Jana Śniadeckiego przeciwko metafizyce, uprawianéj niegdyś bez względu na nauki ściśle; a nie brak również sążnistych cytat przebrzmiałych już dawno Schopenhauera ataków na „profesorów filozofii". Szkoda tylko, że autor, czytając niewątpliwie zgryźliwą rozprawę Schopenhauera z r. 1851: *Ueber die Universitätsphilosophie* (zob. str. 66—68) nie zrozumiał lub nie dostrzegł głównego jéj motywu. Gdyby bowiem był pojął z niéj tylko to, że Schopenhauerowi chodziło głównie o rzetelność na polu badań filozoficznych, byłby i sam może nie dopuścił się żadnego grzechu przeciwko sumienności pisarskiéj, i byłby tak sobie nie lekceważył naszéj krytyki literackiéj.

Autor jest tak dalece pewnym tego, że u nas Wundta „Systemu" nikt nie studyował, iż pouczając i pracowników w naukach ścisłych o potrzebie filozofii do zbadania wartości używanych tam pojęć, nie przestaje korzystać tak z krytycznych uwag Wundta, jak i z literackich wskazówek, podanych w jego dziele. Oczywiście, że w tym ostatnim względzie po za tytuły dzieł, wymienianych przez Wundta, nie sięgają wiadomości autora; komiczne zaś tylko wrażenie wywoływać w nas mogą tego rodzaju zwroty, jak (str. 56, uw.) „ciekawych zmuszeni jesteśmy odesłać do pouczającéj (!) rozprawy L. Langego" i t. d., o któréj istnieniu powinien był autor dodać — dowiedzieliśmy się z Wundta „Systemu" str. 472.

Co się zaś tyczy wspomnianéj zależności autora od krytycznych uwag Wundta, odnoszących się do potrzeby filozoficznego badania zasadniczych pojęć nauk przyrodniczych, to nasamprzód wszystko, co mówi o zapatrywaniach fizyków i chemików na materyę (str. 54—56), a mianowicie o hipotezie „ciągłościowéj" (*Continuitätshypothese*) i atomistyce, wyjęte jest z Wundta „Systemu" str. 450 i nast., najwięcéj ze str. 457 i 459, z czém porównać należy także str. 284—285. Wszystko następnie, o czém autor chce pouczyć „uczonych specyalistów" na

str. 57 — 58, będzie dla nich dopiéro wtedy zrozumiałém, jeżeli co do wspomnianych tam trudności w „zasadach dynamicznych" i „foronomicznych" przeczytają sobie sami wywody Wundta przynajmniéj na str. 467, 469, 470 i 471. Że, jak wszędzie, tak i tu, nie obeszło się bez dosłownéj zgody, widać to najlepiéj z tego ustępu: „Innemi słowy: zgodność zasad dynamiki, jako nauki o ruchach rzeczywistych, należy przypisać temu, że fizycy formułując dynamiczne zasady podporządkowywali przyczynowy związek istniejący pomiędzy zjawiskami pod zasadę względności ruchu" (str. 57). Wundt zaś pisze: „*Mit anderen Worten: die causalen Beziehungen der materiellen Elemente sind selbst dem Princip der Relativität zu subsumiren*" (zob. str. 471).

Przekonywamy się tedy ze wszystkiego, cośmy téj rozprawie wytknąć musieli tak pod względem historycznym, jak i systematycznym, że mamy tu do czynienia z prostą mistyfikacyą. Wszelka zatém dyskusya z autorem, nie znającym historyi ani jednego zagadnienia filozoficznego, byłaby istną satyrą albo na autora, albo na referenta, albo na filozofię. *Dr. A. S.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Helena Ceysinger.* **Ze znalezionych kartek** (Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 159). — Autorka tego zbiorku, mieszczącego dwa tylko utwory, jest debiutantką na polu literackiém. Zwróciło na nią uwagę przyznanie nagrody na konkursie dramatycznym za dramat osnuty na tle dziejów Dalmacyi p. t. „Zwalczeni". Nie był to wszakże pierwszy jéj utwór. Już poprzednio w r. 1891 drukowała w „Bluszczu" szkic powieściowy p. n. „Ze znalezionych kartek", który obecnie z „Maniakiem" wyszedł w książkowém wydaniu. Pierwszy jestto urywek z pamiętników suchotnicy, świadoméj swego stanu, młodéj, rwącéj się do życia, a zawiedzionéj w uczuciu, bo ten, co był jéj narzeczonym, ujrzawszy inną pannę zdrową, do niéj afekta swe zwrócił. Biédna suchotnica przechodzi męki straszne, wszystko ją drażni, wszystko napawa goryczą; pod wpływem rozmyślań nad swoją dolą i rozmów ze zwolennikiem doktryn materyalistycznych, popada w zwątpienie, bluźni Bogu. Nie umiéra jednakże w tym stanie; szlachetniejsze porywy serca zwalczają samolubstwo, nie z przekleństwem na ustach, lecz z wyrozumiałością na słabości ludzkie sama dobrowolnie zwalnia narzeczonego ze słowa i przed zgonem uszczęśliwia kochającą się parę. Ci,

którzy pod naciskiem jednostronnego poglądu mniemają, iż w cierpieniu rozwija się tylko egoizm, uważać będą taki zwrot w duszy suchotnicy za sztucznie przez autorkę wywołany dla celów moralnych; ale kto się nie zaślepia doktryną a patrzy w życie głębiéj, nie podzieli takiego zdania; jak miłość czy radość, tak i cierpienie różne wywołuje skutki stosownie do charakteru osób, które ich doznają; mogą tedy miéć cechy egoizmu lub spółczucia. — P. Ceysinger za słabo trochę przejście owo odmalowała, ale prawdy nie nadwyrężyła. Drugi szkic p. t. „Maniak" jest zagadkowy; widocznie autorka nie dopowiedziała w nim wszystkiego, co miała na myśli. Mamy tu odmalowanego człowieka silnéj woli, który, widząc marnotrawienie zasobów materalnych przez najbliższe rodzeństwo, ogranicza swoje potrzeby do *minimum*, operuje pieniędzmi jaknajkorzystniéj, ażeby zebrać jakiś znaczny fundusz na cel użyteczności publicznéj. Pomimo przeszkód, jakich doznaje ze strony rodziny, dochodzi zamierzonego celu; poczytywany za sknerę, za człowieka bez serca, zbiéra ów fundusz. Co z nim robi, nie wiadomo. W ostatniéj scenie widzimy go szczęśliwego, zadowolonego w celi klasztornéj. Z tego obrazka nie możemy żadnych wyprowadzać wniosków o zasadniczéj dążności utworu; w wykonaniu niektórych ustępów widać energię rysów i powagę myśli. Kierunek psychologiczny zdaje się być głównie umiłowanym przez autorkę; pióro ma dość wyrobione, język poprawny, myśli sporo; więc, śmiało daléj!

= **Fotografie bez retuszu** (zbiór opowiadań) *Gamastona*. Kijów i Odessa. W księgarni Bolesława Koreywy, 1894, str. 333. — Autor „Fata-Morgana" i „Lamparciego życia" zebrał w obecnym tomiku pisane dawniéj i bardzo niedawno szkice swoje powieściowe, w których dotknął różnorodnych stron życia, nie zmieniając atoli zasadniczéj cechy sposobu ich odtwarzania; o czémkolwiek bowiem mówi, idzie mu głównie o anegdotę, o stronę zewnętrzną, o wypadek lub o wyraz, nie zaś o charakter, o myśl i duszę. Wszędzie przebija się umysł zadawalniający się tém, co widzi na powierzchni, trochę łatwowierny, a trochę lubiący mistyfikować. Kiedy opowiada naprzykład awanturę arabską o pięknéj bogatéj a znudzonéj pani, która dla rozrywki idzie na bal szwaczek, poznaje tam studenta, do którego się przywiązuje, odbywa z nim jako szwaczka spacery, chodzi do jego mieszkania i t. d., aż wreszcie przez samego studenta zdemaskowana i odepchnięta, napróżno go usiluje przekonać o swéj niewinności; to się przypominają te przechwałki studentów o swych tryumfach, w które słuchacze wierzą tylko dlatego, ażeby nikomu nie psuć humoru, ale których na seryo

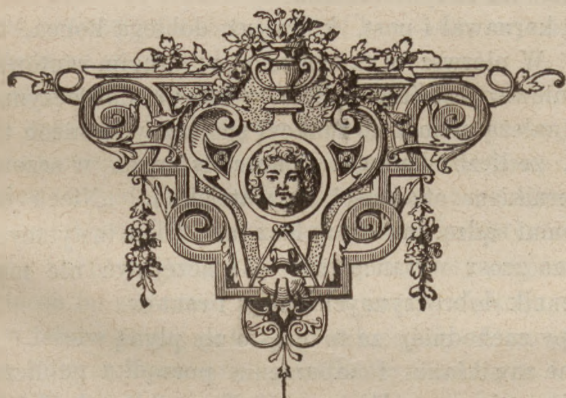
nie biorą. Są w tém opowiadaniu („W roli Marty") sceny dobre i prawdziwe, jako to przygody studentów, targ z żydem, balik w magazynie mód, ale są to epizody, treść główna zaczerpnięta z bajecznéj archeologii. „Cora" jest historyą gwałtownéj zmysłowéj miłości, w któréj malowaniu lubuje się Gamaston; znajdujemy tu więcéj jędrności słowa i więcéj spójności w opowiadaniu niż gdzieindziéj. „Trzy spotkania" jako obrazek niepretensyonalny, może istotnie wzięty z życia samego autora, czyta się z zajęciem. „Kuracyjka", będąca satyrą na różnorodność opinii lekarskich, ma ustępy dobre; pobyt w Nałęczowie mianowicie należy do liczby wielce udatnych. Natomiast, gdzie autor wychodzi ze swéj dziedziny, starając się malować uczucia tkliwe i wzniosłe, tam okazuje swą słabość, jak np. w obrazku „Na zamorskiéj ziemi", kreślącéj nędze i nieszczęścia gromady chłopów, co złudzona pojechała po bogactwo do Brazylii, albo w napółmistycznym szkicu: „Za czyje winy", przedstawiającéj parę scen z życia niewidoméj, która w chorobie w sposób niewyjaśniony dojrzała, jak dziecko jéj zbliżywszy się do kominka, miało sukienkę zatloną i krzyknąwszy: „Zosia się pali" — umarła. Inne drobiazgi zawarte w tym tomiku („Pośpieszna konsultacya", „Improwizowany Niemiec", „U szczytu marzeń", „Niezapominajki") zaledwie zasługuje na wymienienie; ani w nich nie ma jakiéjkolwiek świeżości pomysłu, ani artyzmu w wykonaniu. Błędów językowych w rodzaju: przyjąć udział i t. p. jest sporo w „Fotografiach bez retuszu".

— *Marya Rodziewiczówna.* **Na fali.** Powieść współczesna (Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 304). — P. Rodziewiczówna nie jest zwolenniczką szablonu towarzyskiego; owszem, chętnie maluje ludzi i stosunki najbardziéj się od tego szablonu oddalające, ale natomiast w tém malowaniu wyrobiła sama sobie szablon, który wciąż powtarza. Fantazya jéj zdobyła się na wytworzenie kilku typowych okazów natury ludzkiéj, jako to człowieka silnéj woli i jasnéj myśli, który idzie przez życie przebojem i osiąga cel zamierzony; człowieka miękkiego; tkliwego, marzycielskiego, który istnienie swe zawarł w jednéin uczuciu i po doznanym w téj mierze zawodzie żyć już nie potrafi; człowieka lekkich obyczajów a dobrego serca, który pomimo swego urwisostwa lubianym jest przez ludzi, bo umie zawsze przemówić do jakiéjś słabéj ich strony; człowieka zdziwaczałego wreszcie wskutek nadmiernego rozrostu jakiéjkolwiek namiętności. Mniéj jeszcze możnaby z jéj powieści wydobyć typów kobiécych: kochanka oddana całkowicie przedmiotowi swego ukochania, nie zważająca na żadne względy ludzkie, lekceważąca opinię i działająca jedynie pod natchnieniem silnego i jedy-

nego uczucia, dziewczyna wietrzna, kokietka, bałamucąca jaknajwięcéj młodzieży dla saméj przyjemności bałamucenia, gospodyni zawzięta, z ciasnym umysłem i z ciasném sercem; dziwaczka wreszcie — oto i wszystkie główne odmiany usposobień i charakterów, jakie p. Rodziewiczówna zazwyczaj przedstawia. Różnorodne kombinacye, wytwarzane z ciągłego zestawiania ze sobą tych postaci męskich i żeńskich na tle ogólnikowo, a często nawet niewyraźnie narysowanych stosunków towarzyskich i społecznych, wypełniają treść tych licznych utworów, jakie autorka ogłasza. Z tego powodu streszczanie tych utworów jest bardzo nużące, bo wciąż potrzeba te same właściwie figury, z drobnemi jedynie modyfikacyami, na podobném jak dawniéj tle przedstawiać. W powieści pewném przynajmniéj urozmaiceniem są szczegóły; w streszczeniu szczegóły te z konieczności muszą zniknąć, a szkielet powieści jednéj można wziąć za szkielet drugiéj. I w tym oto najnowszym utworze: „Na fali", który rozwija się nie wiadomo napewno w jakiém miejscu, autorka bowiem go nie wymienia, spotykamy znane dobrze z dawniejszych utworów figury: marzycielskiego Józefa, lekkomyślnego Piotrusia, kokietkę Pepitę, gospodynię Lizę, dziwaczne stadło Mariców, którego nawet dobrze zrozumiéć nie można pod względem położenia społecznego i trybu życia. Stosunki studenckie, niezwykle swobodne znajomości między młodzieżą męską i żeńską, przygody Piotrusia wśród Niemców robiącego niesłychane wrażenie, chciwość i skąpstwo Mariców, niezmiernie miękka uczuciowość Józefa, a płochość Pepi składają się na obrazek dość barwny i urozmaicony. I kto szuka w powieści żywego przedstawienia rzeczy, rozmów urywanych anegdotek o figlach studenckich i przejściach miłosnych; ten zapewne i tym utworem p. Rodziewiczówny się nie znudzi; ale kto pragnie własne spostrzeżenia nad duszą ludzką pogłębić za pośrednictwem cudzéj obserwacyi, kto chce widziéć konsekwentny rozwój uczuć i charakterów, ten się zawiedzie zarówno tu, jak i w wielu innych utworach naszéj płodnéj i poczytnéj autorki.

= **Epos.** Arcydzieła poezyi epicznéj wszystkich czasów i narodów przez *A. Chassang* i *A. L. Marcou*. Przełożył i uzupełnił *A. Lange* (Kraków-Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 437). — Heise już dawno zauważył, że nastały teraz czasy, w których nie czytamy wielkich poetów, tylko o nich. Autorowie „Eposu" zaznaczają to samo co do słynnych poematów, których tytuły i główni bohatérowie są na ustach wszystkich, ale które zazwyczaj co do swéj treści bardzo mało są znane, bo nie bywają czytane. Chcąc przynajmniéj do poznania treści zachęcić, napisali swą książkę. Podają w niéj główne zarysy wszystkich

głośnych epopei literatury powszechnéj, poczynając od Ramajany i Mahabharaty, a kończąc na usiłowaniach stworzenia epopei w wieku XIX-ym. Nie wszystkie części są tu opracowane z jednakową starannością; tak np. Ramajana, przedstawiająca bardzo wiele pięknych prawdziwie epizodów została streszczona sucho i krótko. O poezyi epicznéj słowiańskiéj autorowie francuscy nic nie powiedzieli; wyręczył ich tłómacz polski, p. Antoni Lange, przytaczając wyjątki z Królodworskiego i Zielonogórskiego rękopismu, z „Pieśni serbskich o carze Lazarze i Marku królewiczu”, ze „Słowa o pułku Igora”, z bylin ruskich, wreszcie z „Wojny chocimskiéj Wacława Potockiego”, oraz streszczając bardzo pobieżnie „Pana Tadeusza” i „Króla Ducha”. Książka nie jest bez usterek (korekta imion własnych wielce niedbała), ale przy nauce literatury niewątpliwie przydać się może; tylko pożądaném byłoby, ażeby wyszła druga książka zawierająca wyjątki z najcelniejszych utworów literatury powszechnéj w tłómaczeniu polskiém; streszczenie bowiem samo nie może wystarczyć do poznania dzieła sztuki.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Niepokoje wewnętrzne w Europie zachodniéj. — Traktat handlowy rusko-niemiecki. — Kobiety w cechach, różne opinie. — Stowarzyszenie szwaczek. — Projekt ubezpieczenia oficyalistów wiejskich. — † Władysław Olendzki i publicystyka. — Wielkie miasto i rzemieślnicy. — Wybory do Towarzystwa kredyt. ziem. — Odczyty i ich pożytek.

Jedno z najczęstszych zapytań jest: „co tam słychać nowego? lub — co się dzieje na Bożym świecie?"

U nas i karnawał i post, który już dobiega końca, nie uchybiły zwyczajowi. W pierwszym tańcowano, w drugim rautowano dostatetecznie. Ponieważ jesteśmy ogółem, w którym dobroczynne bale, koncerty i rauty należą niemal do funkcyi społecznych, niech to więc nikogo nie dziwi, że liczba balów i koncertów bywa w sezonie zimowym poniekąd miernikiem ofiarności obywatelskiéj. „Niech o tém blisci i dalecy potomni sądzą, jak chcą, lecz tam, gdzie instytucye dobroczynne oczekują na grosz wytańcowany — inaczéj być nie może", mówił pewien zwolennik dobroczynnych balów i rautów.

Z Europy zachodniéj za to często złe płyną wieści.

Poważne zawikłania i zaburzenia porządku publicznego, które zaczęły się jesienią w całéj prawie Europie zachodniéj, trwają po większéj części po dziś dzień. W Hiszpanii, we Włoszech, w Austryi i we Francyi zamachy, aresztowania, tłumne zbiegowiska, bójki i procesy polityczne nie schodzą z porządku dziennego, wywołując częściowe ograniczenie lub zawieszenie rękojmi konstytucyjnych.

Na arenie międzynarodowéj za to usposobienie dla zbrojnego choćby pokoju utrwala się. I traktaty handlowe, z których ostatni, rusko-niemiecki będzie zapewne najważniejszym, są także znaczną rę-

kojmią pokoju. Nadchodzącą wiosnę ta część ludzkości, która ma do czynienia przedewszystkiém z troską i pracą, powita chyba z niejaką otuchą, że jéj wysiłki nie zostaną zakłócone przez obawę wojny.

Traktat téż handlowy, zawarty pomiędzy Rosyą a Niemcami w ubiegłym miesiącu, jest obecnie przedmiotem rozpraw w parlamencie niemieckim. Układ ten zapewnia obu państwom wzajemne korzyści, i przez zniżenie cła od zboża rokuje téż i rolnictwu naszemu lepsze widoki.

Co do wzajemnych strat, o jakie przyprawiała obie strony wojna celna, to wystarczy choćby przytoczenie kilku głównych cyfr: taryfy ruskie przez systematyczne podwyżki celne zamykały swój rynek dla wytworów przemysłu niemieckiego. Skutkiem tego wywóz towarów z Niemiec do Rosyi, który w r. 1880-ym wynosił 215 mil. marek, spadł w ostatnich latach do 120 niemal mil. Dowóz zaś zboża ruskiego do Niemiec, który jeszcze w r. 1891-ym wynosił przeszło 16 mil. centnarów podwójnych, w r. 1893-im spadł do niespełna 4 mil. Mimo to jednakże ceny zboża w Niemczech nietylko nie poszły w górę, ale nawet spadły; miejsce zboża ruskiego zajęło amerykańskie, a zaoceanowi eksporterzy zniżali ceny do *minimum*, byle tylko zdobyć nowy rynek zbytu.

Przeciwko traktatowi agituje i oponuje głównie stronnictwo agraryuszów niemieckich. Widoki przyjęcia traktatu przez parlament są prawie pewne, zwłaszcza wobec wpływu i nacisku, wywieranego przez cesarza Wilhelma i sfery rządowe.

Urząd starszych zgromadzenia krawieckiego uchwalił przypuścić do udziału w sprawach cechowych kobiéty, które o swojém uzdolnieniu złożą świadectwo przez odpowiedni egzamin fachowy.

Wypadek ten jedni podnieśli do wielkiego znaczenia, nazywając go posunięciem naprzód kwestyi emancypacyi kobiéty, oraz wytworzeniem łączności korporacyjnéj, któréj dotąd kobiéty-pracownice były pozbawione. Ma on im zapewnić „pomoc w czasie choroby, podtrzymanie materyalne w razie istotnéj potrzeby, osłonę siły zbiorowéj w każdym wypadku, w którym same sobie zaradzićby nie mogły. Mieć za sobą tę pomoc, tę siłę związkową czuć się członkiem jednéj wielkiéj rodziny i korzystać z praw téj rodziny — duża to dźwignia moralna, któréj lekceważyć nie można", — mówią ci, co w uchwale zgromadzenia starszych widzą niemal reformę społeczną. Tymczasem inni lekceważą właśnie uchwałę cechu krawieckiego, którą miały powołać przyczyny uboczne.

Jakie właściwie zło to postanowienie usuwa i co dobrego sprowadza lub sprowadzać może?

Kobiécie patent konsensowy nadaje prawa do zajmowania się rzemiosłem, a ustawy cechowe pozwalają na utrzymywanie warsztatu z czeladzią i terminatorami. Z praw takich korzystała wdowa po rzemieślniku aż do powtórnego wyjścia za mąż.

Patenty konsensowe powinny, zdawałoby się, rozwiązywać pod tym względem sprawę, bo, pozwalając kobiécie zajmować się rzemiosłem, czyniły jéj postęp zależnym od energii i uzdolnienia. Stało się jednak inaczéj. Wielkie zaofiarowanie pracy przy mniejszém jéj zapotrzebowaniu obniżało ciągle wysokość zarobków, i praca kobiét-krawczyń, wymagająca bądź co bądź pewnego uzdolnienia, stała się wyrobniczą. Teoretyczne wykształcenie, którego udzielano w szkołach rzemiosł—nie polepszyło sprawy. Szkoły te prowadzone były podobno bez umiejętnéj kontroli. Zgromadzenie krawców przez uchwałę swoją daje rękojmię, że kwalifikacye kobiéty-pracownicy będą istotne.

W takiém mniéj więcéj świetle przedstawiają sprawę ci, którzy postanowieniu cechu krawieckiego przypisują duże dodatnie znaczenie.

Wręcz przeciwne pod tym względem opinie wypowiada „Głos", który w tém formalném równouprawnieniu kobiét widzi własny interes majstrów krawieckich; „wzamian za przywileje formalne, które nic nie kosztują, zyskają tańszą pracę kobiécą, wątpić bowiem nie można, że kobiéty-pracownice chętnie na ten lep pójdą." Pismo to, rozbierając warunki pracy rzemieślniczéj, mówi, że w rzemiośle krawieckiém należą one do najgorszych, czeladnicy są bardzo licho płatni i antagonizm między nimi a majstrami, istniejący we wszystkich cechach, w tém zgromadzeniu występuje bowiem najsilniéj. Krawcy majstrowie cechowi walczą z nienależącymi do cechu i kilkakrotnie żądali stosowania rozmaitych ograniczeń względem ostatnich. Pozyskanie tanich pracownic, których krawcy niecechowi tak łatwo nie znajdą, bo nic im na przynętę dać nie mogą, oto—według „Głosu"—najważniejsza przyczyna niespodziewanych sympatyi emancypacyjnych pp. starszych zgromadzenia krawieckiego. Twierdzenie, że świadectwo przez cech wydane będzie dowodem należytego uzdolnienia fachowego, nie ma żadnéj podstawy, bo wiadomo przecież, co warta jest ta kwalifikacya i w jaki sposób zwykle się ją nabywa. „Toć dla nikogo nie jest tajemnicą, że w wielu cechach poprostu za pewną opłatę wyzwalają na czeladników, a nawet na majstrów—nieuków i niedołęgów, nie mających pojęcia o swojém rzemiośle."

W ostrych i zjadliwych zarzutach, któremi „Głos" opatrzył uchwałę cechu krawieckiego jest znaczna doza słuszności, lecz jakie-

kolwiek motywa znaleźlibyśmy lub podsunęli omawianemu postanowieniu cechu — to jeszcze wcale jego wartości i przyszłego pożytku nie znosi. Przypisywanie emancypacyjnym skłonnościom starszych téj uchwały może istotnie wywołać uśmiech niedowierzania i niepotrzebnie wprowadza żywioł frazeologii do kwestyi, którą interesowani i interesowane powinni przedewszystkiém pojmować i traktować prosto i pozytywnie, nie przypisując jéj znaczenia jakiéjś daleko sięgającéj reformy, którego, rzecz prosta, miéć nie może. Lecz miejmy także i to na uwadze, że dane prawo, przepis, ulga lub koncesya, jeżeli tylko rozszerzają zakres dotychczasowéj reguły, pozwalając korzystać większéj liczbie członków ze swoich rękojmi lub przywilejów, mogą być zawsze pożyteczne, bez względu na motywa, które tę zmianę wywołały, o ile ci nowi członkowie nieznaczne choćby ulgi lub koncesye spożytkować dla siebie zechcą i potrafią. Dotychczas starsi zgromadzenia krawieckiego nie ogłosili jeszcze uzupełnionych przepisów, dotyczących przyjmowania kobiét do cechu — mogłaby więc być pora do dyskusyi przedwstępnéj, byleby tylko nie wygłaszano dytyrambów na cześć cechu krawieckiego, który miał popchnąć naprzód emancypacyę kobiét; z drugiéj zaś strony nie należałoby też niewczesnemi podejrzeniami tłumić dobrych chęci. Przecież i „Głos", chociaż uważa zgromadzenia rzemieślnicze za organizacye niedołężne, z przestarzałą ustawą, dodaje jednak, że „w braku innych, odpowiedniejszych do zmienionych warunków i potrzeb urządzeń korporacyjnych należy i z nich korzystać i starać je się reformować."

Zanotować tu także należy, że, jak donoszą pisma, dzięki inicyatywie wiceprezesa tutejszego oddziału Towarzystwa popierania rus. przem. i han., p. Władysława Kiślańskiego, kwestya pracy kobiét znajdzie punkt oparcia w specyalnéj delegacyi, którą zarząd Towarzystwa ma utworzyć dla opracowania udziału kobiét w przemyśle i rękodzielnictwie. Do delegacyi téj należéć będą kobiéty-członkowie Towarzystwa, znane już na polu pracy społecznéj. Projektowana delegacya—jak zapowiadają — ma zebrać materyały, potrzebne do wyrobienia właściwego pojęcia o warunkach pracy kobiét i reformach, do jakich w tym zakresie dążyć trzeba, oraz poda możność osobom interesowanym porozumiewania się bezpośrednio w tych sprawach i przedsiębrania odpowiednich usiłowań.

Dla uzupełnienia podniesionych spraw kobiécych z zadowoleniem dodać jeszcze można, że projekt stowarzyszenia szwaczek, którego warunki i podstawy przedstawiliśmy w lutowéj kronice, przechodzi podobno w fazę czynną. „Grono ludzi — jak „Kur. Warszawski" pisze — w którém bierze udział nietylko pewna część interesowanych, ale i spe-

cyaliści-pracownicy, finansiści oraz rzetelni filantropowie, zabrało się do opracowania ustawy „Towarzystwa wzajemnéj pomocy pracownic igły”, która następnie zostanie przedstawiona władzom do zatwierdzenia i jest nadzieja, że pożyteczna myśl zostanie urzeczywistnioną.”

Jeżeli, jak zapewniają, „dobrzy ludzie” pracują już nad ustawą projektowanego stowarzyszenia, jeżeli nimi są finansiści, pracownicy, oraz rzetelni filantropowie i jeżeli, jak według wszelkich przypuszczeń myśléć można, stowarzyszenie sankcyę władzy uzyska, to sprawa w zasadzie może być rozstrzygniętą.

W zasadzie, bo w praktyce rozstrzygną ją przedewszystkiém same interesowane, t. j. szwaczki. Szczere uznanie w każdym razie należy się już temu gronu ludzi dobréj woli, co myślą i pracują nad projektem stowarzyszenia, które jest z pewnością jedną z najpilniejszych potrzeb społecznych Warszawy. Życzyćby także należało, ażeby pisma codzienne projekt ten popularyzowały, podsuwając go uwadze publicznéj częściéj, niż dotychczas. Wówczas same nawet szwaczki uwierzyłyby silniéj w wykonalność i doniosłość swojéj sprawy. Przecież posiada ona większe bez porównania znaczenie od najpoetyczniejszych rautów i koncertów, do których publiczność tak gorliwie nakłanianą bywa.

Myśl ubezpieczenia oficyalistów wiejskich podnoszona była w ostatnich czasach kilkakrotnie, a te pisma, które za obowiązek swój poczytują coś więcéj nad zachętę do prenumeraty, starały się rozniecić obywatelskie intencye wśród tych, do których sprawa ta przedewszystkiém należy, t. j. właścicieli ziemskich. Rozpraw o tym przedmiocie, i to niekiedy gruntownych, było już wiele, ale nie było jasno określonego początkowania, nie było czynu. Na to początkowanie zanosi się teraz: oby nie zabrakło tylko wytrwałości.]

Myśl ubezpieczenia oficyalistów i nawet robotników wiejskich przyjęła się podobno we wszystkich okolicach kraju i obmyślano już należycie zasady ubezpieczenia, które zostaną przedstawione właścicielom ziemskim podczas tegorocznych wyborów do Towarzystwa kredytowego dla poczynienia zmian, jakich warunki miejscowe wymagać mogą. Główne kierownictwo sprawy spoczywa w sekcyi rolnéj Tow. pop. rus. prz. i h. Projekt został tak pod względem prawnym, jak i finansowym już opracowany. Mają być dwa typy ubezpieczeń: pierwszy na dożycie—z kapitałem płatnym w razie starości lub śmierci; drugi ubezpieczenia zapomogowego—z zasiłkiem (zapewne doraźnym lub peryodycznym) w razie nieszczęśliwego wypadku lub kalectwa. Ubezpieczać się może albo sam oficyalista, albo chlebodawca w jego imieniu. Wysokość sumy asekuracyjnéj wyniesie od 100 do 3,000 rubli.

Zwyczajnego robotnika, czyli parobka folwarcznego, ubezpieczyć może pracodawca bez udziału ubezpieczonego; oficyalista zaś powinien wnosić właściwą składkę procentową.

I znów nasunie się potrzeba jaknajszerszego rozpowszechnienia wśród interesowanych wiadomości o tym projekcie zabezpieczenia ich twardego losu. Towarzystwa asekuracyjne w swoim własnym interesie, dla zjednania sobie opinii społecznéj, nie omieszkają zapewne poczynić ulg, któreby ubezpieczenia pracowników wiejskich uczyniły najdostępniejszemi.

Do projektu tego powrócimy jeszcze wtedy, kiedy w utrwalonéj formie się ukaże.

28-go lutego umarł Władysław Olendzki, publicysta i redaktor „Kuryera Codziennego".

Olendzki posiadał wielką werwę słowa i pióra. W ciągu dwudziestoletniéj pracy na polu publicystyczném pisywał przeważnie w „Niwie," „Słowie" i „Kuryerze Codziennym." Sprawy publiczne odczuwał żywo, pisał o nich z zacięciem, często i z humorem. Posiadał duży temperament i wrodzone, że się tak wyrażę, cechy i upodobania publicysty, któremi były: namiętność do dyskusyi, łatwe objęcie interesu dnia i dar zwrócenia uwagi, niekiedy serca czytelnika — przez żywe słowo, przez doraźną i śmiałą definicyę, przez dowcip — na sprawę publiczną.

Lecz te niewątpliwe zalety organizacyi, umysłu, temperamentu i pióra Olendzkiego długa praktyka dziennikarska skrzywiła i wykoleiła znacznie: w ostatnich zwłaszcza latach jego temperament przechodził w zacietrzewienie, dowcip niekiedy — w karykaturę, a staranie się o dosadność zwrotów i myśli kłoniło się ku przesadzie. I dlatego Olendzki, pomimo dużych darów wrodzonych, pomimo znacznych kwalifikacyi publicystycznych, tracił co raz więcéj umiejętność przedmiotowego i informacyjnego wykładu rzeczy, co naturalnie, w piśmie popularném, przez nieukształcone po większéj części masy czytaném, korzystném być nie mogło. Ci z dziennikarzów naszych, którzy téj saméj metody a raczéj tych sposobów używają, nie posiadając na domiar złego ani talentu, ani werwy, ani wykształcenia Olendzkiego, mogliby z tego przykładu tę osiągnąć naukę, że prędzéj czy późniéj czeka ich zguba, komiczna niekiedy maniera. Pomimo wszystkiego bowiem, co wyżéj powiedziane, Olendzki nawet w wadach i manierach swoich zdawał się być szczerym, oryginalnym — był samym sobą. Jego zamaszysty, otwarty, nieco jowialny styl posiadał rozpęd i samorodność, właściwe widocznie charakterowi człowieka.

W każdym też razie śmierć Olendzkiego zrobiła szczerbę w nie-

licznym szeregu publicystów warszawskich z krwi i powołania. Za mało się dziś liczymy z istotnem znaczeniem tego wyrazu, poddajemy go wątpliwości i ironii. Mówi się dużo o zręczności, sprycie i węchu dziennikarskim, jak gdyby tutaj chodziło o zalety psa myśliwskiego przy polowaniu na kaczki i kurki wodne, lecz powołanie? na co i po co powołanie? Ten jest powołany, kto ma „dobry nos" — oto odpowiedź. Trudno naturalnie myśléć o tém obecnie, ażeby rzemiosło dziennikarskie było pojmowaném lepiéj, treściwiéj i szlachetniéj. Zanadto jest zależne od wpływów handlu i reklamy, co przecież wcale nie pozwala zapominać o jego istotném przeznaczeniu.

W ostatniéj kronice przytaczaliśmy przykłady, świadczące o potrzebie zawodowo uzdolnionych i zaradnych rzemieślników na prowincyi. Niedawno „Kuryer Codzienny," pisząc o tłumném dążeniu niedobitków rozmaitych warstw społecznych do większego ogniska, do Warszawy, ubolewał, że za wielu przybywa przybywa tutaj rzemieślników i to zdolnych, uczciwych i pracowitych, właśnie takich, jakich potrzebują nasze miasta i miasteczka, zalewane produkcyą tandety.

Przeludnienie w rękodzielnictwie u nas nie odstrasza ich; przybywają całemi masami, aby następnie pracować za połowę płacy, jaką pobiérali dawniéj, ale pracować u wielkiego ogniska. Słuszną jest uwaga, że przybysze ci wyrządzają potrójną krzywdę; najprzód sobie, bo muszą przystać na niskie wynagrodzenie, potém całéj klasie rzemieślniczéj, obniżając zarobki i w końcu prowincyi, pozbawiając ją zdolnych fachowców. Ta pielgrzymka do wielkiego miasta daje się już obecnie na prowincyi odczuwać: nie tylko wsie, osady, ale i miasteczka narzekają na brak zdolnych rękodzielników, wielkie zaś rynki tanim kosztem wzbogacają się z uszczerbkiem ogólnym.

„Kuryer" słusznie przypuszcza, że może nastąpić zmiana dla tych właśnie, którzy tu przybywają, zgubna.

Wiemy, co to jest atrakcya, która przyciąga masy ludzkie do miast wielkich. Najgłówniejszym jéj pierwiastkiem jest ambicya, któréj podlega zarówno przyszły kandydat do laurów politycznych i artystycznych, jak i Marysia wiejska, marząca o parasolce i kapeluszu, jak i Wojtek i Józiek, który woli być stróżem w kamienicy niż stróżem na gumnie. Ambicya ta wydaje niekiedy i dobre owoce, tęgie charaktery i pożyteczne wysiłki. W każdym razie jest ogólno-cywilizacyjnym objawem, znanym oddawna.

W tym razie mamy do czynienia z ujemną stroną tego objawu. Cóż na to poradzić? Zdaje się, że najskuteczniejszy środek polegaćby mógł na podniesieniu odpowiedniéj gałęzi życia na prowincyi. Wielkie miasto ze swoim gwarem, wrzawą, gwarem i gorączką jest właśnie

atrakcyą dla wrażliwych żywiołów, spragnionych dostatków i karyery. Zanim się sparzą — dążą tutaj. Nasza prowincya ze swojém ospałem i rutyniczném po większéj części życiem nie sprzyja im. Podobno i sfery rządowe zwróciły w ostatnich czasach baczniejszą uwagę na konieczność otwiérania szkół fachowych w różnych miejscowościach kraju, więc mogłaby być nadzieja podniesienia rozmaitych rodzajów wytwórczości. Dzienniki podają, że p. kurator warszawskiego okręgu naukowego dla ułatwienia wykształcenia zawodowego przedstawił ministeryum oświaty projekt zmian i reform w Królestwie Polskiém, a mianowicie: otworzenia niższych szkół rolniczych w Maryampolu i Końskowoli, szkoły górniczéj w gub. kieleckiéj, szkoły handlowéj w Warszawie i szkoły budowlano-technicznéj także w Warszawie. Natomiast p. kurator projektuje zamknięcie wszystkich progimnazyów męskich, przekształcenie łódzkiéj szkoły rzemieślniczéj na przemysłowo-techniczną i powiększenie liczby szkół trzy- i cztero-klasowych miejskich o piętnaście, z wykładami kursu rzemiosł we wszystkich bez wyjątku. Dla uzupełnienia systemu przydałyby się szkoły rzemieślnicze po miastach i miasteczkach.

W ostatnich latach zapowiadano często reorganizacyę sądów gminnych. Według wiadomości, podanych przez dzienniki russkie, komisya, zajęta tym projektem, nabrała przekonania, że sądy gminne zaaklimatyzowały się dobrze i odpowiadają potrzebom ludności miejscowéj, oraz, że zastąpienie ich przez oddzielnych sędziów pokoju naraziłoby skarb państwa na znaczne wydatki. Z tych względów, nie naruszając zasadniczéj organizacyi sądów, uznano tylko za potrzebne: nadać sędziom i pisarzom gminnym prawa służby państwowéj, ustanowić dla sędziów census umysłowy (ukończenie średniego zakładu naukowego), przedłużyć ich kadencyę do lat 6-iu, powiększyć pensyę do 1500 rub. i inne jeszcze zmiany natury administracyjnéj.

13-go kwietnia zaczną się wybory do władz Towarzystwa kredyt. ziemskiego. Dotychczas nie znać jeszcze agitacyi w pismach, chociaż spodziéwać się należy, że będzie ona nie mniéj ożywiona, niż lat poprzednich. Trzeba się na zebraniach spodziéwać licznych wniosków, które w ogromnéj większości nigdy ani spełnione, ani przedyskutowane nie zostaną. Stowarzyszowanym wypadałoby zawczasu porozumiéć się, ażeby nie tracić czasu na stawianie żądań, które albo z powodu słabego uzasadnienia, albo nieznajomości zakresu działań instytucyi, albo okoliczności—skutku innego, oprócz hałasu miéć nie mogą. Rzecz prosta, że żądania i wnioski, do pozytywnych celów zmierzające, należy zawczasu obmyślać i układać. Przypomnijmy dobrze tylko, ile to

i podczas ostatnich wyborów rozprawiano i pisano, i co z tego się ziściło?

Interesy rolnictwa, przechodzącego chroniczne przesilenie, wymagają czujności i fachowéj oceny. Zebrania stowarzyszonych na wybory mogłyby i pod tym względem przynieść korzyść. Oczekujemy téż zebrań z pewną ciekawością, jakie mianowicie żądania i opinie rolnicy nasi wygłoszą?

Zwyczajem dorocznym zarząd Osad rolnych urządza szereg odczytów w ratuszu; późniéj nastąpią odczyty na rzecz Towarzystwa dobroczynności. Obie instytucye opiekują się najrzetelniejszemi interesami zbłąkanych dzieci lub zgnębionych i złamanych przez życie ludzi i obie mają prawo liczyć na współudział ogółu, który w jego obowiązkach wyręczają. Odczyty, tak rzadkie zresztą w Warszawie, są lub przynajmniéj mogłyby być przyjemną rozrywką umysłową dla wszystkich; dla tych zaś zwłaszcza, którym czas i zajęcia nie pozwalają otrzymanego niegdyś wykształcenia utrwalać lub nieotrzymanego nabywać stanowią dobry środek do tego celu. Takie jest przeważnie zadanie odczytów w wielkich i mniejszych miastach Europy zachodniéj i Ameryki; mają tam one znaczną popularność i ustaloną organizacyę dla téj prostéj przyczyny, że są pożyteczne. U nas odczyty uważano i uważa się za modne lub niemodne; lecz przecież po za sferą, dla któréj te przymiotniki, postawione przed rzeczami i ludźmi, rozstrzygają o popularności i wziętości jednych i drugich — jest inna jeszcze sfera, dla któréj pożytek, obowiązek, własna nareszcie przyjemność umysłowa mogą być także decydujące.

B. Lut.



NEKROLOGIA.

† **Władysław Jabłonowski**, dr. medycyny, czynny członek Towarzystwa lekarskiego w Krakowie, delegat międzynarodowéj komisyi sanitarnéj w Konstantynopolu, pisarz płodny w zakresie nauk lekarskich i etnografii, ur. 1841 r. na Podlasiu bielskiém, umarł 9 stycznia r. b. w Burgasie rumelijskim, nad morzem Czarnem. Od lat najmłodszych czując nieprzezwyciężony pociąg ku tajemniczemu Wschodowi, po skończeniu swych studyów na uniwersytecie Jagiellońskim i w Wiedniu r. 1867 ruszył nad Bosfor, a stamtąd daléj w głębie świata muzułmańskiego. Zawód swój, jako lekarz wojskowy, rozpoczął w Iraku arabskim (Mezopotamii). Najprzód w Mosulu, u ruin Niniwy przebył lat parę, następnie zaś przeniesionym został do świetnéj niegdyś stolicy chalifów Bagdadu. Tu zetknął się bliżéj z prześladowanymi srodze w Persyi wyznawcami nowéj tam, podniosłéj, religijno-socyalnéj nauki Babytów, głoszącéj między innemi wyzwolenie kobiéty. Z Bagdadu 1869 r. przeszedł z bitnym swym pułkiem, z dzikich Kurdów złożonym, do Hylleh, na ruinach Babilonu; w następnym zaś przeniesiony do Kerbeli, miejsca świętego szyitów, na oazie wysuniętéj w stronę już pustynnego Nedżdu. Osamotniony w takiéj obczyźnie, tém usilniéj oddawał się pracy, zapoznawał się z ludami i językami wschodniemi, zbierał ciekawą florę Mezopotamii, etc. Po powrocie pod koniec 1870 r. do Europy, bawił pewien czas w Konstantynopolu, gdzie rozpoczął wtedy kolekcyą swą flory nadbosforskiéj. Następnie w r. 1871, zawsze jako lekarz wojskowy, przeznaczonym został do Hercogowiny (Mostaru), gdzie się doczekał i głośnego w swoim czasie powstania, o przebiegu którego (1575) podawał żywe wiadomości do dzienników. Znużony jednostajnością warunków życia obozowego lat ostatnich, zapragnął otworzyć sobie szersze pole działalności fachowéj i przyjął

chętnie propozycyę pewnego możnego konsorcyum w Stambule—urządzenia, na wzór europejski, zakładu leczniczego przy słynnych termach Brussy, pod bityńskim Olimpem, o czém pisał w „Wędrowcu". Ale wybuchła wprędce wojna bałkańska zamierzenia podobne zniweczyła. W czasie samej wojny (1877) oddawał się dr. J. swemu powołaniu najprzód w Armenii, później zaś w głównym szpitalu wojskowym „Hajderpasza" na brzegu anatolskim Bosforu, gdzie powierzono mu osobny oddział chorych. Po wojnie spędził jeszcze lat parę, przy pułkach arnauckich w Albanii (w Prewezie 1879 r.). Znużony ostatecznie, rzuca służbę i dla wypoczynku usuwa się (1881 r.) w ciche ustronie Sultan-czairu, za morzem Marmora i Pandermą, przyjmując stanowisko lekarza, a zarazem umocowanego, znanéj w Konstantynopolu firmy Groppler & C., przy jéj tam kopalniach marmuru i boracytu. Tymczasem grasująca 1881 r. w Persyi dżuma zniewala rządy europejskie do wywarcia nacisku tak na W. Portę, jak i dyrekcyę międzynarodowéj komisyi zdrowia, ażeby na rozgranicze do Iraków, perskiego zarówno jak arabskiego, został wysłanym uzdolniony lekarz dla naukowego zbadania zarazy, by następnie tém łatwiéj przedsięwzięto takie środki państwowe i sanitarne, któreby zdołały Europę od strasznéj epidemii zasłonić. Na tę misyę, tak ważną a tyle niebezpieczną, nie znaleziono odpowiedniejszego kandydata nad d-ra J. Przyjął też on zaszczytne a odstraszające wezwanie odważnie i, już jako delegat komisyi internacyonalnéj, ruszył po za Tygrys, gdzie wybrał za środkowy punkt obserwacyjny pograniczne, znane sobie dobrze z lat dawnych, m. Sulejmanieh, skąd już robił dalsze wycieczki po przygasłych ogniskach dżumy w Lurystanie, Iranie i in. Zdobycze swych badań złożył w obszernem urzędowém sprawozdaniu międzynarodowéj komisyi. W rodzaju nagrody niejako otrzymał, jako jéj delegat, tymczasowo posadę lekarza kwarantanny 1886 r. w albańskim Skadarze, a 1888 r. w najbliższym od Konstantynopola porcie czarnomorskim, po stronie europejskiéj, mianowicie w rumelijskim Burgasie. Tu właśnie po przebyciu ciężkich lat paru, gotując się energicznie do nowéj pracy na szerszém polu, rażony gwałtownem zapaleniem płuc, niezmordowanego żywota dokonał. — Pracował też dla nauki przez całe życie usilnie: w nieprzerwanych wycieczkach swych, naprawdę „wielostronnych", zbierał dla muzeów krajowych wszędy gdzie co się dało — herboryzował, wyławiał rzadkie zabytki starożytności (Niniwy), zatrzymywał wzorce etnograficzne, etc. Notował zaś i pisał dużo. Większa część jego zapisek: podróżniczych, przyrodoznawczych, etnograficznych, leży w tekach, wszakże i to, co zostało w czasopismach lekarskich wydrukowaném, stanowi poczet niemały. Do ważniejszych tam prac zmar-

łego, z których niejedna może interesować i szersze koło czytelników, należą następne rozprawy: W „Medycynie" (Warsz.) „Służba zdrowia w wojsku tureckiém. Przyczynek do historyi powstania w Hercogowinie" (1876); w „Przeglądzie lekarskim" (Kraków) „Lekarze i leczenie w Turcyi" (1882), „Zaraza morowa i cholera na Wschodzie w roku 1881-ym" (1882), „Kazuistyka lekarska w Turcyi" (1883), „Dżuma w Iraku arabistańskim" (1885), „Szkice sanitarne z Persyi" (1885, 1887), „Cholera w Europie od r. 1884 do 1887" (1888), „Listy z Albanii" (1889), „Przyczynki do epidemiologii Wschodu" (1891 — 1894).

† **Józef Łepkowski** urodził się w r. 1826 w Krakowie uczęszczał na wydział filozoficzny w uniwersytecie, a potém zajmował się weterynaryą, napisał i wydrukował w Wadowicach r. 1850 książkę popularną „O leczeniu chorób koni, bydła, świń, owiec i psów". Porzucił jednak niebawem ten zawód praktyczny, a oddał się z zamiłowaniem badaniom archeologicznym, budząc zapał do nich i przyczyniając się do ich spopularyzowauia. Jego staraniem powstało Muzeum starożytności w Krakowie. Od r. 1863 był profesorem archeologii w uniwersytecie krakowskim. Zwrócił najprzód uwagę na siebie „Listami z podróży" (1850). Od tego czasu wydał mnóstwo broszur, pisał wiele artykułów, korespondencyi do czasopism, interesując się wszystkiém, co się tyczyło dawnych zabytków szczególniéj w Krakowie i okolicy. Główniejsze z tych prac wymieniamy: „Kalwarya Zebrzydowska i jéj okolice" (1850), „Ikonografia z archeologii ogólnéj" (1857), „Broń sieczna wogóle i w Polsce uważana archeologicznie" (1857), „Przegląd zabytków przeszłości z okolic Krakowa" (1863), „Z przeszłości, szkice i obrazy" (1862), „Przegląd krakowskich tradycyi, legend, nabożeństw, zwyczajów, przysłów i właściwości" (1866), „Sprawozdania i studya o zabytkach Kruszwicy, Gniezna, Krakowa, oraz Trzemeszna, Rogożna, Keyni, Dobieszewka, Golańczy, Żnina, Gąsawy, Pakości, Kościelca, Inowrocławia, Strzelna i Mogilna" (1866), „Sztuka; zarys jéj dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących" (1872), „O modlitewniku Zygmunta I-go, rękopisie dochowanym w bibliotece monachijskiéj" (1874). Zajmował się także wydawnictwem Długosza, podjętém przez Aleksandra hr. Przeździeckiego, przetłómaczył i ogłosił drukiem „Pamiętnik oblężenia Częstochowy za czasów wojen szwedzkich" napisany przez ks. Kordeckiego. Zmarł w Krakowie w połowie lutego r. b.

† **Bogumił Hoff**, etnograf, przyjaciel Oskara Kolberga, zachęcony jego przykładem zajmował się gorliwie zbieraniem wiadomości o zwyczajach i obyczajach ludów, dzieląc się wiadomościami swemi w artykułach pomieszczanych w różnych czasopismach, jako to w „Ku-

ryerze Codziennym", „Wędrowcu", „Wiśle". Obszerniejszą pracę sumiennie dokonaną wydał p. t. „Wisła i Wislanie" (1890). Umarł w końcu lutego w Wiśle na Śląsku, gdzie był od kilku osiadł, wysłużywszy sobie emeryturę jako urzędnik na kolei terespolskiéj, dożył 60 roku życia.

† **Władysław Olendzki**, publicysta, urodzony r. 1841 w gub. lubelskiéj, studya uniwersyteckie ukończył w Heidelbergu ze stopniem doktora filozofii. Potém przebywał kilka lat w Poznaniu i redagował wydawany tu przez Edmunda Callier'a „Tygodnik" w kierunku postępowym. W r. 1873 ogłosił początek pracy, któréj nie dokończył, p. t. „Historya nauk politycznych od wieku XVI-go do najnowszych czasów. Część I. Teorye polityczne XVI-go wieku poprzedzone przeglądem sporów politycznych w wiekach średnich" (str. 320). W r. 1874 przeniósłszy się do Warszawy, zaczął pisywać artykuły publicystyczne w „Niwie", a następnie został stałym jéj kronikarzem pod pseudonymem Jacka Soplicy. Ożeniwszy się w r. 1879 przeniósł się do gub. grodzieńskiéj i gospodarował w Moczulnéj; lecz w r. 1881 wrócił znów do Warszawy i gdy założone zostało „Słowo", stał się jego spółpracownikiem, a przez czas jakiś redaktorem faktycznym. Od r. 1888 przeniósł się do „Kuryera Codziennego", gdzie pisywał artykuły treści politycznéj (wstępne i przeglądy). Zmarł w Warszawie 28 lutego.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Февраля 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

1. *Sebastyana Grabowieckiego*, **Rymy duchowne** 1590, wydał dr. *Józef Korzeniowski*, 1893, 8-vo, str. 197.
2. **Rozprawy** Akademii umiejętności. Wydział filologiczny. Ser. II, t. IV. Kraków, 1893, str. 475.
3. **Stare długi**. Sztuka w dwóch aktach oryginalnie napisana przez *Maryana Gawalewicza*. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 58.
4. **Pszenica**, jej różne gatunki i uprawa. Napisał rolnik uczony *Maryan Prawdzic* (Pod kierunkiem K. Promyka). Warsz., księgarnia krajowa Prószyńskiego, 1893, 8-vo. str. 32.
5. *Bolesław Prus*. **Emancypantki**. Powieść w 4-ch tomach. Warsz., nakł. Gebethnera, i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 376 + 318 + 270 + 417.
6. **Encyklopedya rolnicza**, wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zeszyt XXX. Warszawa, 1894, (str. 529 — 608).
7. **Kalendarz Księgarsko-Literacki** na 1894 rok. Katalog książek polskich wydanych w ubiegłym roku. Warsz.. nakł. księg. G. Centnerszwera, str. XXXIX+56+24,
8. *Władysław Umiński*. **Żegluga powietrzna**. Warsz., skład w księg. Centnerszwera, 1894, 8-vo. str. 121, (z 36 illustracyami).
9. **Katalog** numizmatów № 3 księgarni antykwarskiej *B. Bolcewicza*. Warsz., 1893, 8-vo, str. 66 (cena kop. 25).
10. **Podręcznik księgarski.** Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich. Pod redakcyą *Teodora Paprockiego*. Warszawa, nakł T. Paprockiego, 1894. Zeszyt I, 8-vo. str. 160.
11. **Pielęgnowanie** chorych. Opracował Dr. *Seweryan Sterling*. Warsz, skład w księgarni Kalińskiego, 1894, str. 47 (cena kop. 30).
12. Dla matek. **Pierwsza Pomoc** w nagłych wypadkach u dzieci. Przełożył Dr. *Jan Sobierański*. Warszawa, 1894, arkusz (cena kop. 30)
13. **O sławnym rycerzu**, o giermku Słowaku i jego ukochanej... Napisał *Józef Grajnert*. Warszawa, księgarnia Prószyńskiego, 1894, str. 74.
14. **Szkodnictwo** w polach, lasach, ogrodach i kary za nie. Podał *A. N.* Warszawa, księgarnia Prószyńskiego, 1894, str. 53.
15. **Acta rectoralia** almae universitatis studii Cracoviensis inde ab anno 1469. Editionem curavit Dr. *Wladislaus Wisłocki*. Tomi I fascicul. 2. Krak. 1893, 8-o, (str. 161—432).
16. **Sprawozdania** Komisyi do badania historyi sztuki. Tom V, zesz. III. Krak. 1893, 4-to, str. 129—192 i XXXVII—LXVIII.
17. *Adam Mickiewicz*. **Gospodin Tadija** ili poslednji porob u Litwi. Preveo, uvod i biljeske napisao Dr. *T. Maretić*. Zagreb, naklada „Matice Hrvatske”, 1893, 8-o, str. XXXIV i 316.
18. **Laszka.** Napisał *Włodzimierz Wysocki*. Wydanie 3. Kijów i Odessa, nakład księgarni Bol. Koreywy, 1894, str. 93.
19. Prof. Dr. *August Weismann*. **Myśli o muzyce** u zwierząt i człowieka.—**Muzyka** w świetle poglądów Weismanna, zamiast przedmowy napisał *Adam Mahrburg*. Petersb., nakład K. Grendyszyńskiego, 1894, str. 71.
20. **O korzyści i znaczeniu herbaty**, jako napoju odżywczego. Wydanie firmy „Tsiń-Łuń”. Warszawa, 893, str. 28.



ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Oboźna 5.

